

Arkadij i Borys Strugaccy

Ślimak na krawędzi

(Ulitka na skłone)

Przełożyła Irena Lewandowska

Data wydania oryginalnego 1966

Data wydania polskiego 1985

*Gdzie leśna droga wiję się
przez uroczysko,
nieubłagana czeka mnie
i znana przyszłość.
Daremnie wszczynać by z nią spór,
mamić pieśczołą,
otwarta jest jak mroczny bór
na wskroś szeroko¹*

Borys Pasternak Za poworotom

*Powoli, powoli pełznij
ślimaku po zboczu Fudzi
wciąż wyżej, aż na sam szczyt!*

Issa, syn chlapa

¹ Tłumaczył Michał Jagiełło

Rozdział I

Z tej wysokości las wyglądał jak puszysta, cętkowana piana, jak ogromna mokra gąbka wielkości wszechświata, jak zwierzę, które kiedyś zamarło w oczekiwaniu, potem usnęło, porosło szorstkim mchem. Jak bezkształtna maska zasłaniająca twarz, której nikt jeszcze nigdy nie widział.

Pierec zrzucił sandały i usiadł zwiesiwszy nogi w przepaść. Miał wrażenie, że natychmiast zwilgotniały mu pięty, jakby rzeczywiście zanurzył je w ciepłej liliowej mgłę gęstniejącej w cieniu skały. Wyjął z kieszeni przygotowane kamyki, starannie ułożył je obok siebie, potem wybrał najmniejszy i ostrożnie wrzucił w to żywe i milczące, senne i obojętne, pochłaniające bezpowrotnie, i biała iskra zagasła i nic się nie wydarzyło - nie drgnęła ani jedna gałązka, nie otwały się żadne oczy, aby spojrzeć na Piereca.

Jeśli co półtorej minuty rzucać kamyczek i jeśli prawdą jest to, co opowiadała jednonoga kucharka, zwana Kazałunią, co przypuszczała madam Bardot, szefowa Grupy Pomocy Tubylczej Ludności, i jeśli nieprawdą jest to, o czym szeptem rozmawiali szofer Tuzik z Nieznajomym z Grupy Inżynierskiej Infiltracji, i jeżeli ludzka intuicja ma jakąkolwiek wartość, i jeśli chociaż raz w życiu spełniają się oczekiwania, wówczas przy siódmym kamyku krzaki za plecami rozchyliły się z trzaskiem łamanych gałązek i na polankę, na zdeptaną trawę posiwiąłą od rosy wyjdzie goły do pasa dyrektor w szarych gabardynowych spodniach z liliowym lampasem, dyrektor błyszczący od potu, kosmaty, żółtoróżowy i nie patrząc na nic, ani na las pod sobą, ani na niebo nad sobą, sapiąc zacznie robić skłony zanurzając w trawę palce, wywołując podmuchy wiatru szerokimi dłońmi za każdym razem, kiedy się wyprostuje, i wtedy potężna fałda na jego brzuchu wypłynie na spodnie, a powietrze nasycone nikotyną i dwutlenkiem węgla ze świstem i bulgotem wylatywać będzie z otwartych ust dyrektora.

Krzaki za plecami rozchyliły się z trzaskiem łamanych gałązek. Pierec obejrzał się ostrożnie, ale to nie był dyrektor, był to znany mu Klaudiusz-Oktawian Domaroszcyner z Grupy Wykorzeniania. Powoli zbliżył się i przystanął dwa kroki za Pierecem patrząc na niego z góry uważnymi, ciemnymi oczami. Coś wiedział albo coś podejrzewał, a było to coś ważnego i ta wiedza czy też podejrzenie unieruchomiło rysy jego wydłużonej twarzy, skamieniałej twarzy człowieka, który przyniósł tu na skraj urwiska dziwną i trwożą nowinę, jeszcze nikt na całym świecie nie słyszał tej nowiny, ale było już jasne, że wszystko zmieniło się diametralnie, że wszystko, co było do tej pory, nie ma już od tej chwili najmniejszego znaczenia, i że każdy będzie musiał dać z siebie wszystko, na co go stać.

- A czyje to buty? - zapytał Domaroszczyner i - obejrzał się.

- To nie buty - powiedział Pierec. - To sandały.

- Czyżby? - Domaroszczyner Uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni wielki notes. - Sandały? Bardzo dobrze. Ale czyje są te sandały?

Zbliżył się do urwiska, ostrożnie spojrzął w dół i natychmiast się cofnął.

- Człowiek siedzi na krawędzi urwiska - powiedział - a obok niego stoją sandały. Nieuchronnie powstaje pytanie - czyje są te sandały i gdzie jest ich właściciel?

- To moje sandały - odpowiedział Pierec.

- Pańskie? - Domaroszczyner z powątpiewaniem spojrzął na wielki notes. - To znaczy, że siedzi pan boso. Dlaczego?

- Boso - dlatego, że inaczej nie można - wyjaśnił Pierec.

- Wczoraj wpadł mi tam prawy but, więc postanowiłem, że od tej pory będę siedział boso. - Pochylił się i spojrzął przez rozsunięte kolana. - O, tam właśnie leży. Zaraz rzucę w niego kamykiem.

Domaroszczyner zwinnie złapał go za rękę i odebrał kamyk.

- Rzeczywiście zwyczajny kamień - powiedział. - Ale na razie to niczego nie zmienia. Nie rozumiem. Pierec, dlaczego mnie pan oszukuje, przecież stąd nie można zobaczyć buta - nawet jeżeli on się istotnie tam znajduje, a czy się znajduje, to oddzielny problem, którym zajmiemy się nieco później - a ponieważ buta nie można zobaczyć, to znaczy, że nie może pan w niego trafić kamieniem, nawet gdyby dysponował pań odpowiednią umiejętnością trafiania i rzeczywiście chciał tego i tylko tego - mam na myśli trafienie kamieniem w but... Ale zaraz to wszystko wyjaśnimy... - Domaroszczyner podciągnął spodnie i przykucnął.

- A więc wczoraj był pan tu również - powiedział. - Po co? Dlaczego już po raz drugi przyszedł pan na urwisko, na które pozostali pracownicy Zarządu, że nie wspomnę już o nieetatowych współpracownikach, przychodzą w najlepszym razie wyłącznie za potrzebą?

Pierea aż skrzywiło. To po prostu chamstwo, pomyślał. Nie, to nie wyzwanie i nie nienawiść, nie należy do tego przywiązywać znaczenia. To z powodu chamstwa. Nie należy przywiązywać znaczenia do chamstwa, - nikt nie przywiązuje znaczenia do chamstwa. Zapaskudzenie lasu jest chamstwem. Chamstwo zawsze musi coś zapaskudzać.

- Pan zapewne lubi tu przesiadywać - przymilnie powiedział Domaroszczyner. - Zapewne bardzo pan lubi las. Lubi pan? Odpowiadać!

- A pan? - zapytał Pierec.

- Proszę się nie zapominać - z urazą odpowiedział: Domaroszczyner i otworzył notes. - Wic pan świetnie, gdzie pracuję, a pracuję w Grupie Wykorzenia, i dlatego pańskie

pytanie, a właściwie kontrpytanie, jest całkowicie pozbawione sensu. Rozumie pan dobrze, że mój, stosunek do lasu jest określony moimi służbowymi obowiązkami, natomiast co określa pański stosunek do lasu - jest dla mnie wysoce niejasne. To bardzo źle, Pierec musi pan koniecznie poważnie nad tym pomyśleć, radzę dla pańskiego dobra, a nie dla mojego. Nie wolno takim niezrozumiałym. Siedzi nad urwiskiem, boso, rzuca kamienie... Powstaje pytanie - dlaczego? Na pańskim miejscu szczerze bym powiedział wszystko. I wszystko ustawiłbym na właściwych miejscach. Skąd pan wie, może istnieją okoliczności łagodzące, i może się nawet okazać, że nic panu nie grozi. No, Pierec?

- Nie - odpowiedział Pierec. - To znaczy tak, - oczywiście.

- Sam pan widzi: od razu znika jasność i wszystko - staje się zagmatwane. Czyja ręka? - pytamy. Gdzie rzuca? Albo - komu właściwie? Albo być może - w kogo? I po co? I jak to się dzieje, że może pan siedzieć na skraju urwiska? Potrafi to pan sam z siebie, czy też dopiero po specjalnym treningu? Ja, na przykład, nie mogę siedzieć na skraju urwiska. I aż boję się pomyśleć, w jakim celu miałbym to trenować. Kręci mi się w głowie. I to jest naturalne. Człowiek w ogóle nie ma po co siedzieć na skraju urwiska. A w szczególności wtedy, kiedy nie ma przepustki do lasu. Proszę pokazać swoją przepustkę, Pierec.

- Nie mam przepustki.

- Tak. Nie ma pan. A dlaczego?

- Nie wiem... Jakoś mi nie dają.

- Słusznie, nie dają. Wiadomo nam o tym. Ale dlaczego nie dają? Mnie dali, jemu dali i jeszcze wielu innym, a panu z jakiegoś powodu nie dają.

Pierec ostrożnie, bokiem, spojrzał na Domaroszczynera Domaroszczyner sięgnął długim, cienkim nosem i szybko mrugał.

- Zapewne dlatego, że jestem człowiekiem postronnym - wyraził przypuszczenie Pierec. - Myślę, że dlatego.

- A przecież nie tylko ja interesuję się panem - konfidencjonalnie powiedział! Domaroszczyner. - Gdyby tylko ja! Panem interesują się ludzie znacznie ważniejsi... może jednak odsunie się pan od urwiska, żebyśmy mogli porozmawiać? Kręci mi się w głowie, kiedy na pana patrzę.

Pierec wstał i podskoczył kilkakrotnie na jednej nodze wkładając sandał.

- Och, niechże pan odejdzie od krawędzi! - ze zgrozą zawołał Domaroszczyner, machając na Piereca - notesem. - Kiedyś mnie pan zabije swoimi wygłupami!

- Już po wszystkim - powiedział Pierec przytupując. - Więcej nie będę. Idziemy?

- Idziemy - powiedział Domaroszcyner. - Ale stwierdzam, że nie odpowiedział pan na ani jedno moje pytanie. Martwi mnie pan, Pierec. Jakże tak można? - zajął do swego notesu, wzruszył ramionami i wsadził notes pod pach - Bardzo dziwne. Żadnych wrażeń, że już nie wspomnę o informacji.

- No dobrze, a co mam odpowiedzieć? - zapytał Pierec. - Po prostu chciałem porozmawiać tu z dyrektorem.

Domaroszcyner zamarł, jakby utknął w krzakach.

- Ach, więc tak się to u was robi - powiedział - zmienionym głosem.

- Co się robi? Nic się nie robi...

- Nie, nie - wyszeptał Domaroszcyner rozglądając się na wszystkie strony. - Niech pan nic nie mówi. Nie trzeba słów. Zrozumiałem już. Miał pan rację.

- Co pan rozumiał? W czym miałem rację?

- Nie, nie, niczego nie rozumiałem. Nie rozumiałem i koniec. Może pan być absolutnie spokojny. Nie rozumiałem, to nie rozumiałem. I w ogóle nie widziałem pana i nigdy tu nie byłem.

Minęli ławeczkę, weszli na górę po wyszczerbionych stopniach, skręcili w aleję wysypaną miłąkim czerwonym piaskiem i weszli na terytorium Zarządu.

- Całkowita jasność może istnieć dopiero na określonym poziomie - mówił Domaroszcyner - i każdy powinien wiedzieć, do czego może pretendować. Ja robiłem to na swoim poziomie, to moje prawo i wykorzystałem je do ostatka. A tam, gdzie kończą się prawa, tam zaczynają się obowiązki...

Minęli dziesięciopiętne wille z tiulowymi firankami w oknach, minęli garaż, przecięli boisko, następnie przeszli obok magazynów, obok hotelu, w którego drzwiach stał z teczką chorobliwie blady kierownik o nieruchomych, wybałuszonych oczach, wzdłuż długiego parkanu, za którym zgrzytały silniki. Szli coraz szybciej dlatego, że czasu pozostało już niewiele, potem pobiegli, ale, pomimo to wpadli do stołówki za późno, wszystkie miejsca były już zajęte, tylko w najdalszym kącie przy służbowym stoliku stały jeszcze dwa wolne krzesła, a trzecie zajmował szofer Tuzik, szofer Tuzik, kiedy zauważył, że Pierec i Domaroszcyner niezdecydowanie stoją w progu, pomachał im widelcem, zapraszając do siebie.

Wszyscy pili kefir i Pierec też wziął kefir, i na ich stoliku, na sztywnym od brudu obrusie, stało w szeregu sześć butelek, a kiedy Pierec poruszył pod stołem nogami, aby usadowić się wygodniej na krześle, zadźwięczało szkło i na przejście między stolikami

wytoczyła się butelka po brandy. Szofer Tuzik pochwycił ją zręcznie i wepchnął z powrotem pod stół, i Wtedy znów zadźwięczało szkło.

- Trochę ostrożniej z nogami - powiedział.

- Ja niechący - powiedział Pierec. - Przecież nie wiedziałem.

- A ja wiedziałem? - zapytał szofer Tuzik. - Tam stoją cztery sztuki, udowodnij potem, że to nie ty.

- A ja na przykład w ogóle nie piję - z godnością powiedział Domaroszczyner.

- Wiemy, jak pan nie pije - powiedział Tuzik. - Tak to i my nie pijemy.

- Ale ja mam chorą wątrobę! - zaniepokoił się - Domaroszczyner. - Tu jest zaświadczenie.

Nie wiadomo skąd wyciągnął i podsunął pod nos Pierecowi pomiętą kartkę z zeszytu opatrzoną trójkątną pieczęcią. Rzeczywiście było to zaświadczenie, wypisane nieczytelnym lekarskim pismem. Pierec odróżnił tylko jedno słowo - „antabus”.

- Mam jeszcze za zeszły rok i pozaprzeszły, tylko że trzymam je w sejfie.

Szofer Tuzik nawet nie spojrzał na zaświadczenie. Wypił pełną szklankę kefiru, powąchał wewnętrzną stronę wskazującego palca, lzy stanęły mu w oczach i zachłyśniętym głosem powiedział:

- A co jeszcze na przykład bywa w lesie? Drzewa. - Wytrzeł oczy rękawem. - Ale nie stoją w miejscu, tylko skaczą. Zrozumiałeś?

- No, no? - chciwie zapytał Pierec. - Jak to tak - skaczą?

- Jak? No więc stoi nieruchomo. Jak drzewo, jednym słowem. Potem zaczyna się sprężać w sobie, rozkracza się - i jak nie śmignie! Trzask” hałas, kotłowanina. Z - dziesięć metrów. Szoferkę wgniotło. I znowu stoi.

- Dlaczego? - zapytał Pierec.

- Dlatego, że się tak nabywa - skaczące drzewo - wyjaśnił Tuzik nalewając sobie kefiru.

- Wczoraj przyszła partia nowych pił elektrycznych - oznajmił Domaroszczyner oblizując wargi. - Wydajność po prostu fenomenalna. Powiedziałbym nawet, że to nie są piły, tylko piłujące kombajny. Nasze kombajny wykorzeniania.

A dookoła wszyscy pili kefir - z musztardówek, z blaszanych kubków, z filiżanek do kawy, z papierowych tutek, wprost z butelek. Wszyscy trzymali nogi pod krzesłami. I zapewne wszyscy mogli okazać zaświadczenia o chorobach wątroby, żołądka albo dwunastnicy. I za ten rok, i za wszystkie ubiegłe lata.

- A potem wzywa mnie menadżer - mówił dalej Tuzik podniesionym głosem - i pyta, dlaczego szoferka wgnieciona. Znowu, mówi, łajdaku, lewe kursy? Pan, panie Pierec, grywa z nim w szachy, niech się pan ujmie za mną, on pana szanuje i często o panu wspomina. Taki na przykład Pierec, mówi, to jest ktoś! Ja, mówi, nie dam samochodu dla Piereca, nawet nie prosz. Takiego człowieka nie wolno stąd wypuścić. Zrozumcie, mówi, kretyni, paskudnie nam będzie bez Piereca! Niech pan się wstawi za mną, co?

- D-dobrze - złamanym głosem powiedział Pierec. - Spróbuję.

- Ja mogę porozmawiać z menadżerem - powiedział Domaroszczyner. - Razem służyliśmy w wojsku, ja byłem kapitanem, a on u mnie porucznikiem. Do dzisiaj wita mnie przykładając dłoń do czapki.

- A jeszcze tam są rusałki - powiedział Tuzik waząc na dłoni szklankę z kefirem. - W takich wielkich, czystych jeziorach. One tam leżą, rozumiesz? Gołe.

- To ci się przywidziało od twojego kefiru - powiedział Domaroszczyner.

- A ja je sam widziałem - powiedział Tuzik podnosząc szklankę do ust. - Tylko wody z tych jezior nie można pić.

- Nie widziałeś ich dlatego, że ich nie ma - powiedział Domaroszczyner. - Rusałki - to mistyka.

- Sam jesteś mistyka - powiedział Tuzik wycierając oczy rękawem.

- Chwileczkę - powiedział Pierec. - Chwileczkę. A więc powiada pan, że one leżą... I co jeszcze? To niemożliwe, żeby zwyczajnie leżały i to wszystko. Może one żyją pod wodą i wypływają na powierzchnię, tak jak my wychodzimy na balkon z zadymionego pokoju w księżycową noc, zamykamy oczy i czujemy na twarzy chłodny wiatr, jeśli tak, to one mogą po prostu leżeć. Po prostu leżeć i nic więcej. Odpoczywać. Rozmawiać sennie i uśmiechać się do siebie nawzajem...

- Ty ze mną nie dyskutuj - powiedział Tuzik wpatrując się ciężko w Domaroszczynera. - Byłeś kiedyś w lesie? Nie byłeś w lesie ani razu, a mądrzysz się.

- Głupie gadanie - powiedział Domaroszczyner. - Nie mam nic do roboty w waszym lesie. Mam przepustkę do tego waszego lasu. A ty na przykład, Tuzik, żadnej przepustki nie masz. Proszę pokazać przepustkę, panie Tuzik.

- Sam tych rusałek nie widziałem - powiedział Tuzik zwracając się do Piereca. - Ale spokojnie w nie wierzę. Dlatego, że chłopcy opowiadają. I nawet Kandyd też opowiadał. A kto, jak kto, ale Kandyd o lesie wiedział wszystko. Kandyd chodził do lasu jak do swojej baby, po ciemku wiedział, gdzie i co. Tam też zginął w tym swoim lesie.

- Gdyby zginął - powiedział znacząco Domaroszczyner.

- Jakie tam „gdyby”. Poleciał człowiek na helikopterze i już trzy lata ni śladu, ni popiołu. Był nekrolog w gazecie, stypa też była, czego ci jeszcze trzeba? Rozbił się helikopter razem z Kandydem.

- Zbyt mało wiemy - powiedział Domaroszczyner - żeby cokolwiek stwierdzić ponad wszelką wątpliwość.

Tuzik splunął i poszedł do bufetu po następny kefir. Wtedy Domaroszczyner nachylił się do ucha Piereca i wyszeptał, a oczy miał rozlatane:

- Proszę wziąć pod uwagę, że w sprawie Kandyda było tajne rozporządzenie... uważam się za upoważnionego, aby poinformować” pana, ponieważ jest pan człowiekiem „postronnym...

- Jakie rozporządzenie?

- Żeby uważać go za żywego - dźwięcznie wyszeptał Domaroszczyner i odsunął się. - Jaki dziś dobry, świeży kefir - powiedział głośno.

W stołówce panował hałas. Ci, którzy już zjedli śniadanie, wstawali odsuwając krzesła i szli do wyjścia, rozmawiając głośno, zapalali papierosy rzucając zapalki na podłogę. Domaroszczyner rozglądał się wściekle i mówił do wszystkich, którzy przechodzili obok: „To zastanawiające, chyba państwo widzą, że rozmawiamy...

Kiedy Tuzik wrócił z butelką, Pierec powiedział:

- Czyżby menadżer poważnie mówił, że nie da mi samochodu? Pewnie po prostu żartował?

- Jak to żartował? On pana, panie Pierec, nadzwyczaj lubi, bez pana będzie mu paskudnie, i normalnie nie opłaca mu się pana stąd wypuszczać... No, powiedzmy, że wypuści, i co na tym zyska? Nie ma mowy o żartach.

Pierec przygryzł wargę.

- Więc w jaki sposób wyjechać? Nie mam tu nic więcej do roboty. I wiza też mi się kończy. A poza tym po prostu już chcę się stąd wydostać.

- W ogóle - powiedział Tuzik - jeśli pan dostanie trzy nagany z ostrzeżeniem, to wyleci pan stąd jak z procy. Dadzą specjalny autobus, szofera obudzą w środku nocy, nie zdąży się pan spakować... Jak u nas chłopcy załatwiają? Pierwsza nagana - dają niższe stanowisko, ruga - marsz do lasu pokutować za grzechy. Trzecia - bywaj zdrów i do widzenia. Jeśli, powiedzmy, zechcę, żeby nie zwolnili, obalę pół metra i dam po mordzie temu, co siedzi - pokazał na Domaroszczynera. - Od razu zabierają mi premię i przenoszą mnie na głównowóz. Co wtedy robię? - obalam jeszcze pół metra i daję mu po mordzie drugi raz, jasne? Wtedy zdejmują mnie z głównowozu i posyłają na stację biologiczną do łapania

różnych tam mikrobów. Ale ja nie jadę na żadną staję, tylko obalam jeszcze pół metra i daję mu po mordzie trzeci raz. I wtedy mam już z głowy. Zwolniony za chuligaństwo i deportowany w dwadzieścia cztery godziny.

Domaroszcyner pogroził Tuzikowi palcem.

- Deinformujesz, deinformujesz. Tuzik. Po pierwsze, między przestępstwami musi upłynąć co najmniej miesiąc, w przeciwnym razie wszystkie przestępstwa będą rozpatrywane jako jedno i winnego zwyczajnie wsadzi się do karceru, i w samym Zarządzie sprawa nie będzie miała żadnego dalszego ciągu. Po drugie, natychmiast po powtórnym przestępstwie winnego niezwłocznie wysyła się do lasu w towarzystwie strażnika, co siłą rzeczy uniemożliwia winowajcy popełnienie trzeciego przestępstwa, według jego zamierzeń. Niech pan go nie słucha, panie Pierec, on się w ogóle nie orientuje w tych zagadnieniach.

Tuzik wypił łyk kefiru, zmarszczył się i odchrząknął.

- Zgadza się - przyznał. - W tym, to ja raczej... rzeczywiście... nie tego. Przepraszam, panie Pierec.

- Nie szkodzi, co tam... - smutnie powiedział Pierec. - I nie mogę tak ni z tego ni z owego bić człowieka po fizjonomii.

- Ale przecież niekoniecznie trzeba po tej... po mordzie - powiedział Tuzik. - Można, na przykład, po tej... po dupie. Albo zwyczajnie podrzeć mu garnitur.

- Nie, ja tak nic potrafię - powiedział Pierec.

- Jak tak, to niedobrze - powiedział Tuzik. - Jeśli tak, to kiepsko z panem, panie Pierec. Wobec tego my zrobimy inaczej. Jutro rano, około godziny siódmej, niech pan przyjdzie do garażu, wsiądzie do mojego samochodu i czeka. Odwiozę pana.

- Naprawdę? - ucieszył się Pierec.

- No. Jutro mam jechać na Kontynent ze złomem. Razem pojedziemy.

W kącie ktoś nagle krzyknął strasznym głosem: „Czy ty wiesz, coś ty zrobił? Wylałeś moją zupę!”

- Człowiek powinien być prosty i jasny - powiedział Domaroszcyner. - Nie rozumiem, panie Pierec, dlaczego chce pan stąd wyjechać. Nikt nie chce, a pan chce.

- Ze mną tak zawsze - powiedział Pierec. - Zawsze wszystko na odwrót. A poza tym, dlaczego człowiek powinien być koniecznie prosty i jasny?

- Człowiek powinien być niepijący - oznajmił Tuzik wachając wskazujący palec. - Może powiesz, że nie?

- Ja nie piję - powiedział Domaroszcyner. - A nie piję z bardzo prostej i jasnej dla każdego przyczyny - mianowicie mam chorą wątrobę. Mnie nie weźmiesz na plewy, Tuz.

- A co mnie zadziwia w lesie - powiedział Tuzik - to mokradła. - Są gorące, rozumiesz? Nie znoszę tego. W żaden sposób nie mogę się przyzwyczaić. Czasem jak ugrzęznę na podmokłej drodze, to siedzę w szoferce i nie mogę wyleźć. Jak w gorącym kapuśniaku. Błota parują, pachną kapustą, nawet kiedyś spróbowałem, ale niesmaczne, soli brakuje, czy jeszcze tam czegoś... Nieee, las to nie dla człowieka. I czego tam szukają? Pchają i pchają maszyny jak w przerębel, maszyny toną, zamawiają następne, znowu toną, a oni od nowa...

Odurzająca, cuchnąca zielona obfitość. Obfitość barw, obfitość zapachów. Obfitość życia. I wszystko obce. „W czymś tam znajome, w czymś tam podobne, ale obce w swojej istocie. Zawsze najtrudniej pogodzić się z tym, że to jest zarazem i obce, i znajome. Że to jest klątwą naszego świata, krwią z naszej krwi, ale zerwało z nami i nie chce nas znać. Zapewne, tak by mógł myśleć pitekanthropus, o nas, o swoich potomkach - ze strachem i goryczą...

- Kiedy ukaże się zarządzenie - ogłosił Domaroszczyner - pošemy tam nie wasze parszywe spychacze i łaziki, a coś lepszego i w ciągu dwóch miesięcy przerobimy las na betonowe boisko, suche i płaskie.

- Ty przerobisz - powiedział Tuzik. - Ty” jeśli ci w porę nie dać po mordzie, rodzzonego ojca przerobisz na betonowe boisko. Żeby ci było jasno i prosto.

Basowo zawyła syrena. Zadrżały szyby w oknach, od razu nad drzwiami zadźwięczał przeraźliwy dzwonek, na ścianach zamigotały światła, a nad ladą zapłonął wielki napis „Wstawać i wychodzić!” Domaroszczyner uniósł się spiesźnie, przesunął wskazówkę ręcznego zegarka i wybiegł bez słowa.

- Pójdę sobie - powiedział Pierec - pora do pracy.

- Pora - zgodził się Tuzik. - Najwyższy czas.

Zdjął waciak, zrolował go, starannie zsunął krzesła i położył się, układając waciak pod głową.

- A więc jutro o siódmej? - zapytał Pierec.

- Co? - zapytał Tuzik sennym głosem.

- Przyjdę jutro o siódmej.

- A dokąd? - zapytał Tuzik, wierząc się na krzesłach. - Rozjeżdżają się, dranie - wymamrotał. - Ile to razy mówiłem, żeby postawili kanapę...

- Do garażu - powiedział Pierec. - Do samochodu.

- Aa... No, niech pan przyjdzie, niech pan przyjdzie, zobaczymy. To niełatwa sprawa.

Podkurczył nogi, wsunął ręce pod pachy i zasnął. Ręce miał owłosione, a pod włosami widać było wytatuowane napisy „Co nas gubi” i „Tylko naprzód”. Pierec ruszył do wyjścia.

Przeprawił się po desce przez ogromną kałużę na podwórzu, obszedł kurhan z pustych puszek po konserwach, przelazł przez dziurę w płocie i służbowymi drzwiami wszedł do gmachu Zarządu. W korytarzach było chłodno i ciemno, śmierdziało zastarzałym dymem tytoniowym, kurzem, butwiejącym papierem. Nigdzie nikogo nie było, zza obitych dermą drzwi nie docierały żadne odgłosy. Po wąskich schodach bez poręczy, trzymając się odrapanej ściany, Pierec dotarł na pierwsze piętro podszedł do drzwi, nad którymi zapalał się i gasł napis „Umyj ręce przed pracą”. Na drzwiach wisiała wielka czarna litera „M”. Pierec pchnął drzwi i doznał niejakiego szoku stwierdziwszy, że trafił do swojego gabinetu. To znaczy, oczywiście, nie był to jego gabinet, tylko gabinet Kima, naczelnika Grupy Straży Naukowej, ale w tym gabinecie postawiono biurko dla Piereca i teraz to biurko stało bokiem do drzwi, pod ścianą wyłożoną kafelkami, połowę blatu, jak zawsze, zajmował przykryty pokrowcem „Mercedes”, a pod wielkim, wymyтым oknem stało biurko Kima i sam Kim już pracował - siedział zgarbiony, wpatrzony w suwak logarytmiczny.

- Chciałem umyć ręce - powiedział stropiony Pierec.

- Umyj, umyj - powiedział Kim i potrząsnął głową. - Tam masz umywalkę. Teraz będzie bardzo wygodnie. Teraz wszyscy będą do nas przychodzić.

Pierec podszedł do umywalki i zaczął myć ręce. Mył ręce zimną i gorącą wodą, dwoma gatunkami mydła i specjalną pastą pochłaniającą tłuszcz, tarł je gąbką i kilkoma szczoteczkami o różnym stopniu twardości. Następnie włączył suszarkę i czas jakiś trzymał różowe, wilgotne dłonie w zawodzącym strumieniu ciepłego powietrza.

- O czwartej nad ranem wszystkich zawiadomiono, że zostaliśmy przeniesieni na pierwsze piętro - wyjaśnił Kim. - A ty gdzie byłeś? U Alewtiny?

- Nie, byłem nad urwiskiem - powiedział przy swoim biurku.

Drzwi się otwały i do pomieszczenia gwałtownie wszedł Prokonsul, machnął powitalnie teczką i zniknął w kabinie. Było słyhać, jak skrzypnęły drzwiczki, jak szcęknęła zasuwka. Pierec zdjął pokrowiec z „Mercedesa”, posiedział bez ruchu, następnie podszedł do okna i otworzył je.

Lasu nie było stąd widać, ale las był. Był zawsze, chociaż zobaczyć go można było tylko z urwiska. W każdym innym miejscu Zarządu zawsze coś go zasłaniało. Zasłaniały kremowe budynki warsztatów mechanicznych i trzypiętrowy garaż dla prywatnych samochodów pracowników. Zasłaniały obory i chlewy przyzakładowego gospodarstwa, i bielizna rozwieszona obok pralni, w której nieustannie psuła się wirówka. Zasłaniał las park z

klombami i pawilonami, z diabelskim młynem i pływaczkami z gipsu, upstrzonymi napisami. Pisano najczęściej ołówkiem. Zasłaniały wille z gankami zarośniętymi bluszczem, z krzyżami telewizyjnych anten na dachach. A stąd, z okna pierwszego piętra, nie było widać lasu z powodu wysokiego, ceglaneanego muru, jeszcze nie gotowego, ale już wystarczająco wysokiego, który wznoszono wokół płaskiego parterowego budynku Inżynieryjnej Infiltracji. Las można było zobaczyć tylko z urwiska.

Ale nawet człowiek, który nigdy w życiu nie widział lasu, nic o lesie nie słyszał, nie myślał o nim, nie bał się lasu i nie marzył o lesie, nawet taki człowiek mógł łatwo domyśleć się jego istnienia choćby po prostu dlatego, że istniał Zarząd. Ja, na przykład, od bardzo dawna myślałem o lesie, dyskutowałem o lesie, widywałem las w swoich snach, ale nawet nie podejrzewałem, że istnieje naprawdę. I przekonałem się o jego istnieniu nie wtedy, kiedy po raz pierwszy poszedłem nad urwisko, ale; kiedy przeczytałem napis przy wejściu. Zarząd Do Spraw Lasu”. Stałem przed tym napisem z walizką w ręku zakurzony, spragniony po długiej podróży, czytałem go w tę i z powrotem, czułem słabość w kolanach, ponieważ teraz wiedziałem, że las istnieje, a to znaczy, że wszystko, co myślałem o nim do tej pory - było tylko igraszką mojej wątlej wyobraźni, spłóviałym, nieudolnym wymysłem. Las istnieje i ten ogromny, posępny gmach zajmuje się jego losem.

- Kim - powiedział Pierec - czy naprawdę nigdy nie zobaczę lasu? Przecież jutro wyjeżdżam.

- A ty rzeczywiście chcesz się tam dostać? - zapytał z roztargnieniem Kim.

Zielone, gorące mokradła, nerwowe płochliwe drzewa, rusałki odpoczywające w wodzie przy księżycu po swojej tajemniczej działalności w głębinie, ostrożni niezrozumiali tubylcy, opustoszałe wsie...

- Nie wiem - powiedział Pierec.

- Właśnie tobie nie wolno tam jechać - powiedział Kim. - Tam mogą jeździć tylko ludzie, którzy nigdy o lesie nie myśleli. Którym zawsze las po prostu zwisał. A ty go za bardzo bierzesz do serca. Las jest dla ciebie niebezpieczny, ponieważ cię oszuka.

- Zapewne - powiedział Pierec. - Ale przecież przyjechałem tu po to, żeby zobaczyć las.

- Po co ci gorzka prawda? - zapytał Kim. - Co z nią zrobisz? I co będziesz robić w lesie? Szlochać nad marzeniem, które przekształciło się w twój los? Modlić się, żeby wszystko było inaczej? Albo, nie daj Boże, zaczniesz przerabiać to, co jest, na to” co powinno być?

- Po co w takim razie przyjechałem tutaj?

- Żeby się upewnić. Czy naprawdę nie rozumiesz, jakie to ważne - upewnić się? Inni przyjeżdżają po coś innego. Żeby obliczyć ilość metrów sześciennych drewna w lesie. Albo znaleźć bakterię życia. Albo napisać pracę doktorską. Albo żeby dostać przepustkę, nie po to, żeby chodzić do lasu, a po prostu na wszelki wypadek - kiedyś tam może Się przydać, zresztą nie wszyscy mają przepustki. Wreszcie najwyższa kategoria - wyciosać z lasu luksusowy park tak jak rzeźbiarz wyciosuje posąg z bryły marmuru. Żeby potem ten park przystrzygać. Z roku na rok. Nie dopuścić, żeby znów stał się lasem.

- Poszedłbym stąd sobie - powiedział Pierec. - Nie mam tu czego szukać. Ktoś musi wyjechać. Albo ja, albo wy wszyscy.

- Bierzmy się do mnożenia - powiedział Kim i Pierec siadł przy swoim biurku, znalazł naprędce zamontowane gniazdko i włączył „Mercedesa”.

- Siedemset dziewięćdziesiąt trzy pięćset dwadzieścia dwa razy dwieście sześćdziesiąt sześć zero jedenaście...

„Mercedes” zastukał i zadygotał. Pierec odczekał, aż maszyna się uspokoi i jękając się przeczytał odpowiedź.

- Tak. Skasuj - powiedział Kim. - Teraz sześćset dziewięćdziesiąt osiem trzysta dwanaście podziel mi na dziesięć piętnaście...

Kim dyktował liczby, a Pierec wystukiwał je, naciskał klawisze ze znakiem mnożenia i dzielenia, dodawał, odejmował, wyciągał pierwiastki i wszystko szło jak zwykle.

- Dwanaście razy dziesięć - powiedział Kim. - Pomnóż.

- Jeden zero siedem - mechanicznie podyktował Pierec, a potem ocknął się i powiedział: - Słuchaj, przecież on łże. Powinno być sto dwadzieścia.

- Wiem, wiem - niecierpliwie powiedział Kim. - Jeden zero siedem - powtórzył. - A teraz wyciągnij pierwiastek z dziesięć zero siedem...

- Już - powiedział Pierec.

Znowu szcęknęła zasuwka za przepierzeniem i pojawił się Prokonsul, różowy, świeży i zadowolony. Zaczął myć ręce, nucąc przy tym miłym głosem „Ave Maria”. Potem oświadczył:

- Cóż to jednak za cudo ten las, panowie! I jak zbrodniczo mało mówimy i piszemy o nim! A tymczasem las wart jest tego, żeby o nim pisać. Uszlachetnia, wzbudza wyższe uczucia. Sprzyja postępowi. Sam właściwie jest symbolem postępu. A my w żaden sposób nie potrafimy zlikwidować kolportażu niekompetentnych plotek, dowcipów, bajek. Propaganda lasu w istocie nie istnieje. O lesie mówią i myślą diabli wiedzą, co...

- Siedemset osiemdziesiąt pięć razy czterysta trzydzieści dwa - powiedział Kim.

Prokonsul podniósł głos. Głos miał silny i dobrze ustawiony - „Mercedesa” nie było już słychać.

- „Żyjemy jak w lesie”... „Leśni ludzie”... „Natura ciągnie wilka do lasu”... „Jeden po drzewo, drugi do lasu”... Oto z czym powinniśmy walczyć! Oto co powinniśmy wykorzystać. Weźmy pana, mesje Pierec, dlaczego pan nie walczy? Przecież mógłby pan wygłosić w świetlicy rzeczowy, odpowiednio ukierunkowany odczyt, a jakoś pan tego nie robi. Od dawna obserwuję pana, od dawna czekam i ciągle jakoś nadaremnie, O co chodzi?

- Przecież ja tam nigdy nie byłem - powiedział Pierec.

- Nieważne. Ja tam również nigdy nie byłem, ale miałem wykład i sądząc po opiniach, wykład był nadzwyczaj pożyteczny. Przecież nie o to chodzi, czy ktoś był w lesie czy nie, chodzi o to, żeby zedrzyć z faktów łupinę mistyki i przesądów, obnażyć substancję, zrywając z niej szatę skrojoną przez filistrów i utylitarystów...

- Dwa razy osiem podzielić przez czterdzieści dziewięć minus siedem razy siedem - powiedział Kim.

„Mercedes” zazgrzytał. Prokonsul znowu podniósł głos.

- Robiłem to jako filozof z wykształcenia, a pan by to mógł zrobić jako lingwista z wykształcenia. Dam panu tezy, pan je rozwinie w świetle ostatnich osiągnięć lingwistyki, czy też może... jaki jest temat pańskiej pracy?

- „Szczególne cechy stylu i rytmu kobiecej prozy późnego Heian na przykładzie Makurano soshi - powiedział Pierec. - Obawiam się, że...

- Wyś-mie-ni-cie! To jest właśnie to, czego nam trzeba. I niech pan podkreśli, że nie bagna i trzęsawiska, tylko wspaniałe lecznicze błota, nie skaczące drzewa, lecz rezultat niezwykłego rozkwitu nauki, nie tubylcy i dzikusy, a starożytną cywilizacją ludzi dumnych, wolnych, wspaniałych filozofów, skromnych i potężnych. I żadnych tam rusałek! Żadnej liliowej mgły, żadnych mglistych aluzji - proszę mi darować nieudany kalambur. To będzie wspaniałe, minherc Pierec, to będzie cudowne. To bardzo dobrze, że pan zna las, że pan może podzielić się swymi osobistymi wrażeniami. Mój wykład był też bardzo dobry, jednakże obawiam się nieco zbyt oderwany, abstrakcyjny. W charakterze podstawowego materiału wykorzystałem protokoły posiedzeń. A pan, jako specjalista od spraw lasu...

- Nie jestem specjalistą - powiedział z przekonaniem Pierec. - Nie wpuszczają mnie do lasu. Nie znam lasu w ogóle.

Prokonsul kiwając z roztargnieniem głową coś szybko notował na mankencie.

- Tak - mówił. - Tak, tak. To gorzka prawda, niestety. Niestety, jeszcze często spotykamy się z takim zjawiskami - z formalizmem, biurokracją, heurystycznym podejściem

do jednostki... O tym zresztą może pan również napomknąć. Może pan, z całą pewnością może pan, wszyscy tak uważają. A ja spróbuję uzgodnić pańskie wystąpienie z dyrekcją. Diabło się cieszę, panie Pierec, że wreszcie zacznie pan z nami współpracować. Od dawna bardzo uważnie obserwuję pana... A więc zapisałem pana na przyszły tydzień.

Pierec wyłączył „Mercedesa”.

- W przyszłym tygodniu już mnie tu nie będzie. Skończyła mi się wiza i wyjeżdżam. Jutro.

- No, to się jakoś załatwi. Pójdę do dyrektora, dyrektor sam jest członkiem klubu i na pewno zrozumie. Może pan uważać, że pański pobyt przedłuży się o tydzień.

- Nie trzeba! - powiedział Pierec. - Nie trzeba!

- Trzeba! - powiedział Prokonsul, patrząc mu w oczy. - Pan świetnie wie, Pierec - trzeba!

Przyłożył dwa palce do skroni i oddalił się machając teczką.

- Zupełnie jak pajęczyna - powiedział Pierec. - Co to ja dla nich - mucha? Menadżer nie chce, żebym wyjeżdżał, Alewtina również, a teraz jeszcze i ten...

- Ja też nie chcę, żebyś wyjeżdżał - powiedział Kim.

- Ale ja dłużej nie mogę tu siedzieć!

- Siedemset osiemdziesiąt siedem razy czterysta trzydzieści dwa...

Wyjadę tak czy inaczej - myślał Pierec, naciskając klawisze. - Wyjadę. Możecie sobie nie chcieć, a ja wyjadę.

Nie będę z wami grać w ping-ponga, nie będę grać w szachy, nie będę z wami spać ani pić herbaty z konfiturami, nie chcę dłużej śpiewać WAM piosenek, liczyć na „Mercedesie”, rozstrzygać waszych sporów, a teraz jeszcze wygłaszać odczyty, których tak czy inaczej nie zrozumiecie. I myśleć zamiast was też nie będę, mylicie sobie sami, a ja wyjadę. Wyjadę. Wyjadę. I tak nigdy nie zrozumiecie, że myślenie to nie rozrywka, tylko obowiązek...

Za oknem, za nie dokończonym murem ciężko uderzała baba, stukwały młoty pneumatyczne, grzechotały spadające cegły, a na murze jeden przy drugim siedzieli czterej robotnicy i palili papierosy. Później pod samym oknem zaterkotał motocykl.

- Ktoś z lasu, - powiedział Kim. - Prędeży, pomnóż mi szesnaście przez szesnaście.

Szarpięto drzwi i do pokoju wpadł mężczyzna. Był w kombinezonie, odpięty kapiszon majtał mu się na piersi na kablu radiotelefonu. Od butów do pasa kombinezon był naszpikowany bladoporóżowymi strzałkami młodych pędów, a prawą nogę mężczyzny wplątywała nieskończenie długa liana, której reszta wiła się teraz na podłodze. Drgała jeszcze i Pierecowi wydało się, że jest to macka lasu, że zaraz spręży się i wyciągnie człowieka z

powrotem - przez korytarze Zarządu, na dół po schodach, wzdłuż muru, obok stołówki i warsztatów, znów na dół ulicą pełną kurzu, przez park, obok posągów i pawilonów do wjazdu na serpentynę w stronę bramy, ale nie przez bramę, tylko obok, na urwisko, w dół...

Mężczyzna był w motocyklowych okularach, twarz miał gęsto przypudrowaną kurzem i Pierec nie od razu uświadomił sobie, że to Stojan Stojanow ze stacji biologicznej. W ręku trzymał wielką papierową torbę. Zrobił kilka kroków po kafelkach podłogi, po mozaice wyobrażającej kobietę pod prysznicem i zatrzymał się przed Kimem chowając torbę za plecami i dziwacznie kręcąc głową, jakby go swędziała szyja.

- Kim - powiedział - To ja.

Kim nie odpowiadał. Słysząc było, jak stalówka rwie i drapie papier.

- Kim - nieśmiało powiedział Stojan. - Błagam cię.

- Idź do diabła - powiedział Kim. - Maniak.

- Ostatni raz - powiedział Stojan. - Najostatniejszy.

Znowu dziwnie pokręcił głową i Pierec zobaczył na jego chudej, ogolonej szyi, w samym dołku pod potylicą króciutki różowawy kiełek, cienki, ostry, już skręcony w spiralę, drżący jakby z łapczywości.

- Tylko przekaz i powiedz, że to od Stojana, i nic więcej. Jeśli zechce iść z tobą do kina, zeżyj, że masz wieczorem pilną pracę. Jeśli cię poczęstuje herbatą, powiedz, że dopiero co piłeś. I wina też nie pij, jeśli ci zaproponuje. No? Kim! Ostatni, najostatniejszy raz!

- A ty czego się wierzisz? - zapytał Kim ze złością. - A no, odwróć się!

- Znowu złapałem? - zapytał Stojan odwracając się. - To nieważne. Tylko przekaz, wszystko inne jest nieważne.

Kim, przechylony przez biurko, coś tam robił z jego szyją, coś tam wygniatał, masował rozstawiając łokcie, mrużąc przekleństwa z wyrazem obrzydzenia. Stojan cierpliwie przestępował z nogi na nogę, z pochyloną głową i wyciągniętą szyją.

- Witaj, Pierec - mówił. - Dawno cię nie widziałem. No i jak ci tu jest? A ja znowu przywiozłem, coś począć... Najostatniejszy raz. - Rozwinął torbę i pokazał Piercowi bukiet jadowicie zielonych leśnych kwiatów. - A jak pachną! Jak pachną!

- Nie kręć się! - osadził go Kim. - Stój spokojnie. Maniak, ciamajda!

- Maniak! - z entuzjazmem zgadzał się Stojan. - Ciamajda. Ale! Najostatniejszy raz!

Różowe pędy na jego kombinezonie już przywiedły, zmarszczyły się i spadły na podłogę, na ceglana twarz kobiety pod prysznicem.

- Skończone - powiedział Kim. - Wynoś się.

Odszedł od Stojana i wrzucił do wiadra na śmiecie to półżywe, krwawe i drgające.

- Wynoszę się - powiedział Stojan. - Wynoszę się natychmiast. Bo Wiesz, Rita znowu dziwaczy i jakoś teraz boję się wyjeżdzać. Przyjechałbyś do nas Pierec, porozmawiałbyś z nimi, czy jak...

- Jeszcze czego! - powiedział Kim. - Pierec nie ma tam nic do roboty.

- Jak to nic? - krzyknął Stojan. - Quentin po prostu marnieje w oczach! Ty tylko posłuchaj - tydzień temu Rita uciekła - no trudno, co robić... A tej nocy wróciła, cała mokra, biała, lodowata. Strażnik spróbował złapać ją gołymi rękami - coś z nim takiego zrobiła, że do tej pory leży bez zmysłów. A całe poletko doświadczałne zarosło trawą.

- No?

- A Quentin płakał przez całe rano...

- To wszystko już wiem - przerwał mu Kim. - Nie rozumiem, co ma do tego Pierec.

- Jak to? No, co ty mówisz? A kto, jeśli nie Pierec? Przecież chyba nie ja, prawda? I nie ty... Przecież nie wezwiemy Domaroszczynera, Klaudiusza-Oktawiana!

- Dosyć! - powiedział Kim uderzając dłonią w biurko. - Wynoszę się do roboty i żebym cię tu nie widział godzinach pracy. Nie złość mnie.

- Już mnie nie ma - powiedział spiesznie Stojan. - Już. Odchodzę. A ty przekażesz?

Położył bukiet na biurku i wybiegł, wołając od drzwi:

- A kloaka znowu ruszyła...

Kim wziął miotłę i wszystko, co się osypało, zmiótł do kąta.

- Oszałały głupek - powiedział. - I ta cała Rita... Teraz wszystko trzeba przeliczać od nowa. Żeby ich pokręciło z tą miłością...

Pod oknem znowu irytująco zatrzeszczał motocykl i znowu wszystko ucichło, tylko baba ciężko uderzała za murem.

- Słuchaj - zapytał Kim - a po co byłeś rano nad urwiskiem?

- Miałem nadzieję, że zobaczę dyrektora. Powiedziano mi, że czasem dyrektor robi tam poranną gimnastykę. Chciałem go poprosić, żeby mnie odesłał, ale on nie przyszedł. Wiesz co, Kim, mam wrażenie, że wszyscy tu kłamią. Czasem wydaje mi się, że nawet ty kłamiesz.

- Dyrektor - z zadumą powiedział Kim. - A wiesz, że to jest myśl. Brawo. Śmiałe zagranie...

- Tak czy inaczej, jutro wyjadę - powiedział Pierec. - Tuzik mnie odwiezie, obiecał mi. Jutro już mnie tu nie będzie, żebyś wiedział.

- Nie spodziewałem się, nie spodziewałem - mówił dalej Kim nie słuchając. - Bardzo śmiałe zagranie... A może rzeczywiście posłać cię tam, żebyś zbadał, co i jak?

Rozdział II

Kandyd obudził się i od razu pomyślał: pojutrze odchodzę. I natychmiast w drugim kącie w swojej pościeli poruszyła się Nava i zapytała:

- Już ani trochę nie śpisz?

- Nie - odparł.

- W takim razie porozmawiajmy - zaproponowała. - Bo od wczorajszego wieczora Wcale nie rozmawialiśmy. Dobrze?

- Dobrze.

- Najpierw powiedz mi, kiedy odchodzisz.

- Nie wiem - odpowiedział - Już niedługo.

- Zawsze mówisz: niedługo. To niedługo, to pojutrze, ty może myślisz, że to jedno i to samo, chociaż nie, już nauczyłeś się mówić, bo z początku ciągle wszystko myliłeś, dom myliłeś ze Wsią, trawę z grzybami, nawet martwiaki z ludźmi też myliłeś, albo nagle zaczynałeś coś mamrotać, ani słowa nie można było pojąć, nikt cię nie mógł zrozumieć...

Kandyd otworzył oczy i wpatrzył się w niski, pokryty wapiennymi zaciekami sufit. Po suficie maszerowały mrówki robotnice. Szły dwiema równymi kolumnami, od lewej ku prawej obciążone, od prawej ku lewej bez ładunku. Miesiąc temu było odwrotnie - na lewo z grzybnią, na prawo bez bagażu, za miesiąc znowu będzie odwrotnie, jeśli im nie każą robić czegoś innego. Wzdłuż kolumn rzadkim szeregiem stały nieruchomo wielkie czarne semafony, powoli poruszając długimi czarnymi antenami; oczekiwały na rozkazy. Miesiąc temu również budziłem się i myślałem: pojutrze odejdę, ale nie odeszliśmy donikąd, i jeszcze kiedyś, bardzo dawno temu, budziłem się i myślałem, że pojutrze wreszcie odejdziemy, i oczywiście nie odeszliśmy, ale jeśli nie odejdziemy pojutrze, to odejdę sam. Oczywiście, tak też już kiedyś myślałem, ale teraz już z całą pewnością odejdę. Dobrze byłoby odejść po prostu w tej chwili, nie rozmawiając z nikim, nikogo nie prosząc, ale to można zrobić tylko wtedy, kiedy się ma jasny umysł, nie teraz. A najlepiej byłoby postanowić raz na zawsze: jak tylko obudzę się z jasnym umysłem, natychmiast wstaję, wychodzę na ulicę i idę, do lasu, nikomu nie daję wciągnąć się w rozmowę, to bardzo ważne - nikomu nie pozwolić wciągnąć się w rozmowę, nie dać się zagadać, za tumanić w głowie, szczególnie w tych tu miejscach nad oczami, aż będzie dzwonić w uszach, aż zemdli, aż odrętwieją mózg i kości. A przecież Nava już mówi...

-... i wyszło tak - mówiła Nava - że martwiaki prowadziły nas nocą, a w nocy one źle widzą, są zupełnie ślepe, to każdy ci powie, na przykład Garbus, chociaż nietutejszy, on jest z

tamtej wsi, która sąsiadowała z naszą, nie z tą naszą, w której teraz jesteśmy, ale z tamtą, w której byłam bez ciebie, w której mieszkałam z manią, więc nie możesz znać Garbusa, w jego wsi wszystko zarosło grzybami, grzybnia ich napadła, a to nie każdemu się podoba, więc Garbus od razu odszedł ze wsi. To jest Przewyciężenie, mówi, i teraz ludzie nie mają czego szukać we wsi... Tak. A księżycy wtedy nie było i one pewnie zabłądziły, stoczyły się w jednym miejscu, a my stoimy w środku, gorąco się zrobiło, oddychać nie ma czym...

Kandyd spojrział na nią. Nava leżała na plecach, podłożyła ręce pod głowę, zarzuciła nogę na nogę, leżała nieruchomo, tylko jej wargi poruszały się bezustannie i jeszcze od czasu do czasu w półmroku połyskiwały oczy. Kiedy wszedł starzec, Nava nie zamilkła, a starzec usiadł przy stole, przysunął sobie garnek, głośno pociągając nosem powąchał i zabrał się do jedzenia. Wtedy Kandyd wstał i dłońmi otarł z ciała nocny pot. Starzec mlaskał i bryzgał śliną nie spuszczać oczu z koryta przykrytego pokrywą, żeby nie zapleśniało. Kandyd odebrał garnek i postawił obok Navy, by zamilkła. Starzec oblizwał wargi i powiedział:

- Niesmaczne. Gdzie nie przyjdę, wszędzie niesmaczne. I ta ścieżka zupełnie zarosła, ta, którą wtedy chodziłem, a chodziłem dużo, och, jak dużo - i na tresurę, i po prostu, żeby się wykapać w tamtych czasach często się kąpałem, tam było jezioro, a teraz zrobiło się błoto i niebezpiecznie jest chodzić, ale ktoś tam, wszystko jedno kto, chodzi, bo inaczej skąd tam by się wzięło tylu topielców? I szuwary. Każdego mogę zapytać: skąd tam w szuwarach ścieżki? I nikt nie może tego wiedzieć, i nawet nie powinien. A co jest w tym korycie? Jeśli to, na przykład, kiszone borówki, to chętnie bym zjadł, bo lubię kiszone borówki, ale jeżeli, powiedzmy, jakieś wczorajsze resztki, jakieś ogryzki, to nie trzeba, ja ich jeść nie będę, ogryzki sarni możecie zjeść. - Starzec odczekał chwilę, przenosząc spojrzenie z Kandyda na Navę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej: - A tam, gdzie zarosło trzcina, tam już siał nie można. Przedtem siali, bo to było potrzebne dla Przewyciężenia, i wszystko zwozili na Glinianą Polanę, teraz też zwożą, tyle że teraz nie zostawiają na polanie, tylko przywożą z powrotem. Mówiłem, że nie wolno, ale oni nie rozumieją, co to znaczy „nie wolno”. Starosta zapytał mnie wprost przy wszystkich: dlaczego nie wolno? A tuż obok Kułak stoi, tak jak ty, a może nawet bliżej; a tu, przypuśćmy, Uchacz; tu, gdzie twoja Nava, stoją bracia Płaszczaki, wszyscy trzej stoją i słuchają, i on mnie przy nich, przy wszystkich pyta. Mówię do niego: jak ty możesz, przecież, mówię do niego, nie jesteśmy tu sami... Jego ojciec był nadzwyczaj mądry, a zresztą może to wcale nie jego ojciec, niektórzy mówią, że nie ojciec, i rzeczywiście na to wygląda. „Dlaczego, mówi, nie wolno przy wszystkich zapytać, dlaczego nie wolno?”

Nava wstała, oddała garnek Kandydowi i zabrała się do sprzątanía. Kandyd zaczął jeść, starzec zamilkł, przez jakiś czas patrzył na niego poruszając wargami, a potem zauważył:

- Za krótko kwaśniało wasze jedzenie, tego nie wolno jeść.

- Dlaczego nie wolno? - złośliwie zapytał Kandyd.

Starzec, zachichotał.

- Ach, ty Mruku - powiedział. - Lepiej byś milczał. Ty lepiej powiedz, dawno cię o to pytam, czy to bardzo boli, kiedy odrywają głowę?

- A co to ciebie obchodzi? - krzyknęła Nava. - Czego ty się bez przerwy czepiasz?

- Krzyczy - Oznajmił starzec. - Pokrzykuje na mnie. Nic jeszcze nie urodziła, a pokrzykuje. Dlaczego nie rodzisz? Tak długo już żyjesz z Mrukiem i nie rodzisz. Wszystkie rodzą, a ty nie. Tak postępować nie wolno. A czy wiesz, co to znaczy „nie wolno”? To znaczy: źle widziane, niepożądane, a ponieważ jest źle widziane, znaczy, że tak postępować nie wolno. Co wolno - to jeszcze babka na dwoje wróżyła, ale czego nie wolno, to wiadomo, że nie wolno. To wszyscy powinni zrozumieć, a ty szczególnie, dlatego że mieszkasz w cudzej wsi, dostałaś dom i Mruka za męża. Może on nie ma własnej głowy, tylko cudzą przyprawioną, ale jest zdrowy na ciek i nie wolno ci nie rodzić. I na to wychodzi, że „nie wolno” znaczy też - absolutnie przeciwwskazane...

Nava, wściekła i nabzdyczona, porwała ze stołu koryto i poszła do komórki. Starzec popatrzył w ślad za nią, sapnął i ciągnął dalej:

- Jak jeszcze można rozumieć „nie wolno”? Można i należy rozumieć tak, że „nie wolno” oznacza „szkodliwe”.

Kandyd skończył jeść, że stukotem postawił pusty garnek przed starcem i wyszedł na ulicę. Dom mocno zarósł w ciągu nocy i w gęstych zaroślach widać było tylko ścieżkę, którą wydeptał starzec, i miejsce u progu, gdzie siedział niespokojnie i czekał, aż Kandyd i Nava się obudzą. Ulicę już oczyszczono, zielony pełzak grubości ręki, który wczoraj wylazł z gęstwy gałęzi nad wsią i zakorzenił się przed sąsiedzką chatą, był już porąbany, polany zacierem, pociemniał i zdążył skisnąć. Pachniał ostro i apetycznie. Dzieci sąsiada obsiadły pełzaka, rwały bury miękisz i napychały usta soczystymi strzępkami. Kiedy Kandyd mijał je, najstarszy niewyraźnie krzyknął napchanymi ustami: „Mruk-martwiak!” Ale okrzyku nikt nie podchwycił, dzieci były zajęte. Na ulicy, pomarańczowoczerwonej od wysokiej trawy, w której tonęły chaty, mrocznej, pokrytej bladozielonymi plamami słońca przebijającego się przez leśną strzechę, nie było nikogo. Z pola dobiegał nierówny chór smętnych głosów: „Ej,

weselej siej, w lewo siej, w prawo siej... „Z lasu odpowiadało echo. A może zresztą nie echo. Moje martwiaki.

Kaczonóg oczywiście siedział w domu i masował nogę.

- Siadaj - powiedział życzliwie do Kandyda. - Widzisz, rozścieliłem miękką trawkę dla gości. Mówią, że odchodzisz?

Znowu, pomyślał Kandyd, znowu wszystko od początku.

- Co, znowu cię boli? - zapytał siadając.

- Noga? E, nie, po prostu przyjemnie. Głaszczesz ją, o, tak, i jest ci miło. A kiedy odchodzisz?

- Tak jak umawiałem się z tobą. Gdybyś poszedł ze mną, to choćby pojutrze. A teraz trzeba będzie szukać kogoś innego, kto zna las. Ty przecież, jak widzę, nie chcesz iść.

Kaczonóg ostrożnie wyciągnął nogę i powiedział pouczająco:

- Kiedy wyjdiesz ode mnie, skręć na lewo i idź do samego pola. Potem, obok dwóch kamieni, od razu zobaczysz drogę, niezbyt zarośniętą, bo tam są kamienie. Tą drogą pójdiesz przez dwie wsie, jedna jest pusta, zagrzybiona, zarosła grzybami, więc nikt tam nie mieszka, a w drugiej mieszkają cudaki, niebieska trawa dwa razy tamtędy przechodziła, od tej pory chorują tam i nie ma co z nimi gadać, tak czy owak nic nie rozumieją, jakby pamięć im odebrało. A za tą cudaczną wsią, po prawej ręce, znajdziesz swoją Glinianą Polanę. I żaden przewodnik nie jest ci potrzebny, spokojnie trafisz sam, nawet się nie spocisz...

- Do Glinianej Polany dojdziemy - zgodził się Kandyd. - No a dalej jak?

- Gdzie dalej?

- Przez bagna, tam gdzie dawniej były jeziora. Pamiętasz, opowiadałeś mi o drodze z kamienia?

- O jakiej drodze? Do Glinianej Polany? Przecież ci tłumaczę: skręcisz na lewo, pójdiesz polem obok dwóch kamieni...

Kandyd wysłuchał do końca i powiedział:

- Do Glinianej Polany teraz już drogę znam. Trafimy. Ale ja chcę iść dalej, przecież wiesz o tym. Koniecznie muszę dostać się do Miasta, a ty obiecałeś pokazać mi drogę.

Kaczonóg pokręcił głową ze współczuciem.

- Do Mia-a-asta! Do Miasta ci się zachciało. Pamiętam, pamiętam... A więc, jeżeli chodzi o Miasto, to tam nikt nie dojdzie. Co innego do Glinianej Polany - obok dwóch kamieni, przez zagrzybioną wieś, przez wieś cudaków, i po prawej ręce będziesz miał Glinianą Polanę. Albo, powiedzmy, do Szuwarów. Tylko że wtedy musisz skręcić na prawo, jak ode mnie wyjdiesz, przez zagajnik, obok Chlebowego Stawu, a potem przez cały czas ze

słońcem. Tam gdzie słońce, tam i ty. Trzeba iść trzy doby, ale jeżeli tak koniecznie musisz - to pójdziemy. Dawniej zbieraliśmy tam garnki, póki nie zaczęliśmy ich sadzić tu, u siebie. Szuwarzy znam dobrze i od razu tak trzeba było mówić, że chcesz iść do Szuwarów. W takim razie nie ma co czekać do pojutra, pójdziemy jutro rano i nic do jedzenia nie musimy zabierać, bo to obok Chlebowego Stawu... Ty, Mruk, mówisz strasznie krótko - ledwie człowiek zacznie cię słuchać, ty już zamykasz usta. A do Szuwarów pójdziemy. Pójdziemy jutro rano...

Kandyd wysłuchał i powiedział:

- Zrozum, Kaczonóg, ja nie chcę iść do Szuwarów. Do Szuwarów nie chcę iść. Nie chcę iść do Szuwarów. - Kaczonóg uważnie słuchał i kiwał głową. - Ja muszę iść do Miasta - mówił dalej Kandyd. - Już od dawna rozmawiam o tym z tobą. Wczoraj ci mówiłem, że muszę iść do Miasta. Przedwczoraj ci mówiłem, że muszę iść do Miasta. Tydzień temu ci mówiłem, że muszę iść do Miasta. A ty powiedziałaś, że znasz drogę do Miasta. Tak powiedziałaś wczoraj. I przedwczoraj też mówiłaś, że znasz drogę do Miasta. Nie do Szuwarów, tylko do Miasta. Nie chcę iść do Szuwarów. (Żeby się tylko nie pomylić, pomyślał. - A może ciągle się mylę? Nie Szuwarzy, tylko Miasto. Miasto, a nie Szuwarzy). Miasto, a nie Szuwarzy - powtórzył na głos. - Rozumiesz? Opowiedz mi o drodze do Miasta. Nie do Szuwarów, tylko do Miasta. A najlepiej chodźmy do Miasta razem. Chodźmy razem, nie do Szuwarów, tylko do Miasta.

Kandyd zamilkł. Kaczonóg znowu zaczął masować chore kolano.

- Słuchaj, Mruk, kiedy odrywali ci głowę, na pewno coś ci uszkodzili w środku. To tak jak z moją nogą. Najpierw była to noga jak noga, zupełnie zwyczajna noga, a później szedłem kiedyś nocą przez Mrowiska, niosłem mrówkę matkę i ta noga wpadła mi do dziupli, i teraz jest krzywa. Dlaczego akurat krzywa - tego nikt nie wie, ale chodzi niedobrze. Ale do Mrowisk jeszcze dojdę. I sam dojdę i ciebie zaprowadzę. Tylko że nie rozumiem, dlaczego powiedziałaś, żebym przygotował zapasy na drogę, do Mrowisk jest przecież dwa kroki. - Kaczonóg spojrzał na Kandyda, zmieszał się i otworzył usta. - Ale przecież ty nie wybierasz się do Mrowisk. Ty wybierasz się do Szuwarów. A ja nie mogę do Szuwarów, nie dojdę, Widzisz, jaka ta noga jest krzywa? Słuchaj, Mruk, a dlaczego ty tak nie chcesz iść do Mrowisk? Wiesz co? Pójdziemy do Mrowisk. Przecież od tamtej pory nie byłem tam ani razu, może ich, tych Mrowisk, w ogóle już nie ma? Poszukamy tej dziupli, co?

On mi zaraz zmaści w głowie, pomyślał Kandyd. Pochylił się i przyturlał do siebie garnek.

- Jaki ładny masz garnek - powiedział. - Już nie pamiętam, gdzie ja ostatni raz widziałem takie ładne garnki... A więc zaprowadzisz mnie do Miasta? Mówiłeś, że nikt oprócz ciebie nie zna drogi do Miasta. Pójdziemy do Miasta, Kaczonogu, dobrze? Jak myślisz, dojdziemy do Miasta?

- No chyba! Dojdziemy! Do Miasta? Oczywiście, że dojdziemy. A gdzie ty takie garnki widziałeś, to ja wiem. Cudaki mają takie garnki. Oni ich nie sadzą, oni je robią z gliny, tam niedaleko jest Gliniana Polana, już ci przecież mówiłem: jak wyjdiesz ode mnie, od razu trzeba skręcić na lewo i obok dwóch kamieni - do zagrzybionej wsi. A w zagrzybionej wsi już nikt nie mieszka, tam w ogóle nie warto zaglądać. Co to, grzybów nie widzieliśmy, czy co? Kiedy moja noga jeszcze była zdrowa, nigdy nie chodziłem do tej zagrzybionej wsi, wiem, tylko że dwa wąwozy za nią mieszkają cudaki... Tak... Można by wyruszyć jutro... Tak. Słuchaj, Mruk, a wiesz ty co, lepiej tam nie pójdziemy. Nie lubię tych grzybów. Rozumiesz, grzyby w naszym lesie to co innego, jeść je można i są smaczne. A w tamtej wsi grzyby rosą zielone takie jakieś, i zapach mają paskudny. Po co tam chcesz iść? Jeszcze grzybnię tu zawleciesz. Lepiej pójdziemy do Miasta. O wiele lepiej i przyjemniej. Tyko że wobec tego jutro iść nie możemy. Trzeba zrobić zapasy jedzenia, trzeba o drogę zapytać. A może ty znasz drogę? Jeśli znasz, to ja nie będę wypytywać, bo jakoś nie przychodzi mi do głowy, kogo by tu zapytać. Może zapytać starosty, jak myślisz?

- A czy ty sam nic nie wiesz o drodze do Miasta? - zapytał Kandyd. - Ty o tej drodze wiesz bardzo dużo. Raz jeden nawet prawie do samego Miasta doszedłeś, ale przestraszyłeś się martwiaków, przestraszyłeś się, że sam jeden nie dasz sobie z nimi rady...

- Martwiaków się nie bałem i nie boję - oświadczył Kaczonóg. - Powiem ci, czego się boję. Jak ja tobą będę szedł - tego się boję. Czy ty przez cały czas będziesz milczeć? Przecież ja tak nie umiem, jeszcze czegoś się boję... Nie gniewaj się na mnie, Mruk, powiedz mi, a jeśli nie chcesz mówić głośno, to powiedz szeptem albo po prostu kiwnij głową, a jeżeli nie chcesz nawet kiwać, to teraz na przykład prawe oko masz w cieniu, zamknij je, nikt tego nie zobaczy, ja jeden zobaczę. A moje pytanie jest takie: być może ty pomimo wszystko jesteś troszeczkę martwiakiem? A ja przecież martwiaków nie znoszę, jak je widzę, z miejsca dostają dreszczy i nic na to nie mogę poradzić...

- Nie, Kaczonogu, nie jestem martwiakiem - powiedział Kandyd. - Ja sam ich nie cierpię. A jeżeli boisz się, że będę milczeć, to przecież nie pójdziemy we dwóch, już ci mówiłem. I Kułak z nami pójdzie, i Kusy, i jeszcze dwaj chłopci z Osady.

- Ja z Kułakiem nie pójdę - kategorycznie powiedział Kaczonóg. - Kułak moją córkę zabrał i nie upilnował. Ukradli mu moją córkę. Mnie nie szkoda, że ją zabrał, ale szkoda, że

nie upilnował. Szedł z nią do Osady, zaczęli się na niego złodzieje, córkę zabrali, a on ją oddał. Szukałem jej potem z twoją Nawa, szukałem, ale i tak nie znalazłem. Nie, Mruk, ze złodziejami nie ma żartów. Gdybyśmy z tobą poszli do Miasta, złodzieje nie daliby nam spokoju. Co innego do Szuwarów, tam możemy iść spokojnie. Jutro sobie pójdziemy.

- Pojutrze - powiedział Kandyd. - Ty pójdiesz, ja pójdę, Kułak, Kusy i jeszcze dwaj z Osady. I tak dojdziemy do samego Miasta.

- W sześciu dojdziemy - z przekonaniem powiedział Kaczonóg. - Sam jeden bym nie poszedł, oczywiście, ale w sześciu dojdziemy. W sześciu do samych Czarcich Gór dojdziemy, tylko że ja nie znam drogi. A może pójdziemy do Czarcich Gór? To bardzo daleko, ale w sześciu dojdziemy. Czy może nie chcesz iść do Czarcich Gór? Słuchaj, Mruk, wiesz co, najpierw dojdziemy do Miasta, a tam na miejscu zobaczymy. Tylko jedzenia trzeba zabrać bardzo dużo.

- Dobrze - powiedział Kandyd wstając. - A więc pojutrze idziemy do Miasta. Jutro pójdę do Osady, potem się z tobą zobaczę i jeszcze raz ci przypomnę.

- Wpadnij - powiedział Kaczonóg. - Sam bym wpadł do ciebie, tylko że noga mnie boli, wprost sił brak. Ale ty wpadnij. Porozmawiamy. Wiem, wielu nie lubi z tobą rozmawiać, z tobą bardzo się trudno rozmawia, Mruk, ale ja nie jestem taki. Ja już przywykłem i nawet to polubiłem. Sam przyjdź i swoją Nawę przyprowadź, udała ci się ta twoja Nawa, tylko szkoda, że dzieci nie ma, ale to nic, jeszcze będą, młoda jest ta twoja Nawa...

Na ulicy Kandyd ponownie otarł z siebie dłońmi pot. Ciąg dalszy następował. Obok ktoś zachichotał i zakasłał. Kandyd odwrócił się. Z trawy wylał starzec, pogroził węzlastym palcem i powiedział:

- A więc do Miasta się wybierasz? Patrzcie go! Ciekawie pomyślane, tylko że do Miasta nikt jeszcze nie doszedł żywy, zresztą nie wolno. Chociaż głowę masz przekreconą, to akurat powinieneś rozumieć...

Kandyd skręcił na prawo i ruszył ulicą. Starzec, płacząc się w trawie, czas jakiś włókł się za Kandydem i mamrotał: „Jeżeli czegoś nie wolno, to zawsze w jakimś sensie nie wolno, w tym albo w innym... Na przykład nie wolno bez starosty albo bez zebrania, a ze starostą albo z zebraniem wręcz przeciwnie, można, ale znowuż nie w każdym sensie... „Kandyd szedł tak szybko, na ile mu pozwalał nużący, wilgotny upał, i starzec z wolna zostawał w tyle.

Na wiejskim placyku Kandyd zobaczył Uchacza. Uchacz zataczał kręgi na chwiejnych, płaczących się krzywych nogach i wychlupywał dłońią z ogromnego garnka brązowy trawomor. Trawa dymiła i więdła w oczach. Uchacza należało wyminąć, i Kandyd

spróbował go wyminąć, ale Uchacz tak przemyślnie zmienił trajektorię, że zderzył się z Kandydem twarzą w twarz.

- A-a, Mruk! - zawołał radośnie, pośpiesznie zdejmując ramię z szyi i stawiając garnek na ziemi. - Gdzie idziesz. Mruk? Myślę, że idziesz do domu, do Navy, jak to młody, i nie wiesz tego, Mruk, że twojej Navy nie ma w domu, twoja Nava jest w polu, na własne oczy widziałem, jak twoja Nava szła na pole, możesz mi teraz wierzyć albo nie wierzyć. Naturalnie może i nie na pole, jak to młoda, ale twoja Nava szła tędy, tą właśnie uliczką, a tą uliczką nigdzie nie trafisz, jak tylko na pole, zresztą pytanie, gdzie ona jeszcze może iść? Jeszcze tylko najwyżej ciebie. Mruka, poszukać...

Kandyd ponownie spróbował wyminąć Uchacza i znowu w nie wyjaśniony, sposób stanął z nim twarzą w twarz.

- A ty nie idź za nią na pole, Mruk - mówił dalej z przekonaniem Uchacz. - Po co masz iść po nią, kiedy ja zaraz zniszczę trawę i wszystkich tu zwołam; geometra przyszedł i powiedział, że starosta mu polecił, żeby on mi kazał wytepić trawę na placu, bo niedługo będzie zebranie, tu, na placu. A jak będzie zebranie, to wszyscy tu przyjdą z pola, i twoja Nava przyjdzie, jeśli poszła na pole, bo, z drugiej strony, gdzie ona jeszcze mogła iść tą uliczką, jak nie na pole? Chociaż, jeśli dobrze pomyśleć, to tą uliczką nie tylko na pole można trafić. Można jeszcze...

Uchacz nagle zamilkł i spazmatycznie wciągnął powietrze. Powieki mu opadły, ręce jakby same z siebie uniosły się dłońmi do góry. Twarz rozciągnęła się w słodkim uśmiechu, następnie obwisła; Uchacz wyszczerzył zęby, Kandyd, który już odchodził, przystanął, żeby posłuchać. Mętny liliowy obłoczek otoczył nagle głowę Uchacza, zgęstniał. Wargi Uchacza zadrżały, zaczął mówić szybko i wyraźnie, obcym głosem z obcym akcentem; obcym, nie wiejskim stylem, nawet jakby w obcym języku, tak że zrozumiałe były tylko poszczególne zdania:

- Na dalekich rubieżach Południowych Ziem do walki przystępują wciąż nowe... cofa się coraz dalej i dalej na południe... Wielkie Przeoranie Gleby na Ziemiach Północnych zostało chwilowo wstrzymane z powodu rzadkich i sporadycznych... Nowa metoda Zabagniania pozwala na uzyskanie nowych, znacznych obszarów spokoju i natarcia w... We wszystkich osiedlach... wielkie zwycięstwa... praca i wysiłek... nowe oddziały przesławnych druhen... jutro i na zawsze Uspokojenie i Zespolenie...

Zdążył się przywlec starzec i teraz spoza ramienia Kandyda komentował z zapałem:

- We wszystkich osiedlach, słyszałeś? To znaczy, że i w naszym również... Wielkie zwycięstwa! Ciągle powtarzam: nie wolno... Uspokojenie i Zespolenie - każdy chyba rozumie. I u nas, to znaczy, że u wszystkich... nowe oddziały druhen, zrozumiałeś?

Uchacz zamilkł i przykucnął. Liliowy obłoczek roztajał. Starzec niecierpliwie szturchnął Uchacza w łyse ciemię. Uchacz zamrugnął i potarł uszy.

- O czym to ja mówiłem? - zapytał. - Audycja była czy co? Jak tam idzie Przewycięzenie? Dokonuje się czy nie? A ty, Mruk, nie idź na pole. Ty przecież, zdaje się, idziesz po swoją Navę, a twoja Nava...

Kandyd przeskoczył przez garnek z trawomorem i odszedł pośpiesznie. Głos starca szybko ucichł - może pokłócił się z Uchaczem, a może dostał zadyszki i wszedł do któregoś domu, by odsapnąć i przy okazji coś przegryźć.

Dom Kułaka stał na samym skraju wsi. Niechlujna starucha, ni to matka, ni to ciotka, powiedziała, niezyczliwie parszkając, że Kułaka nie ma w domu, Kułak jest na polu, a gdyby był w domu, to nie ma po co szukać go na polu, ale jeśli jest na polu, to czego on, Mruk, stoi niepotrzebnie?

Na polu trwał siew. Duszne nieruchome powietrze było przesycone mieszaniną ostrych zapachów, śmierdziało potem, zacierem, gnijącym zbożem. Poranny urodzaj grubą warstwą zwalono wzdłuż bruzdy i ziarno już z lekka fermentowało. Nad garnkami z zacierem krążyły i wirowały muchy robotnice, a w samym centrum tego czarnego, połyskującego metalicznie wiru stał starosta i pochyliwszy głowę, przymrużywszy jedno oko, uważnie studiował kroplę osocza na paznokciu dużego palca. Paznokciec był specjalnie przystosowany do tego celu, płaski, starannie wypolerowany, wyczyszczony do połysku odpowiednimi mieszankami. U nóg starosty, w bruzdzie, dziesięć kroków jeden od drugiego, pełzali siewcy. Już nie śpiewali, ale w głębi lasu ciągle jeszcze coś huczało i jęczało, i teraz już było jasne, że to nie echo.

Kandyd poszedł wzdłuż szeregu i pochylając się spoglądał w pochylone twarze. Kiedy odszukał Kułaka, dotknął jego ramienia, a Kułak, o nic nie pytając, wylazł z bruzdy. Brodę miał utyłaną w błocie.

- Czego, maćtrwa, mnie potrącasz? - zachrypiał patrząc na ringi Kandyda. - Kiedyś taki jeden, też, maćtrwa, potrącił, to go wzięli za ręce i za nogi, zarzucili na drzewo, do tej pory tam wisi, a jak go zdejmą, to już więcej nikogo trącać nie będzie, maćtrwa...

- Idziesz? - krótko zapytał Kandyd.

- Pewnie że idę, maćtrwa, jeżeli przygotowałem zacier na siedmiu, do domu wejść nie można, śmierdzi, że można zdechnąć, jak teraz nie iść - stara nie chce wynosić, a ja sam na ta

wszystko już patrzeć nie mogę. Tylko gdzie my idziemy? Kaczonóg wczoraj mówił, że do Szuwarów, a ja do Szuwarów nie idę, maćtrwa, tam w Szuwarach żadnych ludzi nie ma, nie mówię dziewczuch, tam jeżeli człowiek zechce kogo złapać za nogę i zarzucić na drzewo, to, maćtrwa, nie ma kogo, a dla mnie bez dziewczuchy nie ma życia, starosta do grobu mnie wpędzi... O, tam stoi, maćtrwa... gały wytrzeszczył, a sam ślepy jak kolano, maćtrwa... Jeden już tak stał, a jak mu przysunęli w oko, to już więcej nie stoi, maćtrwa, a do Szuwarów nie pójde, jak tam sobie chcesz...

- Do Miasta - powiedział Kandyd.

- Do Miasta to co innego, do Miasta to ja pójde, chociaż mówią, że żadnego Miasta w ogóle nie ma, tylko ten stary grzyb wszystko zmyśla - przylezie rano, wyżre pół garnka i zaczyna, maćtrwa, głędzić: tego nie wolno, tamtego nie wolno... Ja go pytam: a ktoś ty taki, żeby mi wyjaśniać, co wolno, a czego nie wolno, maćtrwa? Nie chce mówić, sam nie wie, coś mamrocze o jakimś Mieście...

- Idziemy pojutrze - powiedział Kandyd.

- A na co mamy czekać? - oburzył się Kułak. - Dlaczego pojutrze? Ja nie mogę nocować w domu, zacier śmierdzi, lepiej chodźmy dziś wieczorem, bo kiedyś jeden taki czekał i czekał, a jak mu dali po uszach, to od razu przestał czekać i do dzisiaj nie czeka... Starucha mnie wyzywa, wytrzymać nie można, maćtrwa! Słuchaj, Mruk, wiesz ty co, zabierzmy moją starą, może złodzieje się połaszczą, ja bym ją oddał, co?

- Idziemy pojutrze - cierpliwie powtórzył Kandyd. - A ty jesteś zuch, że przygotowałeś tyle zacieru. Wiesz, z Osady...

Nie dokończył, bo na polu rozległ się krzyk.

- Martwiaki! Martwiaki! - wrzeszczał starosta. - Kobiety do domu! Uciekajcie do domu!

Kandyd obejrzał się. Między drzewami na samym skraju pola stały martwiaki - dwa granatowe, bardzo blisko, i jeden żółty, nieco dalej. Ich głowy z okrągłymi dziurami oczu i wąską szczeliną zamiast warg obracały się powoli, ogromne ręce zwisały wzdłuż ciała. Ziemia pod ich stopami już dymiła, białe smużki pary mieszały się z siwym dymkiem.

Martwiaki były zahartowane w bojach i dlatego zachowywały się niezmiernie ostrożnie. Żółty miał cały prawy bok przeżarty trawomorem, a obydwie granatowe, poparzone zacierem, doszczętnie zarosły liszajami. Ich skóra w wielu miejscach obumarła, popękała i zwisała strzępami. Póki martwiaki stały i patrzyły, kobiety z piskiem uciekały do wsi, a mężczyźni z gadatliwym groźnym mamrotaniem stłoczyli się trzymając w pogotowiu garnki z trawomorem.

Potem starosta powiedział: „Pytam, na co my czekamy? Idziemy, co tu będziemy stać!”, i wszyscy niespiesznie ruszyli na martwiaki rozsypując się w tyralierę. „Po oczach! - wykrzykiwał starosta. - Starajcie się chlusnąć im w oczy! Najlepiej trafić „w oczy, bo jak nie w oczy, to szkoda zachodu... „W tyralierze straszili: „Hu-hu-hu! Uciekajcie stąd! Wynocha! Hu-hu-hu!” - nikt nie miał ochoty zadawać się z martwiakami.

Kułak szedł obok Kandyda wydlubując z brody zaschnięte błoto, wrzeszczał głośniejsz od innych, a w przerwach gadał:

- E-e-e, niepotrzebnie się pchamy, maćtrwa, nie wytrzymają, zaraz uciekną... Czy to są prawdziwe martwiaki? Kiepskie jakieś takie, marne... nie wytrzymają... Hu-hu-hu! Ej, tam!

Kiedy martwiaki były już o jakieś dwadzieścia kroków, ludzie stanęli. Kułak rzucił w żółtego grudką ziemi, martwiak z nieoczekiwaną zwinnością wysunął przed siebie szeroką dłoń i odbił grudkę w bok. Wszyscy znowu zahuczeli, zatupali nogami, niektórzy pokazywali martwiakom garnki i wykonywali ostrzegawcze gesty. Szkoda było trawomora i nikomu nie chciało się lecieć później do wsi, po nowy zacier, martwiaki trafiły się doświadczone, ostrożne - powinny w końcu ustąpić bez walki.

Tak też się stało. Dym i para wałaca spod nóg martwiaków zgęstniały, martwiaki cofnęły się.

- Skończone - powiedział ktoś - nie strzymały, zaraz zwieją...

Martwiaki niedostrzegalnie zmieniły się, jakby wykonały obrót wewnątrz własnej skóry. Nie było już widać ani ich oczu, ani ust, znikły między drzewami. Tam gdzie przed chwilą stały, powoli osiadał obłoczek pary.

Ludzie rozmawiając z ożywieniem ruszyli z powrotem w kierunku bruzdy. Nagle okazało się, że już czas wracać do wsi na zebranie. Poszli więc na zebranie.

- Idźcie na plac, na plac - powtarzał wszystkim starosta. - Zebranie będzie na placu, dlatego trzeba iść na plac.

Kandyd szukał wzrokiem Kusego, ale nie wiadomo dlaczego Kusego w tłumie nie było. Gdzieś przepadł Kusy. Kułak, który biegł truchtem obok, mówił:

- A pamiętasz, Mruk, jak skakałeś na martwiaka? Jak on, rozumiesz, skoczy na niego, maćtrwa, jak go złapie za głowę, obejmuje, ściska, niby Navę, maćtrwa, i jak wrzasnie... Pamiętasz, Mruk, jak wrzasnąłeś? Poparzyłeś się, wtedy, znaczy, cały później byłeś w bąblach, paskudziły się te twoje bąble, bolały... Po co ty skoczyłeś na niego, Mruk? Jeden taki też kiedyś skakał, skakał na martwiaka, zdarli mu skórę z kałduna, to teraz już więcej nie skacze, maćtrwa, i dzieciom skakać nie pozwoli... Gadają, że dlatego na niego skoczyłeś, żeby on cię zaniósł do Miasta, ale ty przecież nie jesteś dziewczyną, po co on ma cię gdzieś

nosić, zresztą żadnego Miasta, jak powiadają, w ogóle nie ma, to wszystko ten stary grzyb wymyśla, takie rozmaite słowa: Miasto, Przewycięzenie... A kto to Przewycięzenie widział? Uchacz natykał się blekotowych żuków, gada od rzeczy, a stary grzyb tylko na to czeka, nadstawia uszu i potem wszędzie łązi, wszystkich obżera i powtarza...

- Jutro rano pójde do Osady - powiedział Kandyd. - Wróce dopiero wieczorem, w ciągu dnia mnie nie będzie. A ty zobaczysz się z Kaczonogiem i przypomnisz mu, że pojutrze idziemy. Ja już przypominałem, i jeszcze przypomnę, ale ty mu przypomnij swoją drogę, bo inaczej jeszcze gdzieś sobie pójdzie...

- Już ja mu przypomnę - obiecał Kułak. - Ja mu tak przypomnę, że mu ostatnia noga odpadnie.

Na placu zebrała się cała wieś, wszyscy gadali, popychali się, sypali nasiona na nagą ziemię, żeby wyrosły derki, bo nie było na czym siedzieć. Pod nogami plątały się dzieciaki, ciągnięto jej za uszy i włosy, żeby się nie plątały. Starosta klnąc odpędzał kolumnę źle wyszkolonych mrówek, które niosły kokony much robotnic akurat przez środek placu, wypytał wszystkich, na czyj rozkaz mrówki tędy maszerują i co właściwie ma znaczyć ten skandal. Podejrzewano Uchacza i Kandyda, ale na wykrycie prawdy było już za późno.

Kandyd odnalazł Kusego, chciał z nim porozmawiać, ale nie zdążył, ponieważ zebranie zostało ogłoszone i jak zawsze pierwszy dorwał się do głosu starzec. O czym mówił, nie sposób było zrozumieć, jednakże wszyscy siedzieli cicho, słuchali, psykali na dokazujące dzieci, żeby przestały dokazywać. Niektórzy, ci, co mieli szczególnie wygodne miejsca - dobrze ukryte przed, gorącymi plamami słońca - drzemali.

Starzec długo wywnętrzał się na temat słów „nie wolno” i w jakich okolicznościach je spotykamy, nawoływał do powszechnego Przewycięzenia, groził zwycięstwami na Północy i Południu, przeklinał wieś oraz przy okazji Osadę za to, że wszędzie są już nowe oddziały druhien, a na wsi i w Osadzie ich nie ma, i Uspokojenia też nie ma ani Zespolenia, a wszystko to dzieje się dlatego, że ludzie zapomnieli, co to znaczy „nie wolno”, i wyobrażają sobie, że teraz już wszystko wolno, i taki Mruk na przykład to w ogóle wybiera się do Miasta, chociaż nikt go tam nie wzywał i wieś za to żadnej odpowiedzialności nie ponosi, dlatego że Mruk jest tu obcy, ale jeżeli nagle się okaże, że pomimo wszystko jest martwiakiem, a z taką opinią można się na wsi zetknąć, to wtedy wiadomo, co będzie, tym bardziej że Nava, chociaż też jest obca, do tej pory nie ma z Mrukiem dzieci, i dłużej tego tolerować nie wolno, a starosta toleruje...

W połowie przemówienia starosta również się zdrzemnął, znużony, ale słysząc, że o nim mowa, wzdrygnął się i natychmiast głośno wrzasnął:

- Ej, tam! Nie spać! W domu będziecie spali! Po to właśnie stoją domy, żeby w nich spać, a na placu nikt spać nie będzie, na placu odbywają się zebrania. Nie pozwalamy spać na placu, nie pozwalaliśmy dotąd i nigdy nikomu nie pozwolimy w przyszłości. - Spojrzał zezem na starca. Starzec z zadowoleniem skinął głową. - Oto jak wygląda nasze wspólne „nie wolno”. - Starosta przygładził włosy i oznajmił: - W Osadzie wyrosła narzeczona. A my mamy narzeczonego, znanego wszystkim Pyskacza. Pyskacz, wstań i pokaż się... Albo lepiej nie, lepiej posiedź sobie, my i tak wszyscy cię znamy... Zachodzi pytanie, czy puścić Pyskacza do Osady, czy też przeciwnie - narzeczoną z Osady zabrać do naszej wsi... Nie, nie, ty, Pyskacz, sobie posiedź, zadecydujemy bez ciebie... Niech tam ktoś, kto siedzi blisko Pyskacza, przytrzyma go na miejscu, póki trwa zebranie. A kto chce wyrazić pogląd, niech wstanie i wyrazi.

Poglądy były dwa. Jedni (głównie sąsiedzi Pyskacza) żądali, żeby Pyskacza pogonić do Osady: - Niech on sobie tam chwilowo pomieszkaj a my zostaniemy tutaj. - Pozostali zaś, ludzie spokojni i poważni, mieszkający z dala od Pyskacza, uważali, że przeciwnie, kobiet jakoś ostatnio jest mało i dlatego narzeczoną trzeba zabrać na wieś; chociaż Pyskacz to oczywiście Pyskacz, ale dzieci tak czy inaczej może mieć jak każdy inny. Spór trwał, długi, gorący i początkowo nawet na temat. Potem Kaczonóg bardzo niezręcznie zawołał, że czasy są teraz wojenne, a nikt o tym nie pamięta. Od razu zapomniano o Pyskaczu. Uchacz zaczął wyjaśniać, że żadnej wojny nie ma i nigdy nie było, za to jest i będzie Wielkie Przeoranie Gleby. „Jakie tam Przeoranie - nie zgodzili się w tłumie - nie Przeoranie, tylko Nieuniknione Zabagnienie. Przeoranie dawno się skończyło, od lat jest wyłącznie Zabagnienie, tylko Uchacz o tym nie wie, zresztą skąd ma wiedzieć, skoro jest Uchaczem”. Starzej wstał i wytrzeszczając oczy ochryple wrzasnął, że tego wszystkiego nie wolno, że nie ma żadnej wojny, żadnego Przeorania i żadnego głupiego Zabagnienia, za to jest, była i będzie Powszechna Walka na Północy i Południu. „Jak to nie ma wojny, maćtrwa - odpowiadano mu z tłumu - kiedy za wsią cudaków jest jezioro pełne topielców?” Zebranie eksplodowało. No to po, że topielcy? Gdzie jest woda, tam są topielcy, w tej wsi cudaków wszystko jest nie jak u ludzi, i wieś cudaków nie będzie nam rozkazywać, oni tam z gliny jedzą, w glinie mieszkają, żonę oddałeś złodziejom, a teraz opowiadasz o topielcach? Głupie gadanie, to nie są żadni topielcy ani żadna walka, ani wojna, tylko Uspokojenie i Zespolenie w celu Przewyciężenia! A w takim razie dlaczego Mruk idzie do Miasta? Mruk idzie do Miasta, to znaczy Miasto jest, a jeśli jest, to co to może być za wojna - jasne dla wszystkich!, że tylko Zespolenie! A co nas obchodzi, dokąd chce iść Mruk? Jeden też kiedyś szedł, a jak mu przyłożyli, to więcej już nigdzie nie idzie... Mruk dlatego idzie do Miasta, że Miasta nie ma, znamy tego Mruka, niby

głupi, do trzech nie zliczy, a jak trzeba, to mądry. Mruk nie da się zrobić w konia i jeżeli Miasta nie ma, to jakie znowu może być Zespolenie? Nie ma żadnego Zespolenia, kiedyś rzeczywiście było, ale już dawno go nie ma... To i Przewyciężenia też nie ma! Ej, kto tam krzyczy, że nie ma Przewyciężenia? Ty co chcesz przez to powiedzieć? No? Pyskacz! Trzymajcie Pyskacza! Ech, nie utrzymali Pyskacza! Ech, jak mogliście nie utrzymać Pyskacza?

Kandyd wiedział, że teraz to już potrwa długo, spróbował zacząć rozmowę z Kusym, ale Kusy nie miał głowy do rozmów. Kusy krzyczał z wysiłkiem:

- Przewyciężenie?! A martwiaki tu po co?! Przemilczacie martwiaków? A dlatego przemilczacie, że nie macie pojęcia, co o nich myśleć, no to krzyczycie o jakimś tam Przewyciężeniu!...

Coś jeszcze wrzeszczeli o martwiakach, potem o zagrybionych wsiach, potem zmęczeni zaczęli przycichać ocierając twarze, słabo opędzając się od sąsiadów, i szybko okazało się, że wszyscy milczą, a gadają tylko starzec i Pyskacz. Wtedy ludzie się opamiętali. Pyskacza usadzili wspólnym wysiłkiem i zapchali mu usta liśćmi. Starzec jeszcze przez jakiś czas mówił, ale stracił głos i nikt go nie słyszał. Wtedy wstał rozczochrany przedstawiciel Osady i przyciskając dłonie do piersi, tocząc dookoła błagalnym wzrokiem zaczął prosić zdartym głosem, żeby Pyskacza nie oddawano do nich, do Osady. Nie potrzeba im Pyskacza, sto lat żyli bez Pyskacza i jeszcze sto lat spokojnie przeżyją, lepiej bierzcie narzeczoną do siebie, a wtedy Osada nie poskąpi posagu, sami zobaczycie... Nikt nie miał siły na rozpoczęcie sporu od nowa - postanowiono zastanowić się i zdecydować później, tym bardziej że przecież się nie pali.

Ludzie zaczęli rozchodzić się na obiad. Kusy wziął Kandyda za rękę i odciągnął pod drzewo.

- A więc kiedy idziemy? - zapytał. - Wiesz już mi zbrzydła, ja chcę do lasu, tutaj z nudów niedługo całkiem się rozchoruję... Nie chcesz iść - to powiedz od razu, sam pójde, Kułaka albo Kaczonoga namówię i pójde razem z nimi...

- Idziemy pojutrze - powiedział Kandyd. - Zapasy przygotowałeś?

- Przygotowałem, ale zjadłem, nie mam cierpliwości patrzeć na jedzenie, kiedy tak leży bez pożytku i nikt oprócz starego nie je; ja jak na niego patrzę, to po prostu robię się chory, ja tego starego kiedyś stłukę jak psa, jeśli szybko stąd nie odejdziemy... Jak myślisz, Mruk, kto to jest ten stary, dlaczego on wszystkich objada i gdzie on mieszka? Jestem człowiek obyty, byłem chyba w dziesięciu wsiach, i u cudaków byłem, i nawet kiedyś do zamorzonych trafiłem, nocowałem u nich, o mało nie skończyłem ze strachu, a takiego starucha

nigdzie nie widziałem, to jest jakiś wyjątkowo rzadki staruch i pewnie dlatego trzymamy go zamiast zabić; ale ja już nie mam siły patrzeć, jak on w moich garnkach grzebie dniem i nocą - i na miejscu je, i ze sobą zabiera, a przecież jego jeszcze mój ojciec przeklinał, póki martwiaki ojca nie zatłukły... I że się też to wszystko w nim mieści? Popatrzeć - skóra i kości, on tam w środku nie ma miejsca na jedzenie, a tymczasem dwa garnki potrafi wylizać i jeszcze dwa zabiera ze sobą, a do tego garnków nigdy nie odniesie z powrotem... Wiesz co, Mruk, a może on nie jest jeden, może ich jest dwóch albo i trzech? Dwóch śpi, a jeden pracuje. Nażre się, obudzi następnego, a sam się kładzie, żeby odpocząć...

Kusy odprowadził Kandyda do domu, ale na obiedzie nie został - z delikatności. Opowiadał jeszcze przez jakieś piętnaście minut o tym, jak na jeziorze w Szuwarach przywabia się ryby kiwając palcem, zgodził się wpaść jutro do Kaczonoga i przypomnieć mu o podróży do Miasta, wygłosił opinię, że Uchacz to naprawdę nie żaden Uchacz, a po prostu bardzo schorowany człowiek; że martwiaki łowią kobiety, kiedy są głodne, bo mężczyźni mają twarde mięso, a martwiaki są bezzębne; obiecał przygotować na pojutrze nowe zapasy, a starca przegonić bez litości, i wreszcie odszedł.

Kandyd z trudem wciągnął powietrze i przed wejściem do domu chwilę stał w drzwiach potrząsając głową. Ty, Mruk, tylko nie zapomnij, że jutro masz iść do Osady, z samego rana iść, nie zapomnij - nie do Szuwarów, nie na Glinianą Polanę, ale do Osady. I po co ty, Mruk, wybierasz się do Osady, poszedłbyś lepiej do Szuwarów, tam jest dużo ryb... i w ogóle ciekawie... Nie zapomnij, Mruk, do Osady, nie zapomnij, Kandyd, do Osady... jutro do Osady... namawiać chłopców, bo przecież we czwórkę nie dojdziemy do Miasta... Kandyd nawet nie zauważył, jak wszedł do domu.

Navy jeszcze nie było, a przy stole siedział starzec i czekał, aż ktoś przyjdzie i da mu obiad. Spojrzał gniewnie na Kandyda i powiedział:

- Wolno chodzisz, Mruk, ja tu w dwóch domach byłem - wszędzie już jedzą obiad, a u nas pusto... Pewnie dlatego dzieci nie macie, że chodzicie powoli i w domu nigdy was nie ma, kiedy pora na obiad...

Kandyd zbliżył się do starca i chwilę stał zbierając myśli. Starzec mówił:

- Jak długo ty będziesz szedł do Miasta, kiedy na obiad nie można się ciebie doczekać? Mówią, że do Miasta jest bardzo daleko, teraz już wszystko o tobie wiem, wiem że się wybieracie do Miasta, jednego tylko nie wiem - jak ty chcesz iść do Miasta, jeżeli do garnka z jedzeniem idziesz cały dzień i dojść nie możesz... Przyjdzie mi iść z wami, już ja was zaprowadzę, od dawna wybieram się do Miasta, tylko że drogi nie znam, a wybieram się po to, żeby spełnić swój obowiązek i wszystko o wszystkim opowiedzieć komu należy...

Kandyd wziął starca pod pachy i gwałtownym ruchem wyciągnął z za stołu. Ze zdumienia starzec zamilkł. Kandyd wyniósł go z domu na wyciągniętych rękach, postawił na drodze i wytarł dłonie trawą. Starzec oprzytomniał.

- Nie zapomnijcie tylko zabrać dla mnie jedzenia - powiedział do pleców Kandyda. - Weźcie dla mnie dużo dobrego jedzenia, bo ja idę spełnić swój obowiązek, a wy dla własnej przyjemności i na przekór „nie wolno”.

Kandyd wrócił do domu, usiadł przy stole i opuścił głowę na zaciśnięte pięści. A jednak pojutrze odchodzę, pomyślał. Żebym tylko nie zapomniał: pojutrze... Pojutrze, pomyślał. Pojutrze, pojutrze.

Rozdział III

Pierec obudził się, ponieważ czyjeś zimne palce dotknęły jego nagiego ramienia. Otworzył oczy i zobaczył, że stoi nad nim człowiek w bieliźnie. W pokoju nie było światła, ale człowiek stał w blasku księżycy i widać było jego białą twarz z wytrzeszczonymi oczami.

- Czego pan chce? - zapytał szeptem Pierec.

- Trzeba opuścić - również szeptem odpowiedział człowiek.

Przecież to kierownik, z ulgą pomyślał Pierec.

- Dlaczego opuścić? - zapytał głośno i uniósł się na łokciu.

- Co opuścić?

- Hotel jest przepelniony. Musi pan zwolnić miejsce.

Pierec zaskoczony rozejrzał się po pokoju. W pokoju wszystko było jak dawniej, pozostałe trzy łóżka nadal stały puste.

- Niech się pan nie rozgląda - powiedział kierownik. - Ja wiem lepiej. I tak trzeba zmienić pościel na pańskim łóżku, żeby oddać do prania. Sam pan przecież nie wypierze, nie tak pana wychowano...

Pierec zrozumiał, że kierownik jest w potwornym strachu i zachowuje się po chamsku, żeby przydać sobie śmiałości. Był teraz w takim stanie, że wystarczy go dotknąć - a zacznie wyć, piszczeć, dostanie konwulsji, wyważy ramę okienną i będzie wołać o pomoc.

- Szybciej, szybciej - powiedział kierownik i z jakąś przerażającą niecierpliwością pociągnął poduszkę Piereca. - Pościel, mówię...

- Co się dzieje? - zapytał Pierec. - Koniecznie teraz? W nocy?

- Natychmiast.

- O Boże - powiedział Pierec. - Pan chyba oszalał. No dobrze... Niech pan zabiera pościel, obejdę się, już tylko ta noc mi została.

Wylazł z łóżka na zimną podłogę i zaczął zdejmować powłoczkę z poduszki. Kierownik, osłupiały, patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami. Jego wargi poruszały się.

- Remont - powiedział wreszcie. - Pora robić remont. Tapety odłóżą, sufit popękał, trzeba wymienić podłogę... - głos mu okrzepł. - Więc pokój tak czy inaczej musi pan zwolnić. Zaraz zaczniemy tu remont.

- Remont?

- Remont. Widzi pan, co się stało z tapetami? Zaraz tu przyjdą robotnicy.

- Zaraz teraz?

- Zaraz teraz. Dalsze czekanie jest zbrodnią. Sufit cały popękał. Tylko patrzeć, jak nie daj Boże...

Pierec dostał dreszczy. Zostawił w spokoju powłoczkę i wziął do ręki spodnie.

- Która godzina? - zapytał.

- Już pierwsza - powiedział kierownik, znowu przechodząc na szept i, nie wiadomo dlaczego, rozglądając się po kątach.

- Dokąd mam teraz pójść? - zapytał Pierec, nieruchomiejąc z jedną nogą w nogawce. - Niech mnie pan gdzieś położy. W innym pokoju...

- Przepelnienie. A gdzie nie ma przepelnienia, tam jest remont.

- No to w dyżurce.

- Przepelnienie.

Pierec bez odrobiny nadziei popatrzył na księżyc.

- No to choćby w spiżarni - powiedział. - W spiżarni, w magazynie, w izolatce. Mam przed sobą tylko sześć godzin snu. Albo może dałoby się przenocować u pana...

Kierownik nagle zaczął się miotać po pokoju. Biegał między łózkami, bosy, biały, straszny jak upiór. Potem zatrzymał się i powiedział jęśliwym głosem:

- Co tu się dzieje? Przecież ja też jestem cywilizowanym człowiekiem, ukończyłem dwa fakultety, nie to co jakiś tam tubylec... Przecież wszystko rozumiem! Ale to niemożliwe, niechże pan zrozumie! W żaden sposób! - podskoczył do Piereca i zaszeptał mu w ucho. - Pańska wiza się skończyła! Dwadzieścia siedem minut temu, a pan jeszcze tutaj! Nie wolno panu tu być. Bardzo pana proszę... - padł na kolana i wyciągnął spod łóżka buty i skarpetki Piereca. - Obudziłem się za pięć dwunasta cały spocony - mamrotał. - No, myślę, koniec. Koniec ze mną. Pobiegłem, jak stałem. Nic nie pamiętam. Jakieś obłoki na ulicach, jakieś gwoździe chwytają za nogi... A moja żona niedługo ma rodzić! Proszę, niechże się pan ubiera...

Pierec ubrał się spiesznie. Kombinował raczej słabo. Kierownik ciągle biegał między łózkami, człapiąc po księżycowych kwadratach, wyglądał na korytarz, wychylał się przez okno i szeptał: „Boże mój, jak ja mogłem...”

- Czy mogę chociaż walizkę zostawić u pana? - zapytał Pierec.

Kierownik szczęknął zębami.

- W żadnym wypadku! Przecież pan mnie zgubi... Jak można tak nie mieć serca! Mój Boże, mój Boże!

Pierec zebrał książki, z trudem zamknął walizkę, wziął na rękę płaszcz i zapytał:

- No i dokąd mam teraz iść?

Kierownik nie odpowiedział. Czekał, przytupując z niecierpliwości. Pierec podniósł walizkę i po cichych, ciemnych schodach wyszedł na ulicę. Zatrzymał się na ganku i starając się opanować drżenie, czas jakiś słuchał, jak komendant wbijał do głowy sennemu dyżurnemu: „... będzie prosić, żeby go z powrotem wpuścić. W żadnym razie! On (niewyraźny, złowieszczy szept)... Zrozumiałeś? Odpowiadasz...” Pierec usiadł na walizce i położył płaszcz na kolanach.

- O, co to, to nie. Przepraszam - powiedział kierownik za jego plecami. - Proszę zejść z ganku. Poproszę, żeby pan całkowicie opuścił terytorium hotelu.

Trzeba było zejść i postawić walizkę na jezdni. Kierownik podreptał jeszcze chwilę, mamrocząc: „Bardzo proszę... Żona... Żadnych ekscesów... Skutki... Nie wolno...” - i odszedł bielejąc bielizną, skradając się wzdłuż płotu. Pierec popatrzył na ciemne okna willi, na ciemne okna Zarządu, na ciemne okna hotelu. Światła nigdzie nie było, nie paliły się nawet uliczne latarnie. Był tylko księżyc - okrągły, lśniący i jakiś taki złowrogi.

I nagle pojął, że jest sam, że nie ma nikogo. Wokół śpią ludzie, którzy mnie lubią, wiem o tym, widziałem to wiele razy. A jednak jestem sam, jakby wszyscy nagle umarli albo stali się moimi wrogami. I kierownik, dobry, szpetny człowiek z chorobą Basedowa, pechowiec, który przyłgnął do mnie od pierwszego dnia... Graliśmy na cztery ręce na pianinie, dyskutowaliśmy i byłem jedynym, z którym ośmielał się dyskutować, tylko przy mnie czuł się pełnowartościowym człowiekiem, a nie ojcem siedmiorga dzieci. I Kim. Wrócił z kancelarii i przyniósł ogromną teczkę z donosami. Dziewięćdziesiąt dwa donosy. Na mnie. Wszystkie napisane jednym charakterem pisma i podpisane różnymi nazwiskami. Że kradnę na pocztę państwowy lak, że przywiozłem w walizce nieletnią kochankę i trzymam ją w piwnicy piekarni, i że ja nie tylko to, a jeszcze wiele różnych rzeczy... I Kim czytał te donosy, jedne wrzucał do kosza, a inne odkładał na bok, mamrocząc: „To trzeba rozważyć” I było to niespodziewane i okropne, wstrętne i bezsensowne... Jak niepewnie spoglądał na mnie i jak natychmiast spuszczał oczy...

Pierec wstał, wziął walizkę i powłókł się, gdzie oczy poniosą. Oczy niosły donikąd. Zresztą nie było na co patrzeć na ciemnych, pustych ulicach. Potykał się, kichał od kurzu i zdaje się kilkakrotnie upadł. Walizka była nieprawdopodobnie ciężka i jakaś taka nieusłuchana. Ciężko uderzała o nogę, potem niezgrabnie odpyływała w bok i powracając z ciemności z rozpędem uderzała w kolano. W ciemnej alei parku, gdzie zupełnie nie było światła i tylko nierealne jak kierownik posągi niewyraźnie bieleły w mroku, walizka nagle wczepiła się w nogawkę jakąś odgiętą sprzączką i Pierec, zdesperowany, odrzucił ją od siebie. Nadeszła godzina rozpacz. Płacząc, oślepy od łez Pierec przedarł się przez kłujący i

zakurzony żywopłot, stoczył się po stopniach, upadł, boleśnie uderzając plecami i już zupełnie bezsilny, zachłystując się krzywdą i żalem, opadł na kolana przy skraju urwiska.

Ale las pozostał obojętny. Był tak obojętny, że nawet nie było go widać. Pod urwiskiem panowała ciemność i tylko na samej linii horyzontu coś rozległe, szare, bezkształtne i nawarstwione wątle połyskiwało w blasku księżyca.

- Zbudź się - poprosił Pierec. - Spójrz na mnie chociażby teraz, kiedy jesteśmy sami, nie obawiaj się, oni wszyscy śpią. Czy naprawdę żaden z nas nie jest ci potrzebny. Albo, być może, nie rozumiesz, co to znaczy - potrzebny? To wtedy, kiedy nie sposób obejść się bez... To wtedy, kiedy cały czas myślisz o... To wtedy, kiedy przez całe życie dążysz do... Nie wiem, jaki ty jesteś. Nie wiedzą tego nawet ci, którzy są absolutnie przekonani, że wiedzą. Jesteś taki, jaki jesteś, ale przecież mogę mieć nadzieję, że jesteś taki, jakim przez całe życie chciałem cię widzieć - dobry i mądry, wyrozumiały i pamiętający, uważny i być może nawet szlachetny. Roztrwoniliśmy to wszystko, nie starcza nam na to ani sił, ani czasu, potrafimy tylko wznosić pomniki coraz większe, coraz wyższe, ale pamiętać - pamiętać już nie umiemy. Ale ty przecież jesteś inny i dlatego przyszedłem do ciebie z daleka, nie wierząc, że istniejesz naprawdę. Więc czy nie jestem ci potrzebny? Powiem ci prawdę. Boję się, że ty również nie jesteś mi potrzebny. Popatrzyliśmy na siebie, ale nie staliśmy się przez to bliżsi, chociaż powinno było zdarzyć się zupełnie inaczej. A może to oni stanęli między nami? Jest ich wielu, a ja jestem sam, ale jestem jednym z nich i zapewne nie rozróżniasz mnie w tłumie, zresztą może i nie warto mnie odróżniać. Być może sam wymyśliłem te ludzkie cechy, które powinny ci się podobać, ale nie tobie, jaki jesteś, tylko tobie, którego „wymyśliłem...”

Znad horyzontu wypląnęły nagle i powoli jasne, białe skrzepy światła, zawisły, nabrzmiały i natychmiast po prawej stronie pod skałą, pod skalnym nawisem, konwulsyjnie zatańczyły smugi reflektorów, omiotły niebo grzężnąc w warstwach mgły. Skrzepy światła nad horyzontem puchły, rozsnuły się, zamieniły w białawe obłoczki i zgasły. Po minucie zgasły również reflektory.

- Oni się boją - powiedział Pierec. - Ja też się boję. Ale ja boję się nie tylko ciebie, boję się też o ciebie. Ty ich przecież jeszcze nie znasz. Zresztą i ja znam ich niezbyt dobrze. Wiem tylko, że są zdolni do wszelkich skrajności, do najskrajniejszej tępoty i mądrości, okrucieństwa i miłosierdzia, gniewu i wytrwałości. Tylko jednego nie potrafią - zrozumieć. Zawsze zastępowali zrozumienie jakimiś surogatami - wiarą, niewiarą, obojętnością, lekceważeniem. I jakoś zawsze okazywało się, że to jest najłatwiejsze. Łatwiej uwierzyć niż zrozumieć. Łatwiej rozczarować się niż zrozumieć. Nawiasem mówiąc, jutro wyjeżdżam, ale to jeszcze nic nie znaczy. Tu nie mogę ci pomóc, tu wszystko zbyt skostniało. Zbyt wyraźnie

jestem tu obcy i zbędny. Ale jeszcze znajdę punkt przyłożenia siły, nie martw się. To prawda, że oni mogą nieodwracalnie cię zapaskudzić, ale na to też potrzeba czasu, i to sporo - muszą przecież jeszcze znaleźć najefektywniejszy, najekonomiczniejszy, a przede wszystkim prosty sposób. Powojujemy jeszcze, jeśli będzie o co wojować... Do widzenia.

Pierec wstał z klęczek i powędrował z powrotem, przez krzaki, do parku, a potem aleją. Próbował odszukać walizkę, ale jej nie znalazł. Wtedy wrócił na centralną ulicę, pustą, rozjaśnioną tylko blaskiem księżyca. Była już druga w nocy, kiedy zatrzymał się przed gościnnie otwartymi drzwiami biblioteki Zarządu. Okna biblioteki zasłaniały ciężkie portiere, a jej wnętrze było jasno oświetlone jak sala tańców. Rozeschnięty parkiet rozpaczliwie skrzypiał, a wokół były książki. Zapchane książkami regały, stopy książek na stołach i po kątach, a oprócz Piereca i książek w bibliotece nie było nikogo.

Pierec usiadł w starym fotelu, wyciągnął nogi przed siebie, odchylił się do tyłu i spokojnie położył ręce na poręczach.

- „No i co tak stoicie? - zapytał. - Nieroby! Czy po to was napisano? Zameldujcie, złóżcie raport, jak idą siewy i ile już zasiano? Ile zasiano tego, co rozumne, wieczne, dobre? Jakie są widoki na urodzaj? I - co najważniejsze - jak kiełkowanie? Milczycie... Na przykład ty, jak ci tam... Tak, właśnie ty, dylogio! Ilu ludzi cię przeczytało? A ilu zrozumiało? Bardzo cię lubię, stary, jesteś dobrym i uczciwym kolegą. Nigdy nie wrzeszczałeś, nie pysniłeś się, nie biłeś się w piersi. Dobry, uczciwy. Ci, którzy cię czytają, również stają się dobrzy i uczciwi. Chociażby na jakiś czas. Chociażby wtedy, kiedy są sami ze sobą... Ale wiesz, istnieje również pogląd, że po to, aby maszerować naprzód, dobroć i uczciwość nie jest tak konieczna. Potrzebne są nogi. Oraz buty. Można nawet mieć nie myte nogi i nie wyczyszczone buty... Postęp może okazać się absolutnie obojętny wobec takich pojęć jak dobroć i uczciwość, podobnie, jak był obojętny do tej pory. Na przykład Zarząd, żeby sprawnie funkcjonować, nie wymaga ani uczciwości, ani dobroci. Cechy miłe, chętnie widziane, ale idealnie nieprzydatne. Jak łacina łąziebnemu. Jak bicepsy buchalterowi. Jak Domaroszczynerowi szacunek dla kobiet... Wszystko zależy od tego, jak pojmować postęp. Na przykład, że postęp to pojawienie się słynnego „za to” - alkoholik, ale za to wspaniały specjalista, rozpustnik, ale za to wspaniały kaznodzieja, złodziej, oszust przecież, ale za to jakież administrator! Morderca, ale za to jaki zdyscyplinowany i lojalny... A można pojmować postęp jako przekształcanie wszystkich ludzi w dobrych i uczciwych. I wtedy, być może, dożyjemy kiedyś takich czasów, kiedy będzie się mówić - to rzeczywiście świetny specjalista, ale paskudny typ, im prędzej się go przepędzi, tym lepiej.

Słuchajcie, książki, czy wy wiecie, że jest was więcej niż ludzi? Gdyby wszyscy ludzie zniknęli, mogłybyście zasiedlić Ziemię i byłybyście dokładnie takie same jak ludzie. Są wśród was dobre, uczciwe, mądre, wykształcone, a także lekkomyślne i puste, sceptycy, szaleńcy, mordercy, deprawatorzy, dzieci nudni kaznodzieje, nadęci głupcy i zachrypli krzykacze o przekrwionych oczach. I nie wiedziałybyście, po co istniejecie. No bo rzeczywiście, po co? Wiele z was daje wiedzę, ale po co komu w lesie wiedza? Wiedza nie ma z lasem nic wspólnego. To zupełnie tak, jeśliby budowniczego słonecznych miast przyszłości nauczono zasad fortyfikacji i potem, choćby nie wiem jak starał się zbudować stadion albo sanatorium, zawsze by mu wychodziła ponura reduta ze strzelnicami, blankami i fosą. To, co dałyście ludziom, którzy przyszli do lasu, to nie wiedza, tylko zabobon... A niektóre z was wszczepiają niewiarę i zwątpienie. I nie dlatego, że są ponure czy okrutne albo że każą porzucić nadzieję, a dlatego, że kłamią. Czasem kłamią promiennie, z dziarską pieśnią na ustach i zawadiackim przytupem, czasem płaczkliwie jęcząc i usprawiedliwiając się - ale kłamią. Z jakiegoś powodu takich książek nigdy nie palą na stosach, nigdy nie wycofują z bibliotek, nie było jeszcze wypadku w historii ludzkości, żeby kłamstwo rzucono w ogień. Może tylko przypadkiem lub kiedy przez pomyłkę im uwierzono. W lesie także są niepotrzebne. Nigdzie nie są potrzebne. Pewnie właśnie dlatego jest ich tak dużo... To znaczy nie dlatego, że ludzie je lubią. *Precz z mrokiem gorzkich prawd, wybierzmy kłamstwo, co wznosi nas, choć mami.* Co? Kto tu rozmawia? Ach, to ja rozmawiam... A więc mówię, że są jeszcze książki..." Co?

- Ciszej, niech śpi...

- Zamiast spać, lepiej by się napił.

- Przestań tak skrzypieć... Oj, przecież to Pierec!

- No to co, że Pierec, lepiej uważaj, żebyś nie spadła.

- Zmarnowany jaki, zaniedbany.

- Nie jestem zmarnowany - wymamrotał Pierec i obudził się.

Przed stelażem, naprzeciw, była biblioteczna drabinka. Na jej górnym szczeblu stała Alewtina z pracowni fotograficznej, a na dole szofer Tuzik trzymał drabinkę wytatuowanymi rękami i patrzył w górę.

- Nigdzie sobie nie może znaleźć miejsca - powiedziała Alewtina patrząc na Piereca. - I kolacji na pewno też nie jadł. Trzeba by go obudzić, niech się chociaż wódki napije... Ciekawe, co tacy ludzie widzą w swoich snach?

- A ja wiem, co widzę na jawie! - powiedział Tuzik, patrząc w górę.

- Coś nowego? - zapytała Alewtina. - Nigdy przedtem nie widziałeś?

- Nie - powiedział Tuzik. - Nie można powiedzieć, żeby specjalnie coś nowego, ale to jak czasem w kinie - dwudziesty raz patrzysz i ciągle ci się podoba.

Na trzecim szczeblu drabiny, licząc od dołu, leżały pajdy ogromnej strucli, na czwartym szczeblu ogórki i obrane pomarańcze, a na piątym szczeblu opróżniona do połowy butelka i plastikowa szklaneczka na ołówki.

- Jak chcesz, to możesz sobie patrzeć, ale drabinę trzymaj mocno - powiedziała Alewtina i zaczęła wyciągać z górnej półki grube periodyki i wypłowiałe kartonowe teczki. Zdmuchiwała z nich kurz, marszczyła czoło, kartkowała pisma, jedne teczki odkładała na bok, a inne ustawiała na poprzednich miejscach. Szofer Tuzik głośno sapał.

- A te sprzed dwóch lat są ci potrzebne? - zapytała Alewtina.

- Mnie teraz jedno jest potrzebne - zagadkowo odpowiedział Tuzik. - I zaraz obudzę Piereca.

- Nie odchódź od drabiny - powiedziała Alewtina.

- Ja nie śpię - powiedział Pierec. - Już ód dawna na was patrzę.

- Stamtąd nic nie widać - powiedział Tuzik. - Niech pan tu podejdzie, panie Pierec, tu jest wszystko - i kobiety, i wino, i owoce...

Pierec wstał i utykając na zdrętwiałą nogę podszedł do drabiny i nalał sobie z butelki.

- Co pan widział we śnie? - zapytała z góry Alewtina.

Pierec mimo woli spojrział w górę i natychmiast spuścił oczy.

- Co widziałem... Jakiś idiotyzm... Rozmawiałem z książkami...

Wypił i wziął cząstkę pomarańczy.

- Niech pan potrzyma chwileczkę, panie Pierec - powiedział Tuzik. - Ja też sobie naleję.

- No więc potrzebne ci są te sprzed dwóch lat? - zapytała Alewtina.

- No a jak? - powiedział Tuzik. Nalał sobie do szklaneczki i wybierał ogórek. - I sprzed dwóch lat, i sprzed trzech lat... Zawsze mi są potrzebne. Zawsze to miałem i bez tego żyć nie potrafię. Zresztą bez tego nikt nie potrafi żyć. Jednemu potrzeba więcej, drugiemu mniej... Zawsze mówię, przestańcie mnie uczyć, już taki jestem - Tuzik wypił i z nadzwyczajnym apetytem zaczął chrupać ogórek. - A tak się nie da żyć, jak ja tu żyję. Jeszcze trochę może wytrzymam, a potem zabiorę samochód, pojedę do lasu i złowię sobie rusałkę...

Pierec trzymał drabinę i próbował myśleć o jutrzejszym dniu, a Tuzik przysiadł na najniższym szczeblu i zaczął opowiadać, jak w czasach młodości on i jego kumple złapali na przedmieściu parkę, kawalera zbili i przepędzili, a panienkę próbowali spożytkować. Było zimno, wilgotno i z powodu przesadnie młodego wieku nikomu nic nie wychodziło, panienka

plakała, bała się i kumple rezygnowali jeden po drugim, tylko on, Tuzik długo laźł za nią przez opłotki, brudnymi podwórzami, łapał ją, kłął i ciągle mu się zdawało, że jeszcze chwila i coś z tego wyjdzie, ale nic nie wychodziło, aż wreszcie doprowadził ją do samego domu i tam na ciemnej klatce schodowej przycisnął ją do poręczy i w końcu dopiął swego. W wersji Tuzika historia wydawała się pasjonująca i nadzwyczaj ucieszna.

- Tak że rusałki mi nie uciekną - powiedział Tuzik. - Swojego nie przepuszczam i teraz też nie przepuszczę. U mnie co na wystawie, to i w sklepie. Bez żadnego oszukaństwa.

Twarz Tuzika była smagła” i przystojna, miał gęste brwi, żywe oczy i usta pełne wspaniałych zębów. Przypominał Włocha. Tyle że nogi mu śmierdziały.

- Boże, co to się wyprawia - powiedziała Alewtina. - Wszystkie teczki poprzekładali. Masz, trzymaj na razie te.

Pochyliła się i podała Tuzikowi stos teczek i czasopism. Tuzik wziął je, przerzucił kilka stron, coś tam przeczytał poruszając wargami, przeliczył teczki i powiedział:

- Potrzebne jeszcze dwie sztuki.

Pierec ciągle trzymał drabinę i patrzył na swoje zaciśnięte pięści. Jutro o tej porze już mnie tu nie będzie, myślał. Będę siedzieć w szoferce obok Tuzika, będzie gorąco, blacha dopiero zacznie stygnąć. Tuzik włączy reflektory, usadowi się wygodnie, lewy łokieć wystawi przez okno i zacznie snuć rozważania o polityce międzynarodowej. O niczym innym gadać mu nie pozwolę. Niech się zatrzymuje przy każdej knajpie, niech bierze, kogo chce na łebka, niech nawet pojedzie dalszą drogą żeby komuś tam przywieźć młockarnię z naprawy. Ale gadać mu pozwolę tylko o polityce. Albo będę go wypytywał o samochody różnych marek. O normy zużycia benzyny, o wypadki, o zabijanie łapówkarzy-inspektorów. Umie ciekawie opowiadać, nigdy nie wiadomo, czy łże, czy mówi prawdę...

Tuzik wypił jeszcze jedną porcję, cmoknął, popatrzył na nogi Alewliny i zaczął opowiadać dalej, wierząc się, gestykulując i wybuchając radosnym śmiechem. Skrupulatnie, trzymając się chronologii, wykładał historię swojego seksualnego życia, jak ono wyglądało z roku na rok, z miesiąca na miesiąc. Kucharka z obozu koncentracyjnego, w którym siedział za kradzież papieru w czasie głodu (kucharka przygadywała: „Uważaj, Tuzik, żebyś się tylko „nie zbłąźnił”), córka więźnia politycznego z tego samego obozu (było jej wszystko jedno, kto, była przekonana, że prędzej czy później pójdzie przez komin), żona jednego marynarza z portowego miasta, która sądziła, że w taki właśnie sposób odegra się na swoim mężu-dziwkarzu za nieustanne zdrady. Bogata wdowa, od której w pewnym momencie Tuzik musiał uciekać w samych kałesonach, ponieważ chciała przywłaszczyć sobie biednego Tuzika i zmusić go do handlu narkotykami i jeszcze jakimiś wstydliwymi preparatami. Kobiety, które

woził, kiedy był kierowcą taksówki - płacili mu po kaflu od gościa, a pod koniec nocy w naturze („... ja jej mówię, no co ty, co o mnie ludzie pomyślą, ty już z czterema, a ja jeszcze z żadną... „). Potem żona, piętnastoletnia dziewczyna, z którą ożenił się za specjalną zgodą władz - urodziła mu bliźnięta i koniec końców odeszła od niego, kiedy popróbował podkładać ją kolegom, w zamian za kochanki tychże kolegów. Kobiety... dziwki... ścierwa... dziewczynki... suki...

- Tak że nie jestem żadnym tam rozpustnikiem - powiedział na zakończenie. Po prostu mężczyzna z temperamentem, a nie jakiś tam byle impotent...

Dopił wódkę, zabrał teczek i wyszedł bez pożegnania, skrzypiąc parkietem i pogwizdując, dziwnie przygarbiony, zaskakująco podobny teraz ni to do pająka, ni to do jaskiniowca. Pierec bezradnie patrzył za nim, kiedy Alewtina powiedziała:

Niech mi pan poda rękę.

Przykucnęła na Ostatnim szczeblu, położyła mu dłonie na ramionach, cichutko pisnęła i zeskoczyła na dół. Pierec złapał ją pod pachy i postawił na podłodze, stali przez jakiś czas blisko siebie, twarzą w twarz. Ona trzymała mu dłonie na ramionach, a on trzymał ją pod pachami.

- Wyrzucili mnie z hotelu - powiedział.

- Wiem - powiedziała. - Chodźmy do mnie, chce pan?

Była dobra i ciepła, spokojnie patrzyła mu w oczy, chociaż bez specjalnego przekonania. Patrząc na nią można było sobie wyobrazić bardzo wiele dobrych i ciepłych, słodkich obrazków i Pierec chciwie przekartkował je wszystkie jeden po drugim, spróbował zobaczyć obok niej siebie samego, ale nagle poczuł, że nic z tego nie wychodzi, zamiast siebie widział Tuzika ze śmierdzącymi nogami, bezczelnego, precyzyjnego w działaniu.

- Chyba nie - powiedział i zabrał ręce. - Jakoś tam sobie poradzę.

Alewtina natychmiast odwróciła się i zaczęła zbierać resztki jedzenia na rozłożoną gazetę.

- A po co - jakoś tam? - zapytała. - Mogę panu pościelić na kanapie. Prześpi się pan do rana, a rano znajdziemy panu pokój. Nie można przecież wszystkich nocy spędzać w bibliotece...

- Dziękuję - powiedział Pierec. - Tylko że ja jutro wyjeżdżam.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Wyjeżdża pan? Do lasu?

- Nie, do domu.

- Do domu... - Powoli pakowała jedzenie w gazetę. - Ale przecież pan koniecznie chciał dostać się do lasu, sama słyszałam.

- Tak, rzeczywiście chciałem... Ale nie wpuszczają mnie. Nawet nie wiem, dlaczego. A w Zarządzie nie mam co robić. Więc umówiłem się... Tuzik jutro mnie odwiezie. Teraz już jest trzecia. Pójdę do garażu, wsiądę do ciężarówki i poczekam w niej do rana. Proszę się nie martwić...

- To znaczy, że trzeba się pożegnać... A może jednak pójdzie pan do mnie?

- Dziękuję, ale ja już lepiej w ciężarówce... Boję się, że zaśpię. Tuzik przecież nie będzie na mnie czekać.

Wyszli na ulicę i ramię przy ramieniu poszli w stronę garażu.

- Nic podobało się panu to, co Tuzik opowiadał? - zapytała.

- Nie - odpowiedział Pierec. - Zupełnie się nie podobało. Nie lubię, kiedy się o tym opowiada. Po co? Jest mi wstyd... Wstydzę się za niego, za panią i za siebie... Za wszystkich. Strasznie to jakoś bezmyślne. Jakby wymyślone z beznadziejnych nudów.

- Najczęściej to robi się z nudów - powiedziała Alewtina. - A za mnie może się pan nie wstydzić, mnie to nie interesuje. Jest mi to całkowicie obojętne... Przyszliśmy. Proszę mnie pocałować na pożegnanie.

Pierec pocałował ją, czując jakiś niejasny żal.

- Dziękuję - powiedziała Alewtina, zawróciła i szybko poszła w przeciwnym kierunku. Pierec nie wiadomo po co pomachał jej ręką.

Potem wszedł do garażu oświetlonego niebieskimi żarówkami, przekroczył strażnika chrapiącego na siedzeniu wyciągniętym z samochodu, znalazł ciężarówkę Tuzika i wdrapał się do szoferki. Śmierdziało gumą, benzyną i kurzem. Na przedniej szybie chwiała się rozczapierzona Mickey Mouse. Sympatycznie, pomyślał Pierec, przytulnie. Trzeba było od razu tu przyjść. Dookoła stały milczące samochody, ciemne, puste. Głośno chrapał strażnik. Spały samochody, spał strażnik, spał cały Zarząd. A Alewtina rozbierała się przed lustrem w swoim pokoju, obok pościelonego łóżka, miękkiego, szerokiego, jak raz na dwie osoby... Nie, nie trzeba. Dlatego, że w dzień przeszkadza gadanina, stukot „Mercedesa”, bezmyślny administracyjny chaos, a teraz nie ma ani wykorzenienia, ani infiltracji, ani straży, ani pozostałych złowieszczych idiotyzmów, a jest senny świat nad urwiskiem, widmowy jak wszystkie senne światy, niewidzialny, niesłyszalny i wcale nie bardziej realny niż las. Las teraz jest nawet realniejszy - przecież las nigdy nie śpi. A być może śpi i my wszyscy mu się śnimy. My - to sen lasu. Atawistyczny sen. Prymitywne upiory jego zamierającego seksu.

Pierec położył się, podkurczył nogi, podsunął pod głowę zmięty płaszcz. Mickey Mouse powoli kołysała się na nitce. Na widok maskotki dziewczyny zawsze wołały: „Ach, jaka śliczna!”, a szofer Tuzik odpowiadał: „Co na wystawie, to i w sklepie”. Dźwignia zmiany biegów ugniała bok i Pierec nie wiedział, co z nią zrobić. Może, jeśli ją ruszyć, samochód pojedzie. Najpierw powoli, potem coraz szybciej, prosto na śpiącego strażnika, a Pierec będzie się miotać po kabinie i naciskać wszystko, co mu wpadnie pod rękę i pod nogi, a strażnik coraz bliżej i widać jego otwarte, chrapiące usta. Potem samochód podskakuje, gwałtownie skręca, „wpada na ścianę garażu, i w wyrwie widać granatowe niebo...”

Pierec obudził się i zobaczył, że jest już rano. W otwartych drzwiach garażu mechanicy palili papierosy i widać było żółty od słońca plac przed garażem. Była siódma. Pierec usiadł, przetarł twarz i spojrział w lusterko. Warto by się ogolić, pomyślał, ale z samochodu nie wysiadł. Tuzika nie było i należało czekać na niego tu, na miejscu, ponieważ wszyscy kierowcy mają krótką pamięć i zawsze odjeżdżają bez niego! Piereca. Są dwie zasady traktowania kierowców - po pierwsze Nigdy nie wysiadać z samochodu, jeśli tylko możesz siedzieć i czekać, po drugie - nigdy nie dyskutuj z szoferem, który ciebie wiezie. W ostatecznym razie udawaj, że śpisz..

Mechanicy przy wejściu rzucili niedopałki, starannie rozdeptali je i weszli do garażu. Jednego Pierec nie znał, drugi, jak się okazało, to w ogóle nie był mechanik, tylko menadżer. Przeszli obok samochodu, przy czym menadżer zatrzymał się obok szoferki, położył dłoń na błotniku i, nie wiadomo dlaczego, zajrzał pod ciężarówkę. Potem Pierec usłyszał, jak wydaje polecenia: „No rusz się, przynieś lewar”. „A gdzie on jest?” - zapytał nieznajomy mechanik. „...! - spokojnie powiedział menadżer. - Zobacz pod siedzeniem”. „Skąd ja mam wiedzieć - z irytacją powiedział mechanik. - Uprzedzałem pana, że jestem kelnerem... „Czas jakiś trwała cisza, potem ktoś otworzył drzwi szoferki i pojawiła się w nich ponura, rozdrażniona twarz kelnera-mechanika. Popatrzył na Piereca, obejrzał wewnątrz szoferki, nie wiadomo po co szarpnął kilkakrotnie kierownicę, następnie wsadził ręce pod siedzenie i zaczął tam szczekać żelastwem.

- Może to jest lewarek? - zapytał niegłośno.

- N-nie - odpowiedział Pierec. - To jest, moim zdaniem, klucz francuski.

Mechanik podniósł klucz na wysokość oczu, obejrzał go zaciskając wargi, odłożył na stopień i znowu włożył ręce pod siedzenie.

- To? - zapytał.

- Nie - odpowiedział Pierec. - Wiem z całą pewnością. To arytmometr. Lewarki wyglądają inaczej.

Kelner-mechanik, marszcząc niskie czoło, studiował arytmometr.

- A jak? - zapytał.

- N-no... to taki kij żelazny... Bywają rozmaite. Mają taką ruchomą korbkę...

- Tu właśnie jest korbka. Jak przy kasie.

- Nie, tamta korbka jest zupełnie inna.

- A jeżeli tę pokręcić, to co będzie?

Pierec zastanowił się. Mechanik odczekał, z westchnieniem postawił arytmometr na stopniach samochodu i znowu zaczął grzebać pod siedzeniem.

- Może to? - zapytał.

- Niewykluczone. Bardzo podobne. Tylko że tam pot winien być jeszcze taki żelazny pręt. Gruby.

Mechanik znalazł również pręt. Zważył go na dłoni, powiedział: „Dobra, zaniosę mu to na początek” - i odszedł, zostawiając drzwi otwarte. Pierec zapalił papierosa. Gdzieś z tyłu szczęknęło żelazo, ktoś przeklinał. Potem ciężarówka zaczęła stękać i podrygiwać.

Tuzika ciągle nie było, ale Pierec nie denerwował się. Wyobrażał sobie, jak pojedą główną ulicą Zarządu i nikt na nich nie będzie patrzył. Potem skręcą na polną drogę, pociągną za sobą chmurę żółtego pyłu, słońce będzie wznosić się coraz wyżej i wyżej po prawej stronie samochodu, prędko zacznie przypiekać, potem zjadą z polnej drogi na szosę, a szosa będzie długa, lśniąca i nudna, na horyzoncie pojawią się drżące miraży, podobne do wielkich, błyszczących kałuż...

Mechanik znowu przeszedł obok kabiny tocząc przed sobą wielkie tylne koło. Koło rozpedziło się na betonowej podłodze, było widać, że mechanik próbuje zatrzymać je i oprzeć o ścianę, ale koło tylko nieznacznie zmieniło kierunek, wytoczyło się na dwór i mechanik niezgrabnie pobiegł za nim, coraz bardziej zostając z tyłu. Potem i koło, i mechanik znikli z oczu i na dworze rozległ się rozpaczliwy krzyk mechanika. Dał się słyszeć tupot wielu nóg i obok bramy, z okrzykami: „Łapać! Zachodź z prawej!” przebiegli jacyś ludzie.

Pierec spostrzegł, że samochód nie stoi już tak równo jak poprzednio, i wyjrzał z szoferki. Menadżer coś robił przy tylnym kole.

- Dzień dobry - powiedział Pierec. - Co pan tu...

- Pierec, mój drogi! - radośnie zawołał menadżer, nie przerywając pracy. - Niech pan sobie siedzi, niech pan siedzi! Wcale nam pan nie przeszkadza. Zacięło się draństwo... Jedno zdjeliśmy łatwo, a z drugim ani rusz...

- Jak to zacięło się? Coś się zepsuło?

- Nie sędzę - powiedział menadżer prostując się i wycierając czoło wierzchem dłoni, w której trzymał klucz. - Po prostu trochę zardzewiało, jak przypuszczam. Ale ja je zaraz... A potem zagramy sobie w szachy... Co pan na to?

- W szachy? - zapytał Pierec. - A gdzie Tuzik?

- Tuzik? To znaczy Tuz? Tuz jest teraz starszym laborantem. Został skierowany do lasu. Tuz już u nas nie pracuje. A po co on panu?

- Nie, nic... - cicho powiedział Pierec. - Po prostu przypuszczałem... - otworzył drzwi i zeskoczył na cementową podłogę.

- Niech pan sobie nie przeszkadza - powiedział menadżer. - Może pan sobie tam siedzieć, nam to nie przeszkadza.

- Po co siedzieć - powiedział Pierec. - Przecież ten samochód nigdzie nie pojedzie?

- Nic, nie pojedzie. Bez kół nie może jechać, a koła trzeba zdjąć... Coś podobnego, że też się tak zacięło Żeby cię... No dobra, mechanicy potem zdejną. Chodźmy, lepiej sobie zagramy.

Ujął Piereca pod ramię i zaprowadził do swojego gabinetu. Tam usiedli przy biurku, menadżer odsunął na bok stosy papierów, rozstawił figury i wyłączył telefon.

- Będziemy grać z zegarem? - zapytał.

- Wie pan, że nawet nie wiem - odpowiedział Pierec.

W gabinecie było mroczno i chłodno, siwy papierosowy dym pływał między szafami jak galaretowate wodorosty, a menadżer - pokryty brodawkami, rozdęty, cały w różnokolorowych plamach - niczym gigantyczna ośmiornica dwiema włochatymi mackami otworzył lakierowaną muszlę szachownicy i zaczął pracowicie wyciągać z niej drewniane wnętrzości, jego okrągłe oczy ślepo połyskiwały: prawe, sztuczne, cały czas spoglądało w sufit, a lewe, żywe jak zakurzona rtęć, bez wytchnienia turlało się po orbicie, patrząc to na Piereca, to na drzwi, to na szachownicę.

- Z zegarem - zdecydował wreszcie menadżer. Wyjął zegar z szafy, nakręcił, nacisnął guziczek i zrobił pierwszy ruch.

Słońce było coraz wyżej. Na dworze krzyczano: „Zachodź z prawej!” O ósmej menadżer w trudnej sytuacji popadł w głęboką zadumę i nagle zażądał śniadania na dwie osoby. Z garażu, hucząc, wytaczały się samochody.

Menadżer przegrał jedną partię i zaproponował następną.

Zjedli obfite śniadanie - wypili po dwie butelki kefiru i zjedli po jednej czerstwej strucli. Menadżer przegrał drugą partię, z oddaniem i zachwytem spojrzął na Piereca żywym okiem i zaproponował trzecią. Cały czas stosował ten sam gambit królowej, nie zmieniając

ani o włos raz wybranego wariantu, z góry skazanego na przegraną. Zupełnie jakby trenował własną klęskę i Pierec przestawiał figury całkowicie automatycznie, czując się jak maszyna treningowa - ani w nim, ani na całym świecie nie istniało już nic poza szachownicą, guziczkiem zegara i niezmiennym programem działania.

Za pięć dziesiąta głośnik miejscowego radiowęzła kwiknął i oznajmił bepcłciowym głosem: „Wszyscy pracownicy Zarządu mają znaleźć się przy telefonach. Oczekujemy orędzia dyrektora do pracowników.” Menadzer bardzo spoważniał, włączył telefon, zdjął słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Teraz w sufit patrzyło dwoje jego oczu. „Czy mogę już iść?” - zapytał Pierec. Menadzer okropnie zmarszczył brwi, przyłożył palec do warg, a potem zamachał ręką na Piereca. W słuchawce telefonicznej rozległo się obrzydliwe kwakanie. Pierec wyszedł na palcach.

W garażu było mnóstwo ludzi. Twarze wszystkich były surowe i poważne, a nawet uroczyście. Nikt nie pracował, wszyscy przyciskali do uszu słuchawki telefoniczne. Tylko na jasno oświetlonym słońcem podwórzu samotny kelner-mechanik spocony, czerwony i rozchełstany, dysząc ochryple uganiał się za kołem. Działo się coś bardzo ważnego. Tak nie wolno, pomyślał Pierec, nie wolno, ciągle jestem gdzieś z boku, nigdy o niczym nie wiem, być może w tym moje nieszczęście, może w istocie wszystko jest jak trzeba, tylko ja nie wiem, o co chodzi i dlatego wciąż okazuję się zbyteczny.

Wszedł do najbliższej budki telefonicznej, zerwał słuchawkę, wsłuchał się chciwie, ale w słuchawce był tylko zwyczajny sygnał. Wtedy poczuł niespodziewany strach, narastającą obawę, że znowu gdzieś się spóźnia, że znowu gdzieś coś rozdają, a on, jak zwykle, pozostanie bez. Przeskakując doły i wykopy przebiegł przez plac budowy, uskoczył przed strażnikiem, który zastąpił mu drogę z pistoletem w jednej ręce i słuchawką telefoniczną w drugiej i po drabinie wdrapał się na nie wykończony mur. Zdążył zobaczyć we wszystkich oknach zastygłych w skupieniu ludzi przy telefonach, następnie coś przeraźliwie gwizdnęło mu nad uchem i prawie jednocześnie usłyszał za plecami strzał z pistoletu, zeskoczył w dół na kupę śmieci i popędził do służbowego wejścia. Drzwi były zamknięte. Kilkakrotnie szarpnął klamkę, klamka odpadła. Odrzucił ją na bok i przez sekundę zastanawiał się, co począć dalej. Wąskie okno obok drzwi było otwarte, więc wlażł przez to okno, zdzierając paznokcie u rąk, wycierając sobą kurz.

W pokoju, do którego trafił, stały dwa biurka. Przy jednym siedział Domaroszczyner ze słuchawką. Twarz miał kamienną, oczy zamknięte. Przyciskał słuchawkę do ucha i coś szybko zapisywał w ogromnym notesie. Drugie biurko, było puste i stał na nim telefon. Pierec złapał słuchawkę i zaczął słuchać.

Szmery. Trzaski. Nieznajomy piskliwy głos: „Zarząd realnie może rozporządzać tylko mikroskopijnym fragmentem terytorium w oceanie lasu, który opływa kontynent. Sens życia nie istnieje, podobnie jak sens działania. Potrafimy niewyobrażalnie dużo, ale do tej pory jeszcze nie zrozumieliśmy, co z tego, co potrafimy, jest nam rzeczywiście potrzebne. On nawet nie przeciwdziała, po prostu nie zauważa nas. Jeśli działanie dało nam zadowolenie - to dobrze, jeśli nie dało, to znaczy, że było bezcelowe...” Znowu szmery i potrzaskiwania,”... przeciwdziałamy siłą milionów koni mechanicznych, dziesiątkami łazików, sterowców i helikopterów, wiedzą medyczną i najwspanialszą na świecie logistyką. W Zarządzie można dostrzec co najmniej dwa istotne niedociągnięcia. W chwili obecnej podobne akcje mogą mieć daleko idące szyfrówki na nazwisko Herostatesa, aby pozostał naszym najbliższym przyjacielem. Jest ono całkowicie niezdolne do tworzenia bez rujnowania przy tym autorytetu i niewdzięczności...” Buczenie, świst, dźwięki przypominające spazmatyczny kaszel.”...ono bardzo lubi tak zwane proste rozwiązania, biblioteki, interkom, łączność, mapy geograficzne i inne. Sposoby, które poczytuje ono za najprostsze, aby rozmyślać nad sensem życia wszystkich ludzi łącznie, a ludzie tego nie lubią. Pracownicy siedzą z nogami opuszczonymi w przepaść, każdy na swoim miejscu, przepychają się, dowcipkują, rzucają kamyki i każdy stara się rzucić jak największy w czasie, kiedy zużycie kefiru nie pomaga im ani wyniańczyć, ani wykorzenić, ani w odpowiedniej mierze zakonspirować lasu. Obawiam się, że nie zrozumieliśmy nawet, czego właściwie chcemy, a nerwy, koniec końców, również należy trenować, podobnie jak trenuje się zdolność percepcji i rozum nie rumieni się i nie cierpi z powodu wyrzutów sumienia, ponieważ naukowy, właściwie postawiony problem przemienia się w etyczny, Jest kłamiwy, śliski, niestały i podszywa się. Ale ktoś przecież powinien irytować i zamiast opowiadać legendy, przygotować się do próbnego wyjścia. Jutro znowu pana przyjmę i sprawdzę, jak się pan przygotował. Dwudziesta druga zero zero - alarm radiologiczny i trzęsienie ziemi, osiemnasta zero zero - narada personelu wolnego od dyżurów u mnie, jak to się mówi - na dywaniku, dwudziesta czwarta zero zero - powszechna ewakuacja...”

W słuchawce rozległ się dźwięk jakby wylewanej wody. Potem wszystko ucichło i Pierec zauważył, że Domaroszczyner patrzy na niego surowym, oskarżycielskim wzrokiem.

- Co on mówi? - zapytał Pierec szeptem. - Nic nie rozumiem.

- I nic w tym dziwnego - odpowiedział Domaroszczyner lodowatym głosem. - Wziął pan nie swoją słuchawkę. - Opuścił oczy, zapisał coś w notesie i ciągnął dalej: - Nawiasem mówiąc, to jest zupełnie niedopuszczalne naruszenie regulaminu. Żądam, żeby pan odłożył słuchawkę i wyszedł. W przeciwnym razie zawezwę oficjalne osobistości.

- Dobrze - powiedział Pierec. - Pójdę. Ale gdzie jest moja słuchawka? Ta - nie moja. A w takim razie - gdzie moja?

Domaroszcyner nie odpowiedział. Znowu zamknął oczy i przycisnął słuchawkę do ucha. Do Piereca dobiegło kwakanie.

- Pytam, gdzie jest moja słuchawka? - krzyknął Pierec. Teraz nie słyszał już nic. Były szmery, było trzeszczenie, a potem normalny sygnał „zajęte”. Wtedy rzucił słuchawkę i wybiegł na korytarz, otwierał drzwi gabinetów i wszędzie widział znajomych i nieznajomych pracowników. Jedni siedzieli lub stali, zastygli w bezruchu, podobni do figur woskowych o szklanych oczach, inni spacerowali z kąta w kąt, przechodząc przez; kable telefoniczne, ciągnące się za nimi, jeszcze inni gorączkowo notowali w grubych zeszytach, na skrawkach papieru, na marginesach kolumn gazetowych. I wszyscy mocno przyciskali do uszu słuchawki, jakby bojąc się opuścić choćby słowo. Wolnych telefonów nie było. Pierec spróbował wyrwać słuchawkę jednemu z zamarłych w transie pracowników, młodemu chłopcu w roboczym kombinezonie, ale ten natychmiast ożył, zapiszczał i zaczął wierzgać, a wtedy wszyscy inni zaczęli machać rękami, uciszać, ktoś nawet histerycznie wrzasnął: „Skandal! Zawezwać straż!”

- Gdzie moja słuchawka? - krzyczał Pierec. - Jestem takim samym człowiekiem jak i wy i mam prawo wiedzieć! Dajcie mi posłuchać! Dajcie mi moją słuchawkę!

Wypychano go, zatraskiwano za nim drzwi. Dotarł na ostatnie piętro, gdzie przy wejściu na strych, obok maszynierii nieczynnej od zawsze windy, siedzieli przy stoliku dwaj dyżurni mechanicy i grali w szubienicę. Pierec, zadyszany, oparł się o ścianę. Mechanicy popatrzyli na niego, uśmiechnęli się z roztargnieniem, i znowu pochyłili głowy nad kartką papieru.

- Też nie macie swojej słuchawki? - zapytał Pierec.

- Mamy - odpowiedział jeden z mechaników. - Jakże inaczej? Tak źle jeszcze z nami nie jest.

- A dlaczego nie słuchacie?

- A bo nic nie słychać, to po co słuchać.

- Dlaczego nie słychać?

- Bo przecięliśmy kable.

Pierec wytarł twarz i szyję zmiętą chusteczką, odczekał, aż jeden mechanik wygrał i zszedł na dół. Na korytarzu panował hałas. Otwierały się drzwi i pracownicy wychodzili na papierosa. Brzęczały ożywione, wzburzone i przejęte głosy. „Mówię wam - z całą pewnością Eskimosi wynaleźli Eskimosi. Co? Koniec końców, przeczytałem to w jednej książce. Sam

nie widzisz, że rdzeń identyczny? Eski-mos. Eski-mo. Co?” „Sprawdzałem w katalogu Hivera - sto pięćdziesiąt tysięcy franków i to w pięćdziesiątym szóstym roku. Wyobraźcie sobie, ile musi dzisiaj kosztować?” „Jakieś dziwne te papierosy. Podobno teraz już w ogóle się nie nabija tytoniem papierosów, bierze się specjalny papier, kruszy i przesyca nikotyną...” „Od pomidorów też można dostać raka. Od pomidorów, od fajki, od jajek, od jedwabnych rękawiczek...” „Jak pan spał? Proszę sobie wyobrazić, że przez całą noc nie mogłem zasnąć - bez przerwy uderza baba. Słyszał pan? I tak całą noc... Dzień dobry, Pierec. Ktoś mówił, że pan wyjechał... A jednak został pan. Brawo...” „Znaleziono wreszcie złodzieja, pamiętasz, tyle rzeczy poginęło? Okazało się, że to dyskobol z parku, pamiętasz ten posąg? Ma nieprzyzwoity napis na nodze, to ten właśnie...” „Pierec, bądź człowiekiem, daj piątkę do pensji, to znaczy do jutra...” „Wcale się do niej nie zalecał. Sama się do niego kleiła. Na oczach męża. Może pan nie wierzyć, a ja to widziałem na własne oczy...”

Pierec zszedł do swojego gabinetu, przywitał się z Kimem i umył ręce. Kim nie pracował. Siedział spokojnie z rękami na biurku i patrzył na ścianę z kafelków. Pierec zdjął pokrowiec z „Mercedesa”, wsadził wtyczkę w gniazdko i wyczekująco spojrzął na Kima.

- Dziś nie można pracować - powiedział Kim. - Łazi tu jakiś bałwan i wszystko naprawia. Siedzę i sam nie wiem, co robić.

W tym momencie Pierec zauważył na swoim biurku karteczkę. „Pierec. Zawiadamiamy, że pański telefon znajduje się w gabinecie 771.” Nieczytelny podpis. Pierec westchnął.

- Nie masz co wzdychać - powiedział Kim. - Trzeba było punktualnie przyjść do pracy.

- Przecież nie wiedziałem - powiedział Pierec. - Miałem zamiar dzisiaj wyjechać.

- Sam sobie jesteś winien - sucho powiedział Kim.

- Ale i tak trochę sobie posłuchałem. Ty wiesz, Kim - nic a nic nie zrozumiałem. Nie wiesz, dlaczego?

- Trochę sobie posłuchał! Jesteś kretyn. Idiota. Przepuściłeś taką okazję, że nawet nie mam ochoty z tobą rozmawiać. Chyba trzeba będzie teraz poznać cię z dyrektorem. Po prostu z litości.

- Zrób to! - powiedział Pierec. - Wiesz - mówił dalej - momentami wydawało mi się, że łapię jakieś urywki myśli, moim zdaniem bardzo interesujących, a teraz, kiedy próbuję sobie przypomnieć - nic z tego nie wychodzi.

- A czyj to był telefon?

- Nie wiem. To tam, gdzie siedzi Domaroszcyner.

- A-a.. Zgadza się, ona teraz rodzi. Domaroszczyner nie ma szczęścia. Bierze nową pracownicę, każda popracuje u niego pół roku - i rodzi... A więc, mój drogi, trafiła ci się kobieca słuchawka. Tak że nawet nie wiem, jak ci pomóc... Nikt, zresztą nie słucha wszystkiego, jak leci, kobiety zapewne też. Przecież dyrektor zwraca się do wszystkich razem, ale jednocześnie do każdego oddzielnie. Rozumiesz?

- Obawiam się, że...

- Ja, na przykład, rekomenduję słuchać tak: zanotuj przemówienie dyrektora jednym ciągiem, unikając znaków przestankowych i wybieraj słowa metodą losową, rzucając w myśli kości domina. Wtedy, kiedy połówki kości są identyczne, bierzemy słowo i wypisujemy je na oddzielnej kartce. Jeśli nie - słowo odrzucamy, nie wpisujemy go. Istnieją jeszcze pewne subtelnosci, związane z częstotliwością występowania głosek dźwięcznych i bezdźwięcznych, ale to już efekt drugiego rzędu. Rozumiesz?

- Nie - powiedział Pierec. - To znaczy tak. Szkoda, że nie znałem tej metody. No i co dyrektor dziś powiedział?

- To nie jedyna metoda. Jest jeszcze, na przykład, metoda spirali ze zmiennym skokiem. To metoda dosyć prymitywna, ale jeśli mowa jest tylko o problemach gospodarczo-ekonomicznych, bardzo wygodna ze względu na swoją prostotę. Jest metoda Stevenson-Zadeh, ale wymaga aparatury elektronicznej... Tak że chyba najlepsza jednak będzie metoda domina, a w szczególnych przypadkach, kiedy słownictwo jest specjalistyczne, z ograniczonym zasobem słów - metoda spirali.

- Dziękuję - powiedział Pierec. - A o czym dyrektor dziś mówił?

- Co to znaczy - o czym?

- Jak to? No... o czym? Co on... powiedział?

- Komu?

- Komu? No, na przykład tobie.

- Niestety, nie mogę ci tego opowiedzieć. To są tajne materiały, a ty jednak jesteś tylko nieetatowym współpracownikiem. Tak że nie gniewaj się.

- Nic, ja się nie gniewam - powiedział Pierec. - Tylko chciałbym się dowiedzieć... On coś mówił o lesie, o wolnej woli... Wczoraj rzucałem kamyki z urwiska, ot tak sobie, bez żadnego celu, on i o tym coś mówił...

- Nie opowiadaj mi tego - powiedział nerwowo Kim.

- To mnie w ogóle nie dotyczy. Zresztą ciebie też, jeśli to nic była twoja słuchawka.

- Ale poczekaj, o lesie coś mówił?

Kim wzruszył ramionami.

- No oczywiście. Nigdy o niczym innym nie mówi. I wiesz co, skończmy tę rozmowę. Opowiedz mi lepiej, jak wyjeżdżałeś.

Pierec opowiedział.

- Niepotrzebnie ciągle go ogrywasz - powiedział Kim z zadumą.

- Nic nie mogę poradzić. Jestem dość dobrym szachistą, a on po prostu amatorem... A poza tym gra jakoś dziwnie...

- To nieważne. Ja bym na twoim miejscu dobrze się zastanowił. W ogóle ostatnio jakoś mi się nie podobasz... Piszą na ciebie donosy... Wiesz co, jutro załatwię ci spotkanie z dyrektorem. Idź do niego i porozmawiaj poważnie. Myślę, że pozwoli ci odjechać. Tylko połóż nacisk na to, że jesteś filologiem, lingwistą, że trafiłeś tu przypadkowo, wspomnij jakby mimochodem, że bardzo chciałeś dostać się do lasu, ale zmieniłeś zamiar, ponieważ uważasz się za niekompetentnego.

- Dobrze.

Chwilę milczeli. Pierec wyobraził sobie siebie twarzą w twarz z dyrektorem i wpadł w panikę. Metoda domina - pomyślał. - Stevenson-Zadeh...

- A co najważniejsze, nie wstydz się łez - powiedział Kim. - On to lubi.

Pierec zerwał się na nogi i wzburzony przebiegł przez pokój.

- Boże - powiedział. - Żebym chociaż wiedział, jak on wygląda. Jaki jest.

- Jaki? Niewysoki, rudawy...

- Domaroszcyner mówił, że to prawdziwy olbrzym.

- Domaroszcyner jest głupi. Kłamca i mitoman. Dyrektor jest niewysoki, tęgi, na prawym policzku ma niewielką bliznę. Kiedy chodzi, lekko się kołysze, jak marynarz. Zresztą jest właśnie byłym marynarzem. - A Tuzik mówił, że jest chudy jak szczapa i nosi długie Włosy, bo nie ma jednego ucha...

- Jaki znowu Tuzik?

- Szofer, przecież dopiero co opowiadałem.

Kim zaśmiał się sarkastycznie.

- Skąd szofer Tuzik może wszystko wiedzieć? Słuchaj, nie można być tak łatwowiernym.

- Tuzik mówi, że był jego kierowcą i kilka razy go widział.

- No i co? Najpewniej łże. Byłem jego osobistym sekretarzem i nie widziałem go ani razu.

- Kogo?

- Dyrektora. Długo byłem jego sekretarzem, zanim nie obroniłem pracy magisterskiej.

- I nie widziałaś go ani razu?

- No naturalnie! Wyobrażasz sobie, że to takie proste?

- Poczekaj, no to skąd wiesz, że on jest rudawy i tak dalej?

Kim pokręcił głową.

- Chłopcze - powiedział czule - kochany. Nikt nigdy nie widział atomu wodoru, ale wszyscy wiedzą, że ma jeden elektron o określonych charakterystykach i jądro składające się w najprostszym przypadku z jednego protonu.

- To prawda - powiedział apatycznie Pierec. Poczul, że jest zmęczony. - To znaczy, że jutro go zobaczę?

- Lepiej zapytaj mnie o coś łatwiejszego - powiedział Kim. - Załatwię ci spotkanie, tyle mogę zagwarantować. A co ty tam zobaczysz, i kogo - tego nie wiem. I co tam usłyszysz - tego nie wiem również. Przecież nie pytasz mnie, czy dyrektor cię zwolni, czy nie, i masz rację, że nie pytasz. Tego przecież wiedzieć nie mogę, prawda?

- To są jednak zupełnie różne rzeczy - powiedział Pierec.

- Identyczne - powiedział Kim. - Zapewniam cię, że identyczne.

- Na pewno wydaję ci się kompletnie rozkojarzony - smutnie powiedział Pierec.

- Odrobinę.

- Po prostu dzisiaj bardzo źle spałem.

- Nie, jesteś po prostu niepraktyczny. A dlaczego właściwie źle spałeś?

Pierec opowiedział. I przestraszył się. Dobroduszna twarz Kima nagle poczerwieniała, włosy stanęły dęba. Krzyknął, złapał słuchawkę telefoniczną, wściekle nakręcił numer i zaryczał:

- Kierownik? Co to ma znaczyć? Jak pan śmiał wysiedlić Piereca? Milczeć! Nie pytam pana, co tam się mu skończyło, pytam, jak pan śmiał wysiedlić Piereca? Co? Milczeć! Nie ma pan prawa! Co? Gadanie, brednie! Milczeć! Wykończę pana! Razem z pańskim Klaudiuszem-Oktawiatom! Wychodki będzie pan czyścić, do lasu pana pošlę w dwadzieścia cztery godziny, w sześćdziesiąt minut! Co? Tak... Tak... Co? Tak... Słusznie. To jest inna rozmowa. I pošciel „w najlepszym gatunku... To pańska sprawa. Choćby na ulicy... Co? Dobrze. Niech będzie. Dziękuję panu. Przepraszam za kłopot... No, naturalnie... Proszę przyjąć wyrazy wdzięczności. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę.

- Wszystko w porządku - powiedział. - To jednak wspaniały człowiek. Idź odpocząć. Będiesz mieszkać u niego, a on z rodziną przeniesie się do twojego pokoju w hotelu, inaczej on, niestety, nie może.. I nie dyskutuj, błagam cię, nie dyskutuj, to absolutnie nie nasza

sprawa. Sam tak zdecydował, Idź, idź, to jest rozkaz. Zadzwoń jeszcze do ciebie w sprawie dyrektora...

Pierec ślaniając się wyszedł na ulicę, postać chwilę, mrużąc oczy od słońca i powlókł się do parku w poszukiwaniu walizki. Znalazł ją nie od razu dlatego, że walizkę mocno ścisnął w muskularnej gipsowej ręce stojący obok fontanny złodziej-dyskobol z nieprzyzwoitym napisem na lewym biodrze. Właściwie napis nie był tak bardzo nieprzyzwoity. Ktoś napisał chemicznym ołówkiem? „Dziewczyny, bójcie się syfilisu.”

Rozdział IV

Pierec zjawił się w poczekalni dyrektora punktualnie o dziesiątej rano. W poczekalni była już kolejka mniej więcej dwudziestoosobowa. Piereca postawiono jako czwartego. Usiadł w fotelu między Beatrycze Bach, pracownicą Grupy Pomocy Tubylczej Ludności i posępnym pracownikiem Grupy Inżynieryjnej Infiltracji, ponurym facetem, który sądząc z identyfikatora na piersi i napisu na białej, kartonowej masce nazywał się Brandskugel. Poczekalnia była pomalowana na białoróżowy kolor, na jednej ścianie wisiała tabliczka z napisem „Palenie, śmiecenie i hałasowanie wzbronione”, na drugiej wielki obraz, wyobrażający lasołaza Seliwana - Seliwan z uniesionymi rękami, na oczach Wstrząśniętych kolegów, przemieniał się w skaczące drzewo. Różowe portiery na oknach były szczelnie zaciągnięte, pod sufitem płonął gigantyczny żyrandol. Oprócz drzwi wejściowych, na których było napisane: „Wyjście”, w poczekalni były jeszcze jedne drzwi, ogromne, obite żółtą skórą, z napisem: „Wyjścia nie ma”. Ten napis został wykonany farbą fosforyzującą i wyglądał jak złowieszcze ostrzeżenie. Pod napisem stało biurko sekretarki z czterema różnokolorowymi telefonami i elektryczną maszyną do pisania. Sekretarka, tęga, niemłoda kobieta w binoklach, wyniośle studiowała „Podręcznik fizyki atomowej”. Petenci rozmawiali przyciszonymi głosami. Niektórzy byli wyraźnie zdenerwowani i gorączkowo przeglądali stare ilustrowane czasopisma. Wszystko to nadzwyczaj przypominało kolejkę do dentysty i Pierec znowu poczuł nieprzyjemny chłód, drżenie szczęk i pragnienie, aby niezwłocznie wynieść się stąd dokądkolwiek.

- Oni nie są nawet leniwi - powiedziała Beatrycze Bach, odrobinę skłaniając kształtną głowę w stronę Piereca - jednakże nie znoszą systematycznej pracy. Jak pan, na przykład, wyjaśni tę niebywałą łatwość, z jaką porzucają zasiedziałe miejsca?

- Pani do mnie? - nieśmiało zapytał Pierec. Nie miał pojęcia, jak wyjaśnić niebywałą łatwość.

- Nie. Mówię do monszera Brandskugla.

Monszer Brandskugel poprawił odklejający się lewy wąs i zduszonym głosem wybełkotał:

- Nie wiem.

- No i my też nie wiemy - powiedziała gorzko Beatrycze. - Wystarczy, aby nasze oddziały pojawiły się w pobliżu wsi, żeby tamci natychmiast porzucili swoje domy, cały swój dobytek, i odeszli. Powstaje wrażenie, że my ich zupełnie nie interesujemy. Niczego od nas nie chcą. Czy pan sądzi, że to tak właśnie jest?

Czas jakiś Brandskugel milczał, jakby się zastanawiając, i patrzył na Beatrycze dziwnymi, w kształcie krzyża, strzelnicami swojej maski, następnie powiedział z poprzednią intonacją:

- Nie wiem.

- To bardzo źle - mówiła dalej Beatrycze - że nasza grupa skompletowana jest wyłącznie z kobiet. Rozumiem, że zawiera się w tym głęboki sens, ale jakże często brakuje nam męskiej twardości, zdecydowania, powiedziałabym - konsekwencji. Niestety, kobiety są skłonne do rozpraszania się, pan na pewno to zauważył.

- Nie wiem - odpowiedział Brandskugel, a jego wąsy nagle odpadły i miękko poszybowały na podłogę. Podniósł je, uważnie obejrzał unosząc brzeg maski, spokojnie na nie popluł i przykleił na miejsce.

Na biurku sekretarki melodyjnie zadźwięczał dzwoneczek. Sekretarka odłożyła podręcznik, popatrzyła na listę, elegancko podtrzymując binokle, i oznajmiła:

- Proszony jest profesor Kakadu.

Profesor-Kakadu wypuścił z ręki ilustrowane czasopismo, zerwał się na nogi, znowu usiadł, rozejrzał się, blednąc w oczach, potem przygryzł wargę i ze straszliwym grymasem na twarzy odbił się od fotela i znikł w drzwiach z napisem „Wyjścia nie ma”. Kilka chwil w poczekalni panowała chorobliwa cisza. Potem ponownie zaszemrały głosy i zaszeleściły stronice czasopism.

- W żaden sposób nie możemy wymyśleć, czym by ich zainteresować, przyciągnąć. Budowaliśmy im wygodne, suche domy na palach. Zapychają je torfem i hodują tam jakieś owady. Próbowaliśmy karmić ich smacznym jedzeniem zamiast tego kwaśnego paskudztwa, którym się żywią. Bez rezultatu. Próbowaliśmy ubrać ich po ludzku. Jeden umarł, dwoje zachorowało. Ale kontynuujemy nasze doświadczenia. Wczoraj rozrzučiliśmy im po lesie ciężarówkę lusterek i połączanych guzików... Kino ich nie ciekawi, muzyka również. Nieśmiertelne dzieła sztuki wywołują u nich coś w rodzaju chichotu... Nie, zaczynać trzeba od dzieci. Ja, na przykład proponuję, żeby odławiać ich dzieci i organizować dla nich specjalne szkoły. Niestety, jest to związane z technicznymi trudnościami - gołymi rękami nie da się ich wyłapać, będą potrzebne specjalne maszyny... Zresztą to pan wie nie gorzej ode mnie.

- Nie wiem - powiedział monszer Brandskugel.

Znowu zadźwięczał dzwoneczek i sekretarka powiedziała:

- Beatrycze, teraz pani. Proszę.

Beatrycze poderwało. W pierwszej chwili rzuciła się do drzwi, ale potem stanęła, rozglądając się niepewnie. Wróciła, zajrzała pod fotel, szepcząc: „Gdzie ona jest? Gdzie?” Ogromnymi oczami omiotła poczekalnię, szarpnęła się za włosy, głośno krzyknęła: „Gdzież ona jest!”, a potem nagle schwyciła Piereca za marynarkę i wywaliła z fotela na podłogę. Pod Pierecem leżała brązowa teczka, Beatrycze porwała ją, kilka sekund stała z zamkniętymi oczami i bezgranicznie uszczęśliwionym wyrazem twarzy, tuląc teczkę do piersi, później powoli ruszyła w kierunku drzwi obitych żółtą skórą i znikła za nimi. W martwej ciszy Pierec wstał i, starając się na nikogo nie patrzeć, otrzepał spodnie. Zresztą nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy patrzyli na żółte drzwi.

Cóż ja mu powiem? myślał Pierec, powiem, że jestem filologiem, w Zarządzie nie ma ze mnie pożytku, niech mnie zwolnią, wyjadę i już nigdy nie wrócę, daję słowo honoru. A po co w takim razie pan tu przyjechał? Zawsze bardzo interesował mnie las, ale przecież do lasu mnie nie puszczają. A w ogóle trafiłem tu najzupełniej przypadkowo, przecież jestem filologiem. Filolodzy, literaci, filozofowie nie mają czego szukać w Zarządzie. Tak, że słusznie nie wpuszcza się mnie do lasu, jestem tego świadomy i zgadzam się... Nie mogę być ani w Zarządzie, który zapaskudza las, ani w lesie, w którym odławia się dzieci maszynami. Powinienem stąd wyjechać i zająć się czymś mniej skomplikowanym. Wiem, że jestem tu lubiany, ale lubią mnie tak, jak dziecko lubi swoje zabawki.

Jestem tu dla zabawy i nikogo nie mogę nauczyć tego, co wiem... Nie, tego oczywiście nie należy mówić. Trzeba zapłakać, a skąd ja im wezmę łzy? Ale rozwalę mu cały gabinet, niech tylko spróbuje mnie zatrzymać. Wszystko rozwalę i odejdę na piechotę. Pierec wyobraził sobie, jak idzie drogą wśród tumanów kurzu, pod palącym słońcem, kilometr za kilometrem, a walizka wykazuje coraz większą samowolę. I z każdym krokiem coraz dalej i dalej odchodzi od lasu, od swojego marzenia, od swego lęku, który już dawno stał się sensem jego życia...

Coś długo nikogo nie wywołują, pomyślał. Najpewniej dyrektora bardzo zainteresował projekt odławiania dzieci. I dlaczego nikt nie wychodzi z gabinetu? Prawdopodobnie jest jeszcze inne wyjście.

- Przepraszam najmocniej - powiedział, zwracając się do monszera Brandskugla - która godzina?

Brandskugel spojrział na swój zegarek, chwilę pomyślał i powiedział:

- Nie wiem.

Wtedy Pierec nachylił się do jego ucha i wyszeptał:

- Ja nikomu nie powtórzę. Ni-ko-mu.

Monszer Brandskugel wahał się. Niezdecydowanie dotknął palcem plastikowego identyfikatora z własnym nazwiskiem, obejrzał się ukradkiem, nerwowo ziewnął, znowu się rozejrzał, naciągnął mocniej maskę i powiedział:

- Nie wiem.

Następnie wstał spiesznie i oddalił się w przeciwległy kąt poczekalni.

Sekretarka powiedziała:

- Pierec, pana kolej.

- Jak to moja? - zdziwił się Pierec. - Przecież jestem czwarty.

- Nieetatowy pracownik Pierec - podnosząc głos powiedziała sekretarka. - Pana kolej.

- Mądrzy się... - ktoś wymruczał.

- Właśnie takich powinniśmy na zbity pysk... - głośno powiedziano z lewej. -

Rozpaloną miotłą!

Pierec wstał. Nogi miał jak z waty. Bezmyślnie potarł się dłońmi po bokach.

Sekretarka patrzyła na niego uważnie.

- Czuje kotka, czyje mięso zjadła - powiedziano w poczekalni.

- Tak długo dzban wodę nosi...

- I takiego tolerowaliśmy!

- Przepraszam, to wy go tolerowaliście. Ja go pierwszy raz widzę na oczy.

- A ja, jeśli pan chce wiedzieć, też nie dwudziesty.

- Ci-sza! - powiedziała sekretarka. - Ma być cisza! I nie śmieć na podłogę - tak, pan, do pana mówię. A więc Pierec, idzie pan, czy mam wezwać straż?

- Tak - powiedział Pierec. - Tak. Już idę.

Ostatnim, kogo dostrzegł, był Brandskugel, który zabarykadowany w kącie fotelem, przykucnął z wyszczerzonymi zębami, z ręką w tylnej kieszeni spodni. A potem Pierec zobaczył dyrektora.

Dyrektor okazał się smukłym, przystojnym mężczyzną około trzydziestu pięciu lat, w świetnie skrojonym, drogim garniturze. Stał przy otwartym oknie i sypał okruszki chleba stłoczonym na parapecie gołębim. Gabinet był idealnie pusty, nie było w nim ani jednego krzesła, nie było nawet biurka i tylko na ścianie na wprost okna wisiała pomniejszona kopia „Bohaterskiego lasołaza Seliwana”.

- Nieetatowy współpracownik Zarządu Pierec? - czystym, dźwięcznym głosem zapytał dyrektor, odwracając od okna czerstwą twarz” sportowca.

- T-tak... To ja... - wymamrotał Pierec.

- Jest mi ogromnie, ogromnie miło. Nareszcie mogę pana poznać. Witam. Moje nazwisko - Ahti. Wiele o panu słyszałem.

Pierec, pochylony z nieśmiałości, uściśnął wyciągniętą dłoń. Dłoń była szczupła i mocna.

- A ja, jak pan widzi, karmię gołębie. Interesujący ptak. Czuje się w nim ogromne możliwości. A jaki jest pański stosunek do gołębi, mesje Pierec?

Pierec zawahał się, ponieważ gołębi nie znosił. Ale z twarzy dyrektora promieniowała taka życzliwość, tak szczere zainteresowanie, takie zachłanne oczekiwanie na odpowiedź, że Pierec opanował się i skłamał:

- Bardzo lubię, mesje Ahti.

- Pan je lubi pieczone? Czy duszone? Ja, na przykład, lubię w cieście. Placek z gołębiami, szklaneczka półwytrawnego wina - co może być lepszego? Nie uważa pan?

I znowu na twarzy mesje Ahti pojawił się wyraz najwyższego zainteresowania i niecierpliwego oczekiwania.

- To wspaniałe - powiedział Pierec. Postanowił na wszystko machnąć ręką i na wszystko się zgodzić.

- A „Gołębek” Picassa! - powiedział mesje Ahti. - Od razu mi się przypomina: „Ni zjeść, ni wypić, ni pocałować, biegną sekundy niepowstrzymanie...” Jak wspaniale wyrażona istota naszej niemożności. Nie potrafimy uchwycić i zmaterializować piękna!

- Znakomity wiersz - tępo powiedział Pierec.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem „Gołębka”, podobnie jak zapewne wielu innych pomyślałem, że rysunek jest nieudany lub, jeśli pan chce, sztuczny. Ale potem, ze względu na rodzaj służby, musiałem bliżej zapoznać się z gołębiami i nagle uzmysłowiłem sobie, że Picasso, ten cudotwórca, uchwycił moment, kiedy gołąb składa skrzydła przed lądowaniem. Jego łapki dotykają już ziemi, ale on sam jest jeszcze w locie, w powietrzu. Moment przekształcenia ruchu w bezruch, lotu w uspokojenie.

- Picasso ma dziwne obrazy, których nie rozumiem - powiedział Pierec, manifestując niezależność opinii.

- O, pan po prostu niedostatecznie długo na nie patrzył. Żeby zrozumieć prawdziwe malarstwo nie wystarczy dwa albo trzy razy na rok przespacerować się do muzeum. Na obrazy należy patrzeć godzinami, możliwie najczęściej. I tylko oryginały. Żadnych tam reprodukcji. Żadnych kopii... Proszę popatrzeć na ten obraz. Po pańskiej twarzy widzę, co pan o nim myśli. I ma pan rację - to niedobra kopia. Ale gdyby pan mógł zobaczyć oryginał, wtedy rozumiałby pan myśl artysty.

- Na czym ona polega?

- Spróbuję panu wytłumaczyć - z chęcią ofiarował się dyrektor. - Co pan widzi na tym obrazie? Formalnie - półdrzewo-półczłowieka. Obraz jest statyczny. Nie widać, nie sposób uchwycić przejścia od jednej formy istnienia do innej. W obrazie brak najważniejszego - kierunku upływu czasu. Ale gdyby miał pan możliwość przestudiować oryginał, zrozumiałby pan, że artyście udało się zawrzeć w swoim dziele głęboko symboliczny sens, że namalował nie człowieka-drzewo i nawet nie przeistoczenie się człowieka w drzewo, a właśnie przekształcenie drzewa w człowieka i tylko to. Malarz wykorzystał sens starej legendy po to, aby ukazać powstanie nowej osobowości. Nowe ze starego. Żywe z martwego. Rozumne z bezmyślnej materii. Kopia jest idealnie statyczna i wszystko, co na niej widzimy, istnieje poza strumieniem czasu. Oryginał zaś zawiera czasoruch! Wektor! Strzałę czasu, jak powiedziałby Eddington...

- A gdzie jest oryginał? - zapytał uprzejmie Pierec.

Dyrektor uśmiechnął się.

- Oryginał, rozumie się, został zniszczony jako dzieło sztuki nie dopuszczające dwojakiej interpretacji. Pierwsza i druga kopia również, na wszelki wypadek, zostały zniszczone...

Mesje Achti podszedł do okna i łokciem zepchnął gołębie z parapetu.

- Tak. O gołębiach już porozmawialiśmy - powiedział jakimś nowym, urzędowym głosem. - Nazwisko?

- Co?

- Nazwisko. Pańskie nazwisko.

- Pie... Pierec.

- Rok urodzenia?

- Trzydziesty...

- Dokładnie!

- Tysiąc dziewięćset trzydziesty. Piąty marca.

- Co pan tu robi?

- Jestem nieetatowym współpracownikiem. Oddelegowano mnie do Grupy Naukowej Ochrony.

- Pytam - co pan tu robi? - zapytał dyrektor, zwracając na Piereca ślepe oczy.

- Ja... Nie wiem. Chcę stąd wyjechać.

- Pańska opinia o lesie. Krótko.

- Las... to... Ja zawsze... Ja go się... boję. I kocham.

- Pańska opinia o Zarządzie?

- Tu jest wielu znakomitych ludzi, ale...

- Wystarczy.

Dyrektor podszedł do Piereca, objął go ramieniem i zaglądając w oczy powiedział:

- Słuchaj, stary! Obalimy pół wora? Zawołamy sekretarkę, widziałeś, co za baba? To nie baba, to trzydzieści cztery przyjemności. „Odbijmy, koledzy, ukryty nasz garniec!” - zaśpiewał nieświeżym głosem. No? Odbijemy? Przestań, nie lubię. Jasne? I co ty na to?

Od dyrektora nagle zaleciało gorzałą, kiełbasą i czosnkiem i oczy zbiegły mu się u nasady nosa.

- Zawołamy inżyniera Brandskugła, monszera mojego. - mówił dalej, tuląc Piereca do piersi. - Takie numery opowiada - żadnej zagrychy nie potrzeba... Idziemy?

- Właściwie, to można - powiedział Pierec. - Ale ja przecież...

- No, co ty tam przecież?

- Ja, mesje Ahti...

- Daj sobie spokój! Jaki ja tam dla ciebie mesje? Kamarad - rozumiesz? bencwale!

- Ja, kamarad Ahti, przyszedłem pana prosić...

- Prorroś! Niczego ci nie odmówię! Chcesz pieniędzy - masz pieniądze! Ktoś ci się nie podoba - tylko powiedz! No?

- N-nie, ja po prostu chcę wyjechać. I w żaden sposób nie mogę wyjechać, znalazłem się tu przypadkowo, kamarad Ahti, i nie mam tu już nic do roboty. Proszę o zgodę na wyjazd. Nikt mi nie chce pomóc i proszę pana, jako dyrektora...

Ahti wypuścił Piereca z objęć, poprawił krawat i uśmiechnął się sucho.

- Jest pan w błędzie, Pierec - powiedział. - Ja nie jestem dyrektorem. Jestem referentem dyrektora do spraw kadrowych. Proszę darować, że zatrzymywałem pana tak długo. Dyrektor przyjmie pana. Pan będzie łaskaw tędy.

Otworzył przed Pierecem niziutkie drzwiczki w głębi swego pustego gabinetu i zrobił gościnny gest ręką. Pierec odkaszlnął, powściągliwie kiwnął głową, pochylony precyzyjnie się do następnego pomieszczenia. Wydało mu się nawet, że ktoś go lekko uderzył niżej krzyża. Najprawdopodobniej zresztą było to tylko złudzenie, być może mesje Ahti trochę pospieszył się, zatraskując drzwi.

Pokój, do którego trafił, był dokładną kopią poczekalni i nawet sekretarka była dokładną kopią pierwszej sekretarki, ale czytała książkę pod tytułem „Sublimacja genialności”. W fotelach, podobnie jak tam, siedzieli bladzi petenci z gazetami i periodykami. Był tu również profesor Kakadu, którego okropnie dręczyła nerwowa śwędząca wysypka, i

Beatrycze Bach z brązową teczką na kolanach. Wprawdzie wszyscy pozostali interesanci byli nieznajomi, a pod reprodukcją obrazu „Bohaterski lasołaz Seliwan” rytmicznie zapalał się i gasł napis „Cisza!”, więc dlatego nikt tu nie rozmawiał. Pierec ostrożnie przysiadł na brzeжку fotela. Beatrycze Bach uśmiechnęła się do niego - nieco czujnie, ale w gruncie rzeczy życzliwie.

Po chwili nerwowego milczenia zadzwieczał dzwoneczek i sekretarka, odłożywszy książkę, powiedziała:

- Wielebny Łukaszu, niech pan wejdzie.

Na wielebnego Łukasza strach było patrzeć i Pierec odwrócił się. To nic, pomyślał, zamykając oczy. Wytrzymam. Przypomniał sobie deszczowy, jesienny wieczór, kiedy do mieszkania wniesiono Ester, którą zabił nożem w bramie pijany chuligan, i sąsiadów, którzy trzymali go z całej siły, i okruszyny szkła w ustach - przegryzł szklanke, kiedy przyniesiono mu wody. Tak, pomyślał, najgorsze mam już za sobą.

Jego uwagę zwróciły szybkie, skrobiące dźwięki. Otworzył oczy i obejrzał się. W trzecim fotelu, licząc od Piereca, profesor Kakadu gwałtownie niczym małpa drapał się oburącz pod pachami.

- Jak pan sądzi, czy trzeba oddzielać chłopców od dziewczynek? - drżącym szeptem zapytała Beatrycze.

- Nie wiem - odparł zgryźliwie Pierec.

- Koedukacyjne wychowanie ma, oczywiście, swoje zalety - dalej mamrotała Beatrycze - ale to szczególna sytuacja... O Boże! - nagle powiedziała płacząco. - Czy on mnie naprawdę wyrzuci? Dokąd ja wtedy pójdę? Już mnie zewsząd wyrzucano, nie mam ani jednej przyzwoitej pary pantofli. We wszystkich pończochach poleciały oczka, puder się skawalił...

Sekretarka odłożyła „Sublimację genialności” i surowo powiedziała:

- Nie rozpraszać się.

Beatrycze Bach zamarła z przerażenia. W tym momencie otworzyły się niziutkie drzwi i do poczekalni wsunął się człowiek z ogoloną głową.

- Pierec, jest tu taki? - zapytał donośnie.

- Jest - powiedział Pierec zrywając się na nogi.

- Z rzeczami w transport. Samochód odjeżdża za dziesięć minut, prędzej!

- Jaki samochód? Dlaczego?

- Pan jest Pierec?

- Tak...

- Chciał pan wyjechać, czy nie?

- Chciałem, ale...

- No to jak tam pan sobie chce - gniewnie warknął ogolony człowiek. - Ja pana zawiadomiłem.

Zniknął i drzwi się zatrzasnęły. Pierec rzucił się za nim.

- Wróć! - wrzasnęła sekretarka i kilka rąk złapało go za ubranie. Pierec szarpnął się rozpaczliwie, marynarka zatrzeszczała.

- Przecież tam czeka samochód! - jęknął.

- Pan chyba oszalał! - powiedziała z irytacją sekretarka. - Gdzie się pan pcha? Drzwi z napisem „Wyjście” są tam, a pan dokąd?

Twarde ręce skierowały Piereca w stronę napisu „Wyjście”. Za drzwiami była ogromna, wielokątna sala z mnóstwem drzwi i Pierec zaczął się miotać, otwierając jedno po drugim.

Ostre słońce, sterylne białe ściany, ludzie w białych fartuchach. Nagie plecy, posmarowane jodyną. Zapach apteki. Nie tu.

Ciemność, trzask projektora. Na ekranie kogoś ciągną za uszy w przeciwne strony. Białe plamy niezadowolonych twarzy. Głos: „Drzwi! Zamknąć drzwi!”. Znowu nie tu.

Pierec, ślizgając się po parkiecie, przebiegł przez salę.

Zapach cukierni. Niewielka kolejka ludzi z siatkami.

Na oszklonej ladzie lśnią butelki z kefirem, kwitną torty i ciastka.

- Panowie! - krzyknął Pierec. - Gdzie tu jest wyjście?

- Wyjście - skąd? - zapytał opasty sprzedawca w kucharskiej czapce.

- Stąd...

- To te drzwi, w których pan stoi.

- Niech pan go nie słucha - poradził sprzedawcy mizerny staruszek z kolejki. - Ja go znam, to taki dowcipniś, zatrzymuje kolejkę... Niech pan sprzedaje i nie zwraca na niego uwagi.

- Wcale nie żartuję - powiedział Pierec - zaraz mi samochód ucieknie...

- Rzeczywiście, to nie ten - powiedział sprawiedliwy staruszek. - Tamten zawsze pyta, gdzie jest ubikacja. Więc gdzie czeka samochód, drogi panie?

- Na ulicy...

- Na jakiej ulicy? - zapytał sprzedawca. - Ulic jest dużo.

- Wszystko mi jedno, na jakiej, żeby tylko się stąd wydostać!

- Nie - powiedział przenikliwy staruszek. - To ten sam. Po prostu zmienił repertuar.
Niech pan nie zwraca na niego uwagi...

Pierec rozejrzał się z rozpaczą, z powrotem wybiegł na salę i spróbował otworzyć sąsiednie drzwi. Drzwi były zamknięte. Niezadowolony głos zapytał:

- Kto tam?

- Ja muszę stąd wyjść! - krzyknął Pierec. - Gdzie tu jest wyjście?

- Niech pan poczeka, już idę.

Za drzwiami rozległ się jakiś hałas, plusk wody, stuk zamykanych szuflad. Głos zapytał:

- O co chodzi?

- Ja chcę wyjść! Muszę wyjść!

- Zaraz.

Zazgrzytał klucz i drzwi się otwały. W pokoju było ciemno.

- Proszę wejść - powiedział głos.

Śmierdziało wywoływaczem. Pierec wyciągnął przed siebie ręce i zrobił kilka niepewnych kroków.

- Nic nie widzę - powiedział.

- Zaraz pan przywyknie - obiecał głos. - No, niechże pan idzie, dlaczego pan stoi?

Ktoś ujął Piereca za rękaw i poprowadził.

- Niech się pan tu podpisze - powiedział głos.

W palcach Piereca znalazł się ołówek. Teraz widział bielejący niewyraźnie w ciemnościach arkusz papieru.

- Podpisał pan?

- Nie. A co mam podpisać?

- Proszę się nie bać, to nie wyrok śmierci. Niech pan podpisze, że pan nic nie widział.

Pierec podpisał po omacku. Znowu ktoś ujął go mocno za rękaw i przeprowadził między jakimiś portierami, a potem głos zapytał:

- Dużo was się zebrało?

- Czterech - zabrzmiało jakby zza drzwi.

- Kolejka się ustawiła? Weźcie pod uwagę, że zaraz otworzę drzwi i wpuszczę do was człowieka. Przechodzić pojedynczo, nie pchać się i bez wygłupów. Jasne?

- Jasne. Nie pierwszy raz.

- Ubrania nikt nie zapomniał?

- Nie zapomnieliśmy, nie zapomnieliśmy. Niech pan wpuszcza.

Znowu rozległ się zgrzyt klucza, Pierec omal nie oślepl od jasnego światła i w tym momencie został wypchnięty. Nie otwierając jeszcze oczu stoczył się po jakichś stopniach i dopiero wtedy zrozumiał, że znajduje się na wewnętrznym dziedzińcu Zarządu. Niezadowolone głosy pokrzykiwały:

- No, co tam,- Pierec? Prędeej! Jak długo mamy czekać?

Na środku dziedzińca stała ciężarówka zatłoczona pracownikami Grupy Straży Naukowej. Z szoferki wyglądał Kim i gniewnie machał ręką. Pierec podbiegł do samochodu, wdrapał się na górę, ktoś go złapał, poderwał i wrzucił na dno skrzyni. Silnik natychmiast zaryczał, szarpnęło, ktoś nadepnął Pierecowi na rękę, ktoś z rozmachu siadł mu na grzbiecie, wszyscy zaczęli krzyżeć, śmiać się i samochód pojechał.

- Pierec, tu jest twoja walizka - powiedział ktoś.

- Pierec, to prawda, że pan odjeżdża?

- Panie Pierec, może papierosa?

Pierec zapalił, usiadł na walizce i postawił kołnierz marynarki. Podano mu płaszcz, więc otulił się i uśmiechnął z wdzięczności. Ciężarówka pędziła coraz szybciej i chociaż dzień był upalny, pęd powietrza zdawał się przenikać na wskroś. Pierec palił, chowając papierosa w dłoni, i rozglądał się wokół. Jadę, myślał, jadę. Po raz ostatni widzę ten mur. Ostatni raz widzę was, wille. Żegnaj, wysypisko, gdzieś tu zostawiłem moje kalosze. Żegnaj, kałuże, żegnajcie, szachy, żegnaj kefirze. Jak lekko, jak błogo. Nigdy w życiu nie zagram więcej w szachy...

Pracownicy, stłoczeni w skrzyni, trzymając się wzajemnie i chowając jeden za drugiego przed wiatrem, rozmawiali na tematy oderwane:

- To jest wyliczone, zresztą sam liczyłem. Jeśli tak pójdzie dalej, to za sto lat na każdy metr kwadratowy terytorium przypadnie dziesięciu pracowników, a ich łączna masa będzie taka, że skarpa się zawali. Środków transportu dla dostaw wyżywienia i wody będzie trzeba tyle, że koniecznością stanie się ciągły transport między Zarządem a Kontynentem, samochody będą jechały z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, w metrowych odstępach i rozładowywać je będzie się w biegu... Nie, nie jestem najzupełniej pewny, że dyrekcja już teraz myśli o regulacji przyływu nowych pracowników. No, pomyślcie sami - kierownik hotelu - przecież to niemożliwe: siedmioro i ósme w drodze. I wszystkie zdrowe. Domaroszczyner uważa, że z tym coś trzeba zrobić. Nie, niekoniecznie sterylizacja, jak on proponuje...

- Domaroszczyner lepiej by się nie wypowiadał na ten temat...

- Dlatego też mówię, że niekoniecznie zaraz sterylizacja...

- Podobno coroczne urlopy mają być przedłużone do sześciu miesięcy.

Minęli park i Pierec nagle zrozumiał, że jadą w niewłaściwą stronę. Wyjadą teraz za bramę i serpentyną zjadą pod skarpe.

- Słuchajcie, a dokąd my jedziemy? - zapytał ze strachem.

- Jak to dokąd? Po wypłatę.

- Nie na Kontynent?

- A po co na Kontynent? Kasjer przyjechał na stację biologiczną.

- Więc wy jedziecie na stację? Do lasu?

- No a jak? My jako Straż Naukowa pieniądze dostajemy na stacji.

- A co ze mną? - zapytał zdetonowany Pierec.

- I ty też dostaniesz. Należy ci się premia... Ale, ale, czy wszyscy załatwili formalności?

Pracownicy zakrzętnęli się, wyciągając z kieszeni i starannie oglądając różnobarwne i najróżniejszego formatu papiery z pieczęciami.

- Pierec, czy pan wypełnił ankietę?

- Jaką ankietę?

- Przepraszani bardzo, co to znaczy - jaką? Formularz numer osiemdziesiąt cztery.

- Nic nie wypełniałem - powiedział Pierec.

- Panowie! Co to znowu takiego? Pierec nie ma dokumentów!

- Nieważne. Z pewnością ma przepustkę.

- Nie mam żadnej przepustki - powiedział Pierec. - Nic nie mam. Tylko walizkę, i jeszcze płaszcz... Nie wybierałem się do lasu, przecież chciałem wyjechać...

- A badania lekarskie? A szczepienia?

Pierec pokręcił głową. Ciężarówka już jechała serpentyną i Pierec, nie widząc, patrzył na las, na płaskie, gąbczaste smugi pod samym horyzontem, na burzliwą kipieli, na lepłą pajęczynę mgły w cieniu skarpy.

- Takie rzeczy nie przechodzą bezkarnie - powiedział ktoś.

- Ale przecież po drodze nie ma żadnych obiektów.

- A Domaroszczyner?

- No i co Domaroszczyner, jeśli nie ma obiektów?

- No, tego, powiedzmy, nie wiesz. I nikt nie wie. A tymczasem w zeszłym roku Kandyd, szalona głowa, poleciał bez dokumentów, i gdzie jest teraz Kandyd?

- Po pierwsze, nie w zeszłym roku, tylko znacznie wcześniej. A po drugie, po prostu poległ. Na posterunku.

- Tak? A widziałeś zarządzenie?

- Fakt, zarządzenia nie było.

- To znaczy, nie ma nawet o czym dyskutować. Jak go posadzili do bunkra na rogatce, tak siedzi tam do tej pory i wypełnia ankiety...

- Jak mogłeś, Pierec, nie wypełnić ankiety? Może z tobą nie wszystko jest w porządku?

- Chwileczkę, panowie! To poważny problem. Proponuję, na wszelki wypadek, sprawdzić pracownika Piereca, jeśli tak można powiedzieć, w trybie demokratycznym. Kto będzie sekretarzem?

- Domaroszczyner!

- Bardzo słuszna propozycja. Honorowym sekretarzem wybieramy naszego wielce szanownego Domaroszczynera. Po waszych twarzach widzę, że jednomyślnie. A kto z nas będzie wicesekretarzem?

- Vanderbilt niech będzie wice!

- Vanderbilt?... No cóż... Padła propozycja, żeby wybrać wicesekretarzem Vanderbildta. Czy są inne propozycje? Kto za? Przeciw? Wstrzymał się? Hm... Dwóch się wstrzymało. Dlaczego pan się wstrzymał?

- Ja?

- Tak, Właśnie pan.

- Sensu nie widzę. Po co człowiekowi wypruwać flaki? I tak mu jest źle.

- Rozumiem. A pan?

- Nie twój zasrany interes.

- Jak pan sobie życzy... Wicesekretarzu, proszę zapisać - dwóch się wstrzymało. Zaczynamy. Kto pierwszy? Nie ma chętnych? W takim razie pozwólcie, że ja zacznę. Pracownikowi Pierec, proszę odpowiedzieć na następujące pytania: jakie odległości pokonywał pan między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia - a) na nogach, b) transportem naziemnym, c) transportem napowietrzonym. Proszę pomyśleć, nie ma pośpiechu. Tu jest papier i ołówek.

Pierec posłusznie wziął papier i ołówek i zaczął sobie przypominać. Ciężarówka trzęsła. Najpierw wszyscy patrzyli na Piereca, potem im się znudziło i ktoś zaczął:

- Nie boję się przeludnienia. Ale czy widzieliście, ile techniki tu stoi? Na pustkowiu za warsztatami - widzieliście? A wiecie, co to za technika? Słusznie wszystko jest w zamkniętych skrzyniach. I nikt nie ma czasu, żeby to obejrzeć. A wiecie, co ja tam widziałem onegdaj wieczorem? Przystanąłem, żeby zapalić papierosa i nagle słyszę jakiś trzask.

Oglądam się i widzę - bok jednej skrzyni, wielkiej jak spora chałupa, wypucza się i otwiera jak brama. I ze skrzyni wyłazi mechanizm. Opisywać wam go nie będę, sami rozumiecie, dlaczego. Ale było na co popatrzeć... Postać chwilę, wystrzelił z siebie do góry długą rurę z takim wiatraczkiem na końcu, jakby się rozglądał, a potem z powrotem wpełzł do skrzyni i zamknął się pokrywą. Czułem się wtedy nie najlepiej i zwyczajnie nie uwierzyłem własnym oczom. A dziś rano pomyślałem sobie, że pójde tam i zobaczę. Poszedłem - i mróz mi przeszedł po skórze. Skrzynia w całkowitym porządku, ani jednej szparki, ale ten bok zabity jest gwoździami od środka! A na zewnątrz sterczą ostrza gwoździ, błyszczące, długości palca. I teraz cały czas myślę - po co ta maszyna wypełzła? I czy ona jedna tam jest taka? Może one wszystkie tak każdej nocy... rozglądają się. I zanim co, zanim, jak, zanim dojdzie do przeludnienia, urządują nam kiedyś maszyny noc świętego Bartłomieja i posypią się nasze kości z urwiska. A może nawet nie kości, tylko mączka kostna... Co? Nie, dziękuję, sam zawiadamiaj inżynierów, jeśli masz ochotę. Przecież ja tę maszynę widziałem i skąd teraz mam wiedzieć, czy wolno ją było widzieć, czy nie?

Na skrzyniach żadnych znaków nie ma...

- Pierec, jest pan gotów?

- Nie - odpowiedział Pierec. - Nic sobie nie mogę przypomnieć. To było bardzo dawno.

- Dziwne. Ja, na przykład, świetnie pamiętam. Sześć tysięcy siedemset jeden kilometr koleją, siedemnaście tysięcy sto pięćdziesiąt trzy kilometry powietrzem (z tego trzy tysiące dwieście piętnaście w sprawach osobistych) i piętnaście tysięcy siedem kilometrów piechotą. A jestem starszy od pana. Dziwne, dziwne... No, dobrze. Spróbujemy następny punkt. Jakie zabawki lubił pan najbardziej w wieku przedszkolnym?

- Nakręcane czołgi - powiedział Pierec i wytarł pot z czoła. - I transporterzy opancerzone.

- Aha! Pamięta pan! A przecież dotyczy to wieku przedszkolnego, czyli czasu, że tak powiem, znacznie odleglejszego! Chociaż i mniej odpowiedzialnego, prawda, Pierec? A więc czołgi i transporterzy... Punkt następny. W jakim wieku poczuł pan pociąg do kobiety - w nawiasie - do mężczyzny? Pytanie w nawiasie z zasady dotyczy kobiet. Może pan odpowiadać.

- Dawno - powiedział Pierec. - To było bardzo dawno.

- Dokładnie!

- A pan? - zapytał Pierec. - Najpierw niech pan powie, a potem ja.

Przewodniczący wzruszył ramionami.

- Ja nie mam czego ukrywać. Po raz pierwszy zdarzyło się to w wieku dziewięciu lat, kiedy kąpano mnie razem z cioteczną siostrą... A teraz pan, proszę.

- Nie mogę - powiedział Pierec. - Nie zamierzam odpowiadać na takie pytania.

- Idiota - zaszeptał mu ktoś nad uchem. - Zełźyżj cokolwiek z poważną miną i koniec. Czego się męczysz? Kto cię sprawdzi?

- Niech będzie - powiedział pokornie Pierec. - W wieku dziesięciu lat. Kiedy kąpano mnie razem z suką Murką.

- Znakomicie! - zawołał przewodniczący. - A teraz proszę wyliczyć wszystkie choroby nóg, na które pan cierpiał.

- Reumatyzm.

- Jeszcze?

- Chromanie przestankowe - powiedział Pierec.

- Bardzo dobrze. Jeszcze?

- Katar - powiedział Pierec.

- To nie jest choroba nóg.

- Nie wiem. Może to u pana nie jest choroba nóg. A u mnie - właśnie nóg. Jak przemoczę nogi, zaraz katar.

- Powiedzmy. A jeszcze?

- Czy to za mało?

- To już jak pan sobie życzy. Ale uprzedzam - im więcej, tym lepiej.

- Choroba Bürgera - powiedział Pierec. - Zakończona amputacją. To była ostatnia choroba moich nóg.

- Teraz, jak sądzę, wystarczy. Ostatnie pytanie. Pański światopogląd. Krótko.

- Materialista - powiedział Pierec.

- Konkretnie - jaki materialista?

- Emocjonalny.

- Nie mam więcej pytań. Może panowie?

Panowie nie mieli pytań. Niektórzy drzemali, inni rozmawiali, odwróceni plecami do przewodniczącego. Ciężarówka jechała teraz powoli. Robiło się upalnie, ciągnęło wilgocią, pachniało lasem, ten zapach był nieprzyjemny, ostry i zwykle nie docierał do Zarządu. Samochód toczył się z wyłączonym silnikiem i było słychać, jak z daleka, z bardzo odległego daleka, dobiega słabe burczenie grzmotów. - Jestem zdumiony, kiedy na was patrzę - mówił wicesekretarz również odwrócony plecami do przewodniczącego. - To jakiś niezdrowy pesymizm. A człowiek z natury jest optymistą, to po pierwsze. Po drugie i najważniejsze -

czy naprawdę uważacie, że dyrekcja mniej niż wy myśli o tych sprawach? To mnie śmieszy. W ostatnim swoim orędziu dyrektor, zwracając się do mnie, rozwinął nadzwyczaj świetlane perspektywy. Nie wstydę się wyznać, że dech mi zaparło z zachwytu. Zawsze byłem optymistą, ale obraz, który zobaczyłem... Jeśli chcecie wiedzieć, wszystko zostanie wyburzone, wszystkie te magazyny, wille... Wyrosną oślepiająco piękne gmachy z przezroczystych i półprzezroczystych materiałów, stadiony, baseny, wiszące ogrody, kryształowe knajpy i bary! Drabiny do nieba! Przepiękne, wysmukłe kobiety o jędrnej, smagłej skórze! Biblioteki! Muskule! Laboratoria! Przesycone słońcem i światłem! Nienormowany czas! Samochody, glidery, sterowce... Konwersatoria, nauka w czasie snu, stereo kino... Pracownicy po godzinach pracy będą siedzieć w bibliotekach, rozmyślać, komponować melodie, grać na gitarach i innych instrumentach muzycznych, rzeźbić w drzewie i czytać sobie nawzajem wiersze!

- A co ty będziesz robić?

- Ja będę rzeźbił w drzewie.

- I co jeszcze?

- Jeszcze będę pisał wiersze. Naucz mnie pisać wiersze, mam ładny charakter pisma.

- A co ja będę robić?

- Co tylko zechcesz! - wielkodusznie powiedział sekretarz. - Rzeźbić w drzewie, pisać wiersze... Co chcesz.

- Nie chcę rzeźbić w drzewie. Jestem matematykiem.

- Proszę cię bardzo! Zajmij się swoją matematyką do upojenia!

- Ja i teraz zajmuję się do upojenia matematyką.

- Teraz dostajesz za to pensję. Bardzo głupio. Będziesz skakać z wieży.

- Po co?

- Jak to - po co? To przecież ciekawe.

- Nieciekawe.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że niczym się nie interesujesz, oprócz swojej matematyki?

- Właściwie to chyba niczym... Jak przepracuję cały dzień, to jestem taki otumaniony, że już nic mnie więcej nie interesuje.

- Po prostu jesteś ograniczonym człowiekiem. Ale to nic, zostaniesz rozwinięty. Znajdą ci jakieś zdolności, będziesz komponować muzykę, coś tam rzeźbić...

- Komponowanie muzyki to żaden problem. Tylko gdzie znaleźć słuchaczy...

- No, ja na przykład, chętnie posłucham... może i Pierec...

- To ci się tylko tak wydaje. Nie będziesz mnie słuchać. I wierszy też pisać nie będziesz. Porzeźbisz trochę w drzewie, a potem pójdziesz na dziwki. Albo się uchlasz. Przecież cię znam. I ciebie, i was wszystkich. Będziecie się włączyć od kryształowej knajpy do diamentowego baru. Szczególnie, kiedy będzie nienormowany czas pracy. Nawet boję się pomyśleć, co tu się będzie działo, jeśli wprowadzą ten nienormowany czas naprawę.

- Każdy człowiek jest w jakiś sposób genialny - nie zgodził się wicesekretarz. - Trzeba tylko ten geniusz wykryć. Nikt nie podejrzewa, a być może ja, na przykład, jestem genialnym kucharzem, a ty - powiedzmy - farmaceutą, tymczasem zajmujemy się nie tym, czym powinniśmy, nie rozwijamy tego, co w nas najważniejsze. Dyrektor powiedział, że w przyszłości zajmą się tym specjaliści, i będą wykrywać nasze ukryte potencjały.

- No wiesz, z potencjałami to sprawa dosyć ciemna. W ogóle nie spieram się z tobą, być może w każdym z nas rzeczywiście drzemie geniusz, tylko co robić, jeśli ten geniusz może znaleźć zastosowanie czy to w odległej przeszłości, czy też przyszłości, a w teraźniejszości nikt tego nawet za geniusz nie uważa, nieważne, czy się przejawia, czy nie. Oczywiście, to świetnie, jeśli okażesz się genialnym kucharzem. Ale dopiero, kiedy się wyjaśni, że jesteś genialnym woźnicą, a Pierec genialnym obciosywaczem ostrzy kamiennych kopii, a ja genialnym poławiaczem jakiegoś tam X-pola, o którym nikt nic nie wie i dowie się dopiero za jakieś dziesięć lat... No, to dopiero wtedy, jak powiedział poeta, obróci się ku nam czarna twarz odpocznienia...

- Chłopcy - powiedział ktoś - nie wzięliśmy ze sobą nic do żarcia. Zanim przyjedziemy, zanim nam wydadzą pieniądze...

- Stojan nas nakarmi.

- Żebyś się nie przejadł, jak cię Stojan nakarmi. Oni tam mają racjonowaną żywność.

- Coś takiego, a żona chciała mi dać kanapki!

- Nie szkodzi, wytrzymamy, już widać szlaban...

Pierec wyciągnął szyję. Przed nimi żółtozieloną ścianą stał las i droga ginęła w nim jak nitka ginie w pstrokatym dywanie. Ciężarówka przejechała obok napisu na dykcie: „UWAGA! ZMNIJSZYĆ PRĘDKOŚĆ! PRZYGOTOWAĆ DOKUMENTY!” Było już widać pasiasty opuszczony szlaban, obok niego budkę, a z prawej - drut koleczasty, białe gruszki izolatorów, okratowane wieże z reflektorami. Ciężarówka stanęła. Wszyscy patrzyli na strażnika, który stał na skrzyżowanych nogach oparty o budkę, z karabinem pod pachą, i drzemał. Z wargi zwisał mu zgasły papieros i ziemia pod budką była usłana niedopałkami. Obok szlabanu tkwiła na kiju tablica z ostrzegawczymi napisami: „UWAGA! LAS!”; „PRZEPUSTKI OKAZYWAĆ ROZŁOŻONE!”; „NIE ZAWLECZ INFEKCJI!” Szofer

delikatnie zatrąbił. Strażnik otworzył oczy, mętnie popatrzył przed siebie, potem odkleił się od budki i obszedł ciężarówkę dookoła.

- Coś dużo was - powiedział ochryple. - Po pieniądze?

- Tak jest - uniżenie powiedział były przewodniczący.

- Słuszna inicjatywa, pożyteczna - powiedział strażnik. Obszedł samochód, stanął na stopniu i zajrzał do skrzyni. - Och, ale was dużo - powiedział z wyrzutem.

- A ręce? Ręce macie czyste?

- Czyste - chórem odpowiedzieli pracownicy. Niektórzy wystawili dłonie.

- Wszyscy mają czyste?

- Wszyscy!

- To i dobrze - powiedział strażnik i po pas wsunął się do szoferki. Z szoferki dobiegło: - Kto tu jest najstarszy rangą? Pan? Ilu wieziesz? Aha... Nie łżesz? Nazwisko? Kim? No, Kim, na twoją odpowiedzialność, zapisuję twoje nazwisko... Cześć, Waldemar. Ciągłe jeździsz? A ja ciągle pilnuję. Pokaż legitymację. No, no, bez awantur, powiedziałem: pokaż... Legitymacja w porządku, inaczej bym ci... Co ty, na legitymacji telefony zapisujesz? Poczekaj. Co to za Charlotta? A-aa, pamiętam. Daj no, ja też sobie zapiszę. Dziękuję. Jedźcie. Można jechać.

Zeskoczył ze stopnia, wzbijając butami kurz podszedł do szlabanu i napał na dźwignię. Szlaban uniósł się powoli, rozwieszony na nim kalesony zjechały na ziemię, w kurz. Ciężarówka ruszyła.

W skrzyni znowu zrobiło się gwarno, ale Pierec niczego nie słyszał. Wjeżdżał do lasu, Las zbliżał się, napływał, spiętrzał się coraz wyżej i wyżej jak fala oceanu i nagle pochłonął wszystko. Nie było już więcej ani słońca, ani nieba, ani czasu, ani przestrzeni, ich miejsce zajął las. Było tylko migotanie mrocznych barw, gęste, wilgotne powietrze, zapachy dziwaczne jak dym i cierpki posmak w ustach. Tylko słuchu las nie atakował - dźwięki lasu zagłuszał ryk silnika i gadanina pracowników. To jest las, myślał Pierec, jestem w lesie, powtarzał bezmyślnie. Nie na górze, a wewnątrz, nie obserwator, tylko uczestnik. Oto jestem w lesie. Wilgotne i chłodne coś dotknęło jego twarzy, załaskotało, odpadło i powoli osunęło się na jego kolano. Spojrzał. Cienkie, długie włókno jakiejś rośliny, może zwierzę, może po prostu dotknięcie lasu, przyjacielskie powitanie albo podejrzliwe obmacywanie - zostawił to włókno na swoich kolanach.

A ciężarówka pędziła szlakiem sławnego natarcia, żółte, zielone i brązowe pokornie zostawało z tyłu, a wzdłuż poboczy pozostawały nie uprzątnięte, zapomniane kolumny weteranów nacierającej armii, czarne spychacze stojące na sztorc, z nienawistnie zadartymi

do góry lemieszami, zapadłe w ziemię po samą kabinę traktory, za którymi jak zmije wiły się rozpostarte gąsienice, ciężarówki bez kół i bez szyb - wszystko martwe, porzucone na zawsze, ale po dawnemu nieustraszenie patrzące przed siebie, w głąb lasu, rozerwanymi chłodnicami i roztrzaskanymi reflektorami. A wokół falował las, drżał, pulsował, zmieniał barwę, migotał gorejąc, okłamując wzrok, przyplływał i odpływał, szydził, straszył, natrzęsał się; las był niezwykły, niepojęty, niemożliwy do opisanania i wywołujący mdłości.

Rozdział V

Kandyd wyszedł jeszcze po ciemku, żeby zdążyć wrócić na obiad. Do Osady było z dziesięć kilometrów, droga znana, dobrze udeptana, cała pokryta nagimi plackami od trawomora. Panowało przekonanie, że można nią chodzić bezpiecznie. Po lewej i po prawej stronie drogi ciągnęły się ciepłe bezdenne mokradła, z rdzawej cuchnącej wody wystawały przegniłe czarne gałęzie, sterczały okrągłe białe kapelusze gigantycznych błotnych muchomorów, a od czasu do czasu tuż przy drodze leżały porzucone, rozgniecione gniazda wodnych pająków. Ze ścieżki trudno było zobaczyć, co się działo na mokradłach - z gęstych, splecionych koron drzew nad głową zwisały, ginęły w trzęsawisku miliardy grubych zielonych kolumn, sznurów lian, niepewnych jak pajęczyna nici; chciwa żarłoczna zieleń za mglistym murem ukrywała wszystko prócz dźwięków i zapachów. Od czasu do czasu w żółtozielonym półmroku coś się rwało i spadało z przeciągłym szumem, rozlegał się tłusty, gęsty plusk, bagno wzdychało, burczało, cmokało i znowu zapadała cisza, a w chwilę później poprzez zieloną kotarę wypełzał mogilny smród zaniepokojonej otchłani. Ludzie mówili, że przez te bezdenne moczary żaden człowiek nie przejdzie, za to martwiaki chodzą wszędzie - wiadomo, jak to martwiaki - bagno ich nie przyjmuje. Na wszelki wypadek Kandyd wyłamał sobie kij, nie dlatego żeby się bał martwiaków, martwiaki dla mężczyzny właściwie są niegroźne, ale dlatego, że o leśnym życiu chodziły różne słuchy, a niektóre z nich przy całej swojej absurdalności i głupocie mogły okazać się prawdziwe.

Kandyd był jakieś pięćset kroków od wsi, kiedy go dogoniła Nava. Przystanął.

- Dlaczego poszedłeś beze mnie? - zapytała Nava nieco zdyszonym głosem. Przecież mówiłam ci, że pójdę z tobą, nie zostanę sama w tej wsi, nie mam tam co robić sama, nikt mnie tam nie lubi, a ty jesteś moim mężem i powinieneś zabierać mnie ze sobą, to jeszcze nic nie znaczy, że nie mamy dzieci; ty jesteś moim mężem, ja jestem twoją żoną, a dzieci jeszcze będziemy mieli... Ja ci powiem szczerze i uczciwie, że jeszcze wcale nie chcę mieć dzieci, nie rozumiem, po co nam dzieci i co z nimi będziemy robić... Niech tam sobie starosta gada, co chce, i ten twój starzec to samo, u nas na wsi było zupełnie inaczej: kto chce, ten ma dzieci, a kto nie chce, ten nie ma...

- Wracaj do domu - powiedział Kandyd. - Skąd ci przyszło do głowy, że odchodzę? Idę tylko do Osady, na obiad wrócę do domu...

- No to bardzo dobrze, ja pójdę z tobą, a na obiad wrócimy razem, bo mam obiad jeszcze z wczoraj i tak go dobrze schowałam, że nawet ten twój staruch nie znajdzie...

Kandyd poszedł dalej. Dyskusja nie miała sensu, niech idzie. Nawet poweselał, nawet nabrał ochoty, żeby go ktoś zaczepił, żeby przyłożyć komuś kijem, wyładować na kimś swój smutek, gniew i bezsilność wzbierającą w nim od tyłu już lat. Żeby się tak trafili złodzieje. Albo martwiaki - wszystko jedno. Niech dziewczyna idzie. Też mi żona. Dzieci nie chce. Zamachnął się z całej siły, uderzył kijem w wilgotny konar na poboczu drogi i mało nie upadł: konar rozsypał się w próchno i kij przeszedł przezeń jak przez cień. Wskoczyło kilka zwinnych szarych zwierzątek i z bulknięciem znikło w ciemnej wodzie.

Nava podskakiwała obok, to wybiegając naprzód, to zostając w tyle. Od czasu do czasu oburącz ujmowała Kandyda za rękę i zawisała na niej, bardzo zadowolona. Mówiła o obiedzie, który tak sprytnie ukryła przed starcem; o tym, że obiad mogłyby zjeść dzikie mrówki, gdyby ona, Nava, nie zrobiła tak, że mrówki nigdy w życiu nie dostaną się do obiadu; o tym, że budziła ją jakaś paskudna mucha i że kiedy ona, Nava, wczoraj wieczorem zasypiała, on, Mruk, już chrapał i we śnie mamrotał jakieś niepojęte słowa, i skąd ty, Mruk, znasz takie słowa, to wprost nie do pojęcia, nikt w naszej wsi nie zna takich słów, ty jeden znasz, i zawsze znałeś, nawet kiedyś byłeś zupełnie chory, to też znałeś...

Kandyd słuchał i nie słuchał, znajome nękające buczenie huczało w jego mózgu, szedł i tępo, wielosłownie myślał, dlaczego nie może przestać myśleć, może to od nie kończących się szczepień, które bez końca trwają na wsi, może od nieustannej gadaniny, a może jeszcze od czegoś innego... A może to jest skutek tego sennego, jaskiniowego sposobu życia, inaczej mówiąc wegetacji, która trwa od owych niepamiętnych czasów, kiedy helikopter na pełnym gazie uderzył w niewidzialną przeszkodę, przechylił się, roztrzaskał śmigło i jak kamień runął w bagno... Wtedy właśnie musiało mnie wyrzucić z kabiny, pomyślał. Wtedy wyrzuciło mnie z kabiny, pomyślał po raz tysięczny. Uderzyłem o coś głową i już nie wydobrałem... a gdyby mnie nie wyrzuciło, to utonąłbym w bagnie razem z helikopterem, więc właściwie to dobrze, że mnie wyrzuciło...

Nagle olśniło go odkrycie, że rozumuje logicznie, ucieszył się; sądził, że dawno zatracił umiejętność logicznego wnioskowania i potrafi powtarzać tylko jedno: pojutrze, pojutrze...

Spojrzał na Navę. Dziewczynka wisiała na jego lewej ręce, patrzyła w górę i z zapałem opowiadała:

- Wtedy one wszystkie stłoczyły się w jednym miejscu i zrobiło się okropnie gorąco, sam wiesz, jakie one są rozgrzane, a tej nocy w ogóle nie było księżyca. Wtedy mama zaczęła mnie ostrożnie popychać i ja przepelzłam na czworakach pod ich nogami, i mamy już nigdy więcej nie zobaczyłam...

- Nava - powiedział Kandyd - znowu opowiadasz mi tę historię. Już mi ją dziesięć razy opowiadałaś.

- No i co z tego? - zapytała zdziwiona Nava. - Ty jesteś jakiś dziwny, Mruk. Co ja ci jeszcze mogę opowiadać? Więcej nie pamiętam i nie wiem. Przecież nie zacznę ci opowiadać, jak w zeszłym tygodniu razem kopaliśmy piwnicę, bo sam to widziałeś. Co innego, gdybym kopała piwnicę z kimś innym, na przykład z Kaczonogiem albo z Pyskaczem... - Nagle ożywiła się: - A wiesz, Mruk, to nawet ciekawe. Opowiedz mi, jak razem kopaliśmy piwnicę, jeszcze mi o tym nikt nie opowiadał, dlatego że nikt tego nie widział...

Kandyd znowu przestał ją słyszeć. Kołysząc się powoli płynęły zбочem drogi żółtozielone, zarośla, ktoś w wodzie sapał i wzdychał, cienkim wyciem przeleciał rój miękkich białawych żuków, z których robi się odurzające nalewki, ścieżka pod stopami czasem była miękka od trawy, to znowu twarda od żwiru i tłucznia. Szare, żółte i zielone plamy, wzrok nie miał się o co zaczepić, nie było co zapamiętywać. Potem ścieżka nagle ostro skręciła na lewo. Kandyd zrobił jeszcze kilka kroków, wzdrygnął się i stanął. Nava zamilkła w pół słowa.

Przy drodze, głową w błocie, leżał ogromny martwiak. Ręce i nogi miał rozrzucone i paskudnie wykręcone. Leżał na pomiętej, żółkłej od żaru trawie, blady, szeroki, i już z daleka było widać, jak strasznie go bito. Wyglądał jak galareta. Kandyd wyminął martwiaka ostrożnym łukiem. Ogarnął go strach. Walka odbyła się bardzo niedawno - zgniecione pożółkłe źdźbła trawy ożywały w oczach. Kandyd uważnie zbadał wzrokiem ścieżkę. Siadów było wiele, ale Kandyd zupełnie się na nich nie znał, a ścieżka nie opodał znowu ostro skręcała, nie mógł przewidzieć, co ich czekało za zakrętem. Nava ciągle odwracała głowę i spoglądała na martwiaka.

- To nie nasi - powiedziała bardzo cicho. - Nasi tak nie umieją. Kułak ciągle się chwali, ale on też nie umie, tylko macha rękami... A w Osadzie też tak nie umieją... Wiesz co, może lepiej wracajmy? A jeśli to szkarady? Mówią, że one tu chodzą, rzadko, ale chodzą. Lepiej wracajmy... I po co ty mnie prowadzisz do tej Osady, co to ja Osady nie widziałam, czy co?

Kandyd rozgniewał się. Co to znowu? Sto razy chodził tą drogą i nie napotkał niczego, co warto byłoby zatrzymać w pamięci albo przemyśleć. A teraz właśnie, kiedy jutro trzeba wyruszyć - nawet nie pojutrze, ale nareszcie jutro! - ta jedyna bezpieczna droga staje się niebezpieczna... Do Miasta można się dostać tylko przez Osadę. Jeżeli do Miasta można w ogóle się dostać, jeżeli Miasto w ogóle istnieje, to droga do niego prowadzi przez Osadę.

Wrócił do martwiaka. Wyobraził sobie, jak Kaczonóg, Kułak i Kusy, bez ustanku gadając, pusząc się i grożąc, stoją nad martwiakiem, a następnie, nie przestając gadać, puszyć się i grozić na wszelki wypadek, zawracają z powrotem na wieś. Kandyd schylił się i wziął martwiaka za nogi. Nogi były jeszcze gorące, ale już nie parzyły. Z wysiłkiem zepchnął ciężkie ciało w bagno. Trzęsawisko mlasnęło, zachrypiało i rozwarło się. Martwiak znikł, przez ciemną wodę przebiegły drobne fale i zgasły.

- Nava - powiedział Kandyd - i wracaj do wsi.

- Jak mogę wrócić na wieś - rozsądnie powiedziała Nava - jeżeli ty nie wracasz? Co innego gdybyś i ty też wrócił na wieś...

- Przestań gadać - powiedział Kandyd. - Natychmiast biegnij na wieś i czekaj na mnie. I z nikim tam nie rozmawiaj.

- A ty?

- Ja jestem mężczyzną - powiedział Kandyd. - I nikt mi nic nie zrobi.

- Zrobi, i to jeszcze jak - powiedziała Nava. - Mówię ci przecież - a jeżeli to są szkarady? Im jest przecież wszystko jedno - kobieta, mężczyzna, martwiak, one i z ciebie zrobią szkaradę, będziesz tu chodził taki straszny, a w nocy będziesz wrastał w drzewo... Jakże ja pójdę sama, kiedy oni może czatują tam, z tyłu?

- Nie ma na świecie żadnych szkarad - niezbyt pewnie powiedział Kandyd. - To tylko głupie gadanie...

Spojrzał za siebie. Tam również był zakręt, a co było za tym zakrętem, tego też nie mógł przewidzieć. Nava coś do niego mówiła nieprzerwanie, spieszonym szeptem, i od tego szeptu robiło się szczególnie nieprzyjemnie. Kandyd ujął mocniej kij.

- Dobrze. Możesz iść ze mną. Tylko trzymaj się blisko i jeśli coś ci każe zrobić, natychmiast masz słuchać. I milcz, milcz, nie otwieraj ust do samej Osady. Idziemy.

Milczeń Nava oczywiście nie umiała. Rzeczywiście trzymała się blisko Kandyda, nie wybiegała naprzód, nie zostawała z tyłu, ale przez cały czas coś jam sobie mruzczała pod nosem: najpierw o jakichś szkaradach, potem o piwnicy, potem o Kaczonogu, jak to z nim była i jak on dla niej zrobił fujarkę... Minęli już niebezpieczny zakręt, następnie minęli jeszcze jeden niebezpieczny zakręt i Kandyd już się trochę uspokoił, kiedy z wysokiej trawy, wprost z bagna, w milczeniu wyszli i zagrodzili im drogę jacyś ludzie.

No tak, ze zmęczeniem pomyślał Kandyd. Ale ja mam pecha. Przez cały czas mam straszego pecha. Spod oka spojrzał na Navę. Nava potrząsała głową, twarz jej się zmarszczyła.

- Mruk, nie oddawaj mnie - mamrotała - ja nie chcę iść z nimi. Ja chcę być z tobą, nie oddawaj mnie...

Spojrzał na ludzi. Było ich siedmiu - sami mężczyźni, wszyscy zarośnięci po same oczy i wszyscy z ogromnymi sękatymi kijami. Nietutejsi, i ubrani nie po tutejszemu, w zupełnie inne rośliny. To byli złodzieje.

- No co tak stoicie? - głębokim, potężnym głosem powiedział herszt. - Podejdźcie, my nic złego wam nie zrobimy... Gdybyście byli martwiakami, wtedy oczywiście rozmowa byłaby inna, zresztą w ogóle żadnej rozmowy by nie było, pogłaskalibyśmy was kijami, maczugami, taka byłaby rozmowa... Dokąd idziecie? Do Osady, jak rozumiem. Do Osady można, bardzo prosimy. Ty, ojczu, możesz sobie iść. A córkę, rzecz jasna, zostaw nam. I nie martw się, z nami jej będzie lepiej.

- Nie - powiedziała Nava - ja nie chcę iść z nimi. Żebyś sobie wiedział, Mruk, ja nie chcę iść z nimi, to przecież złodzieje...

Złodzieje zaśmiali się bez jakiegokolwiek złości, zwyczaj, nie.

- A może przepuścicie nas oboje? - zapytał Kandyd.

- Nie - odparł herszt. - Tak nie można. Tu wszędzie dokoła siedzą martwiaki, zginie marnie twoja córka, zostanie przesławną druhną albo jakimś innym paskudztwem, a to nam na nic, ojczulku, pomyśl sam, jeżeli jesteś człowiekiem, a nie martwiakiem, a do martwiaka wcale nie jesteś podobny, chociaż z drugiej strony wyglądasz trochę dziwnie...

- To przecież jeszcze dziecko - powiedział Kandyd. - Dlaczego chcecie ją skrzywdzić?

- Dlaczego zaraz krzywdzić? Nie będzie przecież dzieckiem do końca życia, nadejdzie czas - zostanie kobietą, nie jakąś tam przesławną druhną, tylko kobietą...

- On kłamie - powiedziała Nava. - Ty mu nie wierz, Mruk, lepiej prędzej zrób coś, jeśli już mnie tutaj przyprowadziłeś, bo inaczej oni mnie zaraz zabiorą, jak zabrali córkę Kaczonoga, i od tej pory nikt już jej więcej nie widział; ja nie chcę iść z nimi, już lepiej zostanę tą przesławną druhną... Patrz, jacy oni dzicy i wychudzeni, na pewno nawet nie mają co jeść.

Kandyd rozejrzał się bezradnie, potem przyszła mu do głowy myśl, jak sądził, bardzo sprytna.

- Ludzie, posłuchajcie - powiedział prosząco. Weźcie ze sobą nas dwoje.

Złodzieje zbliżyli się bez pośpiechu. Herszt uważnie obejrzał Kandyda od stóp do głów.

- Nie - powiedział. - Na co nam taki jak ty? Wy, wsiowi, do niczego się nie nadajecie, żadnej śmiałości nie macie, życie nie wiadomo po co, gołymi rękami można was brać. Nie

jesteś nam potrzebny, ojczulku, mówisz nie tak jak wszyscy, nie wiadomo, co z ciebie za człowiek, idź sobie do Osady, a córkę nam zostaw.

Kandyd głęboko westchnął, ujął kij oburącz i cicho powiedział do Navy:

- No, Nava, uciekaj! Uciekaj, nie oglądaj się, ja ich zatrzymam.

Głupio, pomyślał. Że też musiało wypaść tak głupio.

Przypomniał sobie galaretowatego martwiaka w ciemnej wodzie i wzniósł nad głową kij.

- Ejej! - krzyknął herszt.

W siedmiu, popychając się i szczerząc zęby, tłumnie ruszyli naprzód. Jeszcze przez kilka sekund Kandyd słuchał szybkiego stukotu pięt Navy, potem już nie miał do tego głowy. Ogarnął go strach, było mu wstyd, ale strach bardzo szybko minął, ponieważ nieoczekiwanie okazało się, że jedynym godnym przeciwnikiem wśród złodziei jest herszt. Odbijając jego ciosy, Kandyd widział, jak pozostali, groźnie i bezmyślnie wymachując kijami, potracają się wzajemnie i chwieją przy każdym zamachu, często przystając, żeby popluć w dłoń. Jeden nagle wrzasnął rozpaczliwie: „Tonę!”, i z hałasem wpadł w błoto; od razu dwóch odrzuciło kije, zaczęli go wyciągać, ale herszt nacierał, stękając i przytupując, póki Kandyd przypadkiem nie trafił go w kolano. Herszt wypuścił kij, syknął i przykucnął. Kandyd odskoczył.

Dwaj złodzieje wyciągali tonącego z błota. Nieszczęśnik ugrzązł solidnie, twarz mu posiniała. Herszt siedział w kucki i troskliwie oglądał stłuczone kolano. Trzej pozostali złodzieje z podniesionymi kijami tłoczyli się za piecami herszta i też oglądali stłuczenie ponad jego głową.

- Głupiś, ojczulku - powiedział z wyrzutem herszt. - Czy to tak można, kmiotku nieszczęsny... Skąd ty się taki wziąłeś... Nie rozumiesz własnego interesu, żłobie nieociosany?...

Dłużej Kandyd nie czekał. Zawrócił i co sił w nogach pobiegł za Navą. Złodzieje coś za nim wykrzykiwali gniewnie i szyderczo, herszt pohukiwał i ryczał: „Łapać go! Łapać!” Ale nikt nie rzucił się w pogoń i Kandydowi to się bardzo nie spodobało. Czuł rozczarowanie i złość i biegnąc próbował zrozumieć, w jaki „sposób ci niezgrabni, niezręczni i dobroduszni ludzie mogą wzbudzać taką groźę we wsiach i jeszcze w jakiś zagadkowy sposób zabijać martwiaki - waleczne, zwinne i bezlitosne.

Nawę zobaczył bardzo prędko - biegła jakieś trzydzieści kroków przed nim, twardo uderzając o ziemię gołymi piętami. Widział, jak znikła za zakrętem i nagle pojawiła się

znowu - teraz pędziła na spotkanie Kandyda - na moment zamarła i pobiegła w bak prosto przez bagno, skacząc z konara na konar, że tylko bryzgi leciały. Kandydowi zamarło serce.

- Stój! - wrzasnął bez tchu. - Zwariowałaś?! Stój!

Nava natychmiast stanęła, schwyciła zwisającą lianę i odwróciła głowę. Kandyd zobaczył, że zza zakrętu wyszli mu naprzeciw jeszcze trzej złodzieje i też stanęli, patrząc to na niego, to na Navę.

- Mruk! - przenikliwie krzyknęła Nava. - Bij ich, a potem biegnij tutaj! Nie utoniesz, nie bój się! Bij ich! Bij! Kijem ich! Uhuuhu ich! A huzia ich!

- Ej, dziewczyno - powiedział troskliwie któryś złodziej - trzymaj się tam, nie krzycz, tylko się trzymaj, bo spadniesz i wyciągać cię potem...

Za plecami ciężko tupali i też krzyczeli: „Uhuuhu!” Trzech z przodu czekało. Wtedy Kandyd złapał kij ta dwa końce, ustawił go w poprzek piersi i z rozpędem wpadł na złodziei, przewrócił wszystkich trzech i sarn upadł. Mocno uderzył w kogoś, ale po sekundzie był już na nogach. Przed oczami wszystko mu płynęło. Znowu ktoś z przerażeniem krzyczał: Tonę! Niespodziewanie pojawiła się czyjaś brodata twarz i Kandyd nie patrząc trzasnął w tę twarz kijem. Kij pękł. Kandyd wyrzucił resztę kija i skoczył w bagno.

Konar wyslizgnął mu się spod nóg, Kandyd omal nic upadł, ale natychmiast przeskoczył na następny i dalej już ciężko skakał z konam na konar, rozbryzgując śmierdzące czarne błoto. Nava wydawała z siebie zwycięskie piski i świsty. Za plecami huczały gniewne głosy „Ręce macie dziurawe, pokręcone?” „A ty sam na co czekasz”. „Przepadnie teraz dziewczyna, ze szczętem przepadnie”, „Zwariował człowiek, do bicia się bierze, nie widzisz?” „Ubranie na mnie podarł, coś takiego, takie ubranie, najlepsze, jakie miałem, A on je podarł, zresztą nawet nie on je podarł, tylko ty je podarłeś... „, „Dosyć tego gadania, doprawdy, gonić ich trzeba, a nie gadać... Widzicie, że uciekają, a wy nic, tylko gadacie!”, „A ty sam na co czekasz?”, „Nogę mi rozbił, widzicie? Kolano mi uszkodził, a jak to zrobił - nie rozumiem, ledwie zdążyłem się zamachnąć... „, „A gdzie Siedmiooki? Chłopcy, patrzcie, Siedmiooki tonie!”, „Tonie! A rzeczywiście, tonie... Siedmiooki tonie, a oni nic, tylko gadają!”

Kandyd zatrzymał się obok Navy, też chwycił lianę i ciężko dysząc patrzy i słuchał, jak dziwni ludzie, stłoczeni na drodze, wymachując rękami, wyciągają z błota za nogę i głowę Siedmiookiego. Słysząc było bulgot i rżenie. Zresztą dwaj złodzieje obmacując dno kijami, szli już w stronę Kandyda po kolana w czarnej mazi. Konary obchodzili z daleka. I znowu wszystko okazało się kłamstwem, pomyślał Kandyd. Bagno można przejść w bród, a mówili, że nie ma innej drogi oprócz ścieżki. Straszili złodziejami, też mieli czym straszyć...

Nava pociągnęła go za rękę.

- Chodźmy, Mruk - powiedziała. - Dlaczego stoisz? Chodźmy prędzej... A może ty jeszcze chcesz się z nimi bić? Jeśli tak, to poczekaj, zaraz znajdę ci dobry kij, wtedy pobijesz tych dwóch, a tamci na pewno się przestraszą. Chociaż jeżeli się nie przestraszą, to pewnie dadzą ci radę, jak myślę, bo ty jesteś jeden, a ich... raz... dwa... trzy... cztery...

- Dokąd mamy iść? - zapytał Kandyd. - Do Osady trafimy?

- Pewnie trafimy - odparła Nava. - Nie rozumiem, dlaczego nie mamy trafić do Osady...

- W takim razie idź przodem - powiedział Kandyd. Trochę już odsapnął. - Pokazuj drogę.

Nava lekkimi susami pobiegła w las, w gęstwinę, w zielony cień zarośli.

- Tak naprawdę to ją nie wiem, dokąd mamy iść ani którędy - mówiła biegnąc. - Ale już raz tu byłam, może nawet nie jeden raz, tylko dużo razy. Chodziliśmy tu z Kaczonogiem, kiedy ciebie jeszcze nie było... Albo nie, chyba już byłeś, tylko jeszcze nic nie pamiętałeś, nie rozumiałeś, nie mogłeś mówić, patrzyłeś na wszystkich jak ryba, potem dali mi ciebie, ja cię pielęgnowałam, tylko że ty pewnie w ogóle tego nie pamiętasz...

Kandyd skakał za nią, starając się rytmicznie oddychać i trafiać w jej ślady. Od czasu do czasu odwracał głowę.

Złodzieje byli niedaleko.

- Aż Kaczonogiem przychodziliśmy tutaj - mówiła dalej Nava - kiedy złodzieje zabrali Kułakowi żonę, córkę Kaczonoga. On mnie - wtedy ciągle ze sobą zabiera, wymienić chciał albo co, a może chciał trzymać mnie zamiast córki i dlatego chodził ze mną do lasu, bo bez córki było mu okropnie smutno...

Liany przyklejały się do rąk, biły po twarzy, martwe zwoje przywierały do ubrania i płątały się pod nogami. Z góry spadały owady, liście, czasem jakaś ciężka bezkształtna masa osiadała, opadała w dół, w splątane zielsko, zwisiała tuż nad głową. To z prawej, to z lewej strony przez kurtynę lian prześwitywały lepkie liliowe grona - ni to grzyby, ni to owoce, ni to gniazda czegoś odrażającego.

- Kaczonóg mówił, że tu gdzieś blisko jest jedna wieś... - Nava bez trudu mówiła biegnąc, jakby w ogóle nie biegła, tylko leżała w łóżku; od razu było widać, że nie jest tutejsza, tutejsi nie umieli biegać. - Nie nasza wieś, ani nie Osada, ale jakaś inna, Kaczonóg mówił, jak Się nazywa, ale zapomniałam, to było już bardzo dawno, jak jeszcze ciebie nie było... Albo nie, ty już byłeś, tylko nic nie rozumiałeś i jeszcze mi ciebie nie oddali... A ty, kiedy biegiesz, oddychaj ustami, niepotrzebnie oddychasz nosem, jeszcze dobrze jest

jednocześnie rozmawiać, bo tak jak teraz, to się szybka zmęczysz, a my jeszcze długo będziemy biegli, jeszcze nie przebiegliśmy obok os, tam to dopiero będziemy musieli biec ze wszystkich sił, chociaż może od tamtego czasu osy się stąd wyniosły... TO właśnie w tej wsi były osy, Kaczonóg mówi, że tam ludzi już dawno nie ma, tam już się odbyło, mówi, Przewyciężenie i już ani jeden człowiek nie pozostał... Nie, pomyliłam się, on opowiadał o innej wsi...

Kandyd złapał długi oddech i biegł teraz łatwiej. Byli już w największej gęstwinie, w zaroślach. Tak; głęboko w lesie Kandyd był tylko raz, kiedy próbował pojechać na ramionach martwiaka, żeby trafić do jego gospodarzy. Martwiak ruszył galopem, oczywiście był rozpalony jak kipiący czajnik i w końcu Kandyd stracił z bólu przytomność i spadł z martwiaka w błoto. Długo potem bolały go opatrzenia na piersi i rękach...

Robiło się coraz ciemniej. Nieba już; w ogóle nie było widać, duszny upał wzrastał. Coraz mniej było otwartej wody, zaczęły się pojawiać potężne kolonie czerwonego i białego mchu. Mech był chłodny, miękki, niezwykle sprężysty - bardzo przyjemnie było po nim stąpać.

- Wiesz co... odpocznijmy... - wychrypiał Kandyd.

- Co ty mówisz, Mruk - powiedziała Nava... - Tu nie możemy Odpoczywać. Od tego mchu trzeba szybko jak najdalej uciekać, to niebezpieczny mech. Kaczonóg mówił, że to w ogóle nie jest mech, to takie zwierzę leży na ziemi, coś w rodzaju pająka, zaśniesz na nim i już więcej nigdy się nie obudzisz, taki Właśnie jest ten mech, niech na nim złodzieje odpoczywają; tylko że Oni pewnie wiedzą, że nie można, a szkoda, dobrze by było, gdyby nie wiedzieli...

Spojrzała na Kandyda i jednak przestała biec;. Kandyd dowlókl się do najbliższego drzewa, plecami i karkiem, całym ciężarem oparł się o pień i zamknął oczy. Pragnął nade wszystko usiąść, upaść, ale się bał. Powtarzał w myśli: To na pewno lipa, i z tym mchem lipa. Ale bał się pomimo wszystko. Serce biło jak oszalałe, nóg nie czuł w ogóle, a płuca pękały i boleśnie rozplływały się w klatce piersiowej przy każdym oddechu, cały świat był słony i oślizgły od potu.

- A jeżeli oni nas dogonią? - usłyszał jak przez watę głos Navy. - Co my zrobimy, Mruk, jeśli oni nas dogonią? Ty, nie wiem czemu, zrobiłeś się całkiem do niczego, chyba nawet bić się już nie będziesz mógł, prawda?

Będę mógł, chciał odpowiedzieć, ale tylko poruszył wargami. Już się nie bał złodziei. W ogóle nie bał się już niczego. Bał się tylko poruszyć, bał się położyć na mchu. Jednak to

był las, wbrew wszystkim kłamstwom to był las, to akurat dobrze pamiętał, o tym nigdy nie zapomniał, nawet wtedy, kiedy zapomniał o wszystkim innym.

- Nawet kija teraz nie masz - mówiła Nava. - Może poszukać ci jakiegoś kija, Mruk?

Poszukać?

- Nie - wymamrotał Kandyd. - Nie trzeba... Ciężki...

Otworzył oczy i zaczął nadśluchować. Złodzieje byli blisko, słysząc było, jak sapią i tupią w zaroślach, i w tym tupocie nie było żadnej żwawości - złodzieje również się zmęczeni.

- Chodźmy dalej - powiedział Kandyd.

Minęli strefę białego niebezpiecznego mchu, potem strefę czerwonego niebezpiecznego mchu, znowu zaczęło się mokre błoto o nieruchomych okach gęstej wody, po której pływały gigantyczne blade kwiaty, nieprzyjemnie pachnące mięsem. Z każdego kwiatka wзираło szare nakrapiane stworzenie i odprowadzało ich długim spojrzeniem szypułkowatych oczu.

- Ty, Mruk, musisz mocno stawiać nogi - rzeczowo pouczała Nava - bo i inaczej, jak coś się przyssie, to potem nie oderwiesz, nie myśl, że jeśli ciebie szczepili, to już nic się nie przyssie, przyssie się, i jak jeszcze. Potem ono naturalnie zdechnie, ale i tobie od tego wcale nie będzie lepiej...

Błoto nagle się skończyło i teren stromo poszedł w górę.

Rosła tu wysoka pasiasta trawa o ostrych brzegach. Kandyd obejrzał się i zobaczył złodziei. Nie wiadomo dlaczego przystanęli. Nie wiadomo dlaczego stali po kolana w błocie, wsparci na kijach, i patrzyli w ślad za nimi. Nie mają już sił, pomyślał Kandyd, też już nie mają sił. Jeden ze złodziei uniósł rękę, zrobił zapraszający gest i zawołał:

- Schodźcie na dół, na co czekacie?

Kandyd odwrócił się i poszedł za Navą. Po przejściu trzęsawiska po twardym gruncie szło się lekko nawet pod górę. Złodzieje coś krzyczeli na dwa, a potem na trzy głosy. Kandyd obejrzał się po raz ostatni. Złodzieje nadal stali w błocie, w mazi pełnej pijawek, nawet nie wyszli na suchy brzeg. Widząc, że się obejrzał, rozpaczliwie zamachali rękami, krzyczeli coś jeden przez drugiego - słowa trudno było zrozumieć.

- Wracajcie! - i krzyczeli, zdaje się. - Wracajcie! Nie ruszymy was! Zginiecie! Durnie!

To nie takie proste, pomyślał Kandyd ze złośliwą radością. Sami jesteście durnie, już się rozpędziłem, żeby wam uwierzyć. Dostyc tego wierzenia wszystkim.. Nava już znikła za drzewami, Kandyd pośpieszył za nią.

- Wra-a-a-acajcie! Puścimy wolno! - ryczał herszt.

Nie byli znowu tacy zmęczeni, jeżeli mogli tak ryczeć, mimochodem pomyślał Kandyd i od razu zaczął myśleć, że teraz trzeba odejść jak najdalej, a potem usiąść, odpocząć i poszukać pijawek i kleszczy.

Rozdział VI

Pierec otworzył drzwiczki łazika i patrzył w zarośla. Nie wiedział, co powinien zobaczyć. Coś podobnego do mdlącego kisielu. Coś niezwykłego, czego nie sposób opisać. Ale tym, co najniezwyklejsze, co najbardziej niemożliwe i nieprawdopodobne, byli tu ludzie i dlatego Pierec widział tylko ich. Szli w stronę łazika szczupli i zwinni, elegancy, pewni siebie, szli lekko, nie potykając się, błyskawicznie i bezbłędnie znajdowali miejsce, żeby postawić stopę, udawali, że nie zauważają lasu, że czują się w lesie jak u siebie w domu, że las już do nich należy, zresztą, zapewne wcale nie udawali, rzeczywiście tak myśleli, a las wisiał nad nimi śmiejąc się bezdźwięcznie i wskazując miliardami szyderczych palców, po mistrzowsku udając, że jest swojski, pokorny, prosty - zupełnie obłaskawiony. Na razie. Do czasu...

- Och, ta Rita to baba pierwszej klasy - powiedział szofer „Tuzik do Piereca. Stał obok łazika na szeroko rozstawionych, trochę krzywych nogach, przytrzymując pośladkami chrząkający i drżący motocykl. - Dobrałbym się do niej, jak pragnę zdrowia, tylko że ten Quentin... Uważny chłop.

Quentin i Rita podeszli całkiem blisko i Stojan wyszedł zza kierownicy im naprzeciw.

- No i jak tam ona? - zapytał Stojan.

- Dyszy - powiedział Quentin, wpatrując się uważnie w Piereca. - Co, przywieźliście pieniądze?

- To jest Pierec - powiedział Stojan, - Opowiadałem wam.

Rita i Quentin uśmiechnęli się do Piereca. Nie było czasu, żeby im się przyjrzeć i Pierec tylko mimochodem pomyślał, że, nigdy przedtem nie widział takiej dziwnej kobiety jak Rita i tak nieszczęśliwego mężczyzny jak Quentin.

- Witaj - powiedział do Piereca Quentin ciągle z takim samym żalonym uśmiechem. - Przyjechałeś zobaczyć? Nigdy jeszcze nie widziałeś?

- Ja i teraz nie widzę - powiedział Pierec. Niewątpliwie to nieszczęście i ta dziwność były ze sobą niedostrzegalnie, a zarazem nierozzerwalnie powiązane.

Rita odwróciła się do nich plecami i zapaliła papierosa.

- Patrzysz nie tam, gdzie trzeba - powiedział Quentin. - Przed siebie patrz, przed siebie! Wciąż jeszcze nie widzisz?

Wtedy Pierec zobaczył i od razu zapomniał o ludziach. To zjawilo się jak ukryta podobizna na papierze foto - graficznym, jak schowany rysunek na obrazku dla dzieci „Gdzie jest zajaczek?” - i kiedy się go już raz zobaczy, widzi się potem zawsze. To było tuż obok,

zaczynało się dziesięć kroków od kół łazika i od ścieżki. Pierec spazmatycznie przełknął ślinę.

Żywy słup wznosił się ku koronom drzew, snop cieniuteńkich, przejrzystych nitek, lepkich, lśniących, splątanych i napiętych przenikał gęste listowie wysoko i uchodził jeszcze wyżej, w obłoki. Zrodził się w kloace, w tłustej, buzującej kloace wypełnionej protoplazmą, żywą, aktywną, kipiącą bąblami, prymitywną tkanką, która się skrzętnie organizowała i natychmiast rozkładała samą siebie, wychlustywała produkty rozkładu na płaskie brzegi, pluła kleistą pianą... I od razu, jakby ktoś wyłączył filtry dźwiękowe, z chrząkania motocykla wydzielił się głos kloaki - bulgoty, pluski, szloch, gulgot, przeciągłe bagienne postękiwanie - i spłynęła ciężka zasłona zapachów - surowego mięsa, osocza, świeżej żółci, serwatki, rozgrzanego klajstru - i dopiero teraz Pierec zauważył, że na piersiach Rity i Quentina wiszą maski tlenowe i zobaczył, jak Stojan, krzywiąc się z odrazą, unosi do twarzy lejek respiratora, ale Pierec nie włożył maski, jakby miał nadzieję, że chociażby zapachy opowiedzą mu to, czego nie powiedziały oczy i uszy...

- Ale tu u was cuchnie - powiedział z obrzydzeniem Tuzik. - Jak w kostnicy...

A Quentin mówił do Stojana:

- Powiedziałbyś Kimowi, żeby coś zrobił w sprawie przydziałów. To jednak praca szkodliwa dla zdrowia. Należy nam się mleko, czekolada...

A Rita paliła w zamyśleniu, wydymuchując dym z cienkich, ruchliwych nozdrzy.

Wokół kloaki drżały pochylone troskliwie drzewa, ich gałęzie były zwrócone w jednym kierunku i znikwały w kipiącej masie, po gałęziach wiły się i spływały w kloakę grube, kosmate liany, a kloaka przyjmowała je i protoplazma pożerając przemieniała w samą siebie tak, jak mogłaby rozpuścić i przetworzyć w swoją tkankę wszystko, co ją otaczało...

- Pierec - powiedział Stojan - nie wytrzeszczaj tak oczu, bo ci wyskoczą.

Pierec uśmiechnął się, ale wiedział, że uśmiech mu wyszedł fałszywy.

- A po co wzięłeś motocykl? - zapytał Stojana Quenta.

- Na wypadek, gdybyśmy ugrzęźli. One pełzną ścieżką, jednym kołem będą na ścieżce, a drugim na trawie, a motocykl pojedzie z tyłu. Jeśli ugrzęźniemy, Tuzik skoczy na motocyklu i wezwie ciągnik.

- Ugrzęźnicie jak nic - powiedział Quentin.

- Oczywiście, że ugrzęźniemy - powiedział Tuzik. - To głupi pomysł, od razu mówiłem.

- Lepiej milcz - powiedział Stojan - nie twoja sprawa... Kiedy zacznie? - zapytał Quentina.

Quentin popatrzył na zegarek.

- Tak... powiedział. - Teraz szczeni się co osiemdziesiąt siedem minut. To znaczy, że zostało... zostało... nic już nie zostało, właśnie zaczęła.

Kloaka szczeniła się. Na jej płaskie brzegi niecierpliwymi, konwulsyjnymi skurczami jeden za drugim zaczęły wypadać białawe kawałki drgającego ciasta, bezradnie, na ślepo toczyły się po ziemi, potem zamierały, przyplaszczały się, wysuwały ostrożne nibynóżki i nieoczekiwanie zaczynały poruszać się rozumnie - jeszcze bez ładu i składu, jeszcze potykając się, ale już w określonym kierunku rozłaziły się, zderzały, ale szły w jednym kierunku, wzdłuż tej samej linii, od matki - w zarośla, aby dalej stąd, jedną płynną, białawą kolumną, jak ogromne, workowate mrówki, podobne do ślimaków.

- Tu przecież błota wszędzie dookoła - mówił Tudzik. - Tak się wpieprzymy, że żaden ciągnik nas nie wytaszczy - każda - lina pęknie.

- Może pojedziesz z nami? - zapytał Stojan Quentina.

- Rita jest zmęczona.

- No to Rita „wróci do domu, a my pojedziemy...”

Quentin wahał się.

- Co ty na to, Rita? - zapytał.

- Tak, pójdę do domu - powiedziała Rita.

- No i bardzo dobrze - powiedział Quentin. - A my pojedziemy, obejrzymy sobie, dobrze? Pewnie wrócimy niedługo. To przecież nie potrwa długo, prawda, Stojan?

Rita rzuciła niedopałek i nie żegnając się poszła ścieżką w stronę stacji biologicznej. Quentin podreptał w miejscu, jakby jeszcze niepewny, a potem cicho powiedział do Piereca:

- Czy nie zechciałbyś... przepuścić mnie...

Przedostał się na tylne siedzenie - i w tym samym momencie motocykl straszliwie zaryczał, wyrwał się spod Tuzika i wysoko podskakując rzucił się prosto w kloakę. „Stój - wrzasnął Tuzik przysiadając - gdzie?” Wszyscy zamarli. Motocykl trafił na jakąś kępę, dziko zaskrzeczał, stanął dęba i wpadł do kloaki. Wszyscy pochylili się do przodu. Pierec doznał wrażenia, że protoplazma ugięła się pod motocyklem jakby amortyzując uderzenie, lekko i bezdźwięcznie przepuściła go w siebie i zamknęła się nad nim. Motocykl ucichł.

- Głupi bydlaku - powiedział Stojan do Tuzika. - Coś ty narobił?

Kloaka stała się paszczą wysysającą, smakującą, żarłoczną. Turlała w sobie motocykl, jak człowiek turla od policzka do policzka ogromną landrynkę. Motocykl wirował w spienionej masie, znikał, pojawiał się znowu, bezradnie wykręcając poroże kierownicy i za każdym razem było go coraz mniej i mniej, metalowa osłona stawała się coraz cieńsza,

przeźroczyjsza, wreszcie grubości papieru i już niewyraźnie, ale jeszcze można było dojrzeć wnętrze silnika, potem obudowa rozpetrzała się, opony znikły, motocykl znurkował ostatni raz i więcej się nie pojawił.

- Zeżarła - powiedział Tuzik z kretyńskim zachwytem.

- Głupie bydlę - powtórzył Stojan. - Zapłacisz mi za to. Całe życie będziesz mi za to płacić.

- No i dobrze - powiedział Tuzik. - No i zapłacę. A co ja takiego zrobiłem? Gaz nacisnąłem nie w tę stronę - powiedział do Piereca. - I dlatego Si? wyrwał. Rozumie pan, panie Pierec, chciałem zmniejszyć gaz, żeby przestało tak trzeszczeć, no i przekręciłem nie w tę stronę. Nie, ja pierwszy, nie ja ostatni. I zresztą motocykl był już stary... To ja już sobie pójde - powiedział do Stojana. - Co mam tu teraz do roboty? Pójde do domu.

- Gdzie ty patrzysz? - zapytał nagle Quentin z takim wyrazem twarzy, że Pierec mimo woli się cofnął.

- A bo co? - zapytał Tuzik. - Gdzie chcę, to patrzę.

Patrzył za siebie tam, gdzie pod gęstym, żółtawozielonym sklepieniem lasu migąła, oddalając się, pomarańczowa pelerynka Rity.

- Ano, przepuść mnie - powiedział Quentin do Piereca. - Ja z nim porozmawiam.

- Dokąd, dokąd? - wymamrotał Stojan. - Quentin, opamiętaj się.

- O, nie, jakie tam opamiętaj - od dawna widzę, do czego on zmierza!

- Słuchaj, nie bądź dzieckiem... Przestań! Opanuj się!

- Puść moją rękę, powiadam!

Hałaśliwie szamotali się obok Piereca, szturchając go z obu stron. Stojan mocno trzymał Quentina za rękaw i za połę kurtki, a Quentin, który nagle zrobił się purpurowy i spocony, nie spuszczał oczu z Tuzika jedną ręką odpychał Stojana, a drugą z całej siły zginał Piereca w pół, aby móc przez niego przeleźć. Wyrwał się szarpnięciami i z każdym szarpnięciem coraz bardziej wyłaził z kurtki. Pierec wypatrywał moment i wyskoczył z łazika. Tuzik ciągle jeszcze patrzył w ślad za Rita, usta miał na wpół otwarte, oczy maślane i czułe.

- I po co ona chodzi w portkach - powiedział do Piereca. - Taki teraz mają zwyczaj, że chodzą w spodniach...

- Nie broń go! - wrzasnął w samochodzie Quentin. - To nie żaden seksualny neurastenik, tylko zwyczajny łajdak. Puść, bo i ty przy okazji oberwiesz!

- Dawniej były takie spódnice - powiedział Tuzik marząco. - Kawalek materiału owinie dookoła siebie i zapnie agrafką. A ja, znaczy się, wezmę i odepnę...

Gdyby to było w parku... Gdyby to było w hotelu albo w bibliotece, albo w auli... I bywało zresztą - i w parku, i w bibliotece, i nawet w auli, w czasie referatu Kima „Co koniecznie musi wiedzieć każdy pracownik Zarządu o metodach statystyki matematycznej”. Ale teraz las słyszał to wszystko i widział to wszystko - maślane, obleśne oczy Tuzika, purpurową twarz Quentina w drzwiach łazika, byczą jakąś, tępą twarz, znękanie mamrotanie Stojana, coś o pracy, o odpowiedzialności, o głupocie, trzask odpryskujących guzików, uderzających o przednią szybę... I nie wiadomo, co myślał o tym wszystkim, czy był przerażony, czy szydził, czy krzywił się ze wstrętem.

- ...! - powiedział Tuzik ze smakiem.

I Pierec uderzył go. Trafił, zdaje się, w kość policzkową, bo aż chrustnęło i zwicznął sobie palec. Wszyscy natychmiast umilkli. Tuzik złapał się za policzek i z ogromnym zdumieniem popatrzył na Piereca.

- Tak nie wolno - powiedział Pierec twardo. - Tutaj nie wolno. Nie wolno.

- Przecież nic nie mówię - powiedział Tuzik, wzruszając ramionami. - Ja tylko dlatego, że nic tu po mnie, motocykla nie ma, sam pan widzi... Co mam teraz tu robić?

Quentin zainteresował się głośno:

- W mordę?

- No tak - z niechęcią powiedział Tuzik. - W policzek, w samą kość... Dobrze, że nie w oko.

- Nie, naprawdę w mordę?

- Tak - powiedział twardo Pierec. - Dlatego, że tutaj nie wolno.

- W takim razie jedziemy - powiedział Quentin, opadając na oparcie siedzenia.

- Tuz - powiedział Stojan - włącz do samochodu. Jeśli ugrzęźniemy, pomożesz pchać.

- Mam nowe spodnie - nie zgodził się Tuzik. - Lepiej siądę przy kierownicy.

Nikt mu nie odpowiedział, wobec tego wsunął się na tylne siedzenie obok Quentina, który zrobił mu miejsce. Pierec usiadł obok Stojana i pojechali.

Szczeniaki odeszły już dosyć daleko, ale Stojan jechał bardzo precyzyjnie - prawymi kołami po ścieżce, a lewymi po puszystym mchu - dogonił je i wolno posuwał się w ślad za nimi, ostrożnie regulując prędkość sprzęgłem. „Spali pan sprzęgło” - powiedział Tuzik, a potem odwrócił się do Quentina i zaczął mu wyjaśniać, że w ogóle to nie miał nic złego na myśli, że motocykla, tak czy inaczej, już nie było, a mężczyzna to mężczyzna, i jeśli jest całkiem normalny, to zawsze zostanie mężczyzną, obojętne, co tam jest dookoła, las czy co innego... „Dostałeś już w mordę?” - pytał Quentin. „Nie, ty mi tylko powiedz, nie wykręcaj się, dostałeś w mordę, czy nie?” - pytał od czasu do czasu, przerywając Tuzikowi. „Nie -

odpowiadał Tuzik - nie, poczekaj, najpierw mnie posłuchaj.” Pierec głaskał swój obrzmiewający palec i patrzył na szczeniaki. Na dzieci lasu. A, być może, na sługi lasu. A, być może, na ekskrementy lasu... Szły powoli, bez wysiłku, szeregiem, jeden za drugim, jakby ciekły po ziemi, przelewały się przez pnie przegniłych drzew, przez wądoły, przez kałuże stojącej wody, wysoką trawę, kolczaste krzewy. Ścieżka znikła, umykała w cuchnące bagna, ginęła pod nawarstwieniami twardych, szarych grzybów, które z chrzęstem pękały pod kołami, znowu pojawiała się i szczeniaki trzymały się jej i ciągle były białe, czyste, gładkie, i ani jeden pyłek nie osiadł na ich powierzchni, i ani jeden cień ich nie poranił, nie przywierało do nich czarne, gęste, lepkie błoto. Przelewały się z tępą, bezmyślną pewnością, jakby szły po drodze znanej na pamięć od zawsze. Było ich czterdzieści trzy. Rwałem się tu i oto jestem, widzę wreszcie wnętrze lasu i nie widzę nic. Mógłbym wymyślić to wszystko, siedząc w fotelu w swoim pustym pokoju z trzema pustymi łózkami, późnym wieczorem, kiedy nie można zasnąć, kiedy dookoła trwa cisza i nagle o północy zaczyna łomotać baba, która wbija pale na placu budowy. Zapewne mógłbym wymyślić wszystko, co tu jest w lesie - i rusałki, i wędrujące drzewa, i te szczeniaki - jak nagle przemieniają się w lasołaza Seliwana - wszystko, co najbezsensowniejsze i najświętsze. I wszystko, co znajduje się w Zarządzie, też mógłbym wymyślić i wyobrazić sobie, mógłbym siedzieć w domu i wymyślać to wszystko, leżąc na kanapie obok radia, słuchając symfonii, jazzu i głosów, przemawiających w nieznanych mi językach. Ale to nic nie oznacza. Zobaczyć i nie zrozumieć - to dokładnie to samo, co wymyślić. Żyję, widzę i nie rozumiem, żyję w świecie, który ktoś wymyślił, nie zadając sobie trudu, żeby go wyjaśnić mnie, a może nawet nie tylko mnie, ale i sobie. Pragnienie zrozumienia, pomyślał nagle Pierec. Oto moja choroba - pragnienie zrozumienia.

Wysunął się przez okno i przyłożył bolący palec do zimnej karoserii. Szczeniaki nie zwracały na łazika żadnej uwagi. Zapewne nie podejrzewały nawet, że istnieje. Wydzielały ostry i nieprzyjemny zapach, ich powłoka wydawała się teraz przezroczysta, a pod nią falami przelewało się coś jakby cienie.

„Wiesz co, złapmy jednego - zaproponował Quentin. - To przecież bardzo proste, zawiniemy go w moją kurtkę i zawieziemy do laboratorium.” - „Nie warto” - powiedział Stojan. - „A dlaczego? - zapytał Quentin - tak czy inaczej, kiedyś trzeba będzie zacząć je łowić.” - „Za wielkie ryzyko - powiedział Stojan. - Po pierwsze, nie daj Boże zdechnie i trzeba będzie pisać raport Domaroszczynerowi...” - „Myśmy je gotowali - oświadczył nagle Tuzik. - Mnie nie smakowało, ale chłopcy mówili, że ujdzie. Coś w rodzaju królika, a ja królika do ust nie biorę, dla mnie królik czy tam kot - jeden diabeł. Brzydzą się...”
„Zauważyłem jedną rzecz - powiedział Quentin - ilość szczeniaków zawsze jest liczbą

pierwszą - trzynaście, czterdzieści trzy, czterdzieści siedem...” - „Zawracanie głowy - zaprzeczył Stojan. - Spotykałem w lesie grupy po sześć, po dwanaście...” - „To w lesie - powiedział Quentin - przecież one potem rozchodzą się grupami w różne strony. A kloaka zawsze szczeni się liczbą pierwszą, możesz sprawdzić w dzienniku, mam zapisane wszystkie mioty...” - „A jeszcze pewnego razu złapaliśmy z chłopcami tutejszą dziewczynę, ale były jaja!” - „No, jak chcesz, napisz artykuł” - powiedział Stojan. - „Już napisałem - powiedział Quentin. - To będzie piętnasty...” - „A ja mam siedemnaście - powiedział Stojan - i jeden w druku. A kogo weźmiesz na współautora?” - „Jeszcze nie wiem - powiedział Quentin. - Kim radzi menadżera, mówi, że teraz najważniejszy jest transport, a Rita radzi kierownika...” - „Tylko nie kierownika.” - powiedział Stojan. „Dlaczego?” - zapytał Quentin. - „Nie bierz kierownika - powtórzył Stojan. - Nic ci więcej nie powiem, ale weź to pod uwagę.” - „Kierownik rozcieńcza kefir płynem hamulcowym - powiedział Tuzik. - To było jeszcze wtedy, kiedy był kierownikiem salonu fryzjerskiego. No to my z chłopcami wrzuciliśmy mu do mieszkania garść pluskiew.” - „Podobno jest w przygotowaniu rozporządzenie - powiedział Stojan. - Kto ma mniej niż piętnaście artykułów, musi przejść szkolenie...” - „O, do diabła - powiedział Quentin - paskudna sprawa, znam ja te specjalne szkolenia, od nich włosy przestają rosnąć i z ust śmierdzi przez cały rok...”

Do domu, myślał Pierec. Trzeba jak najszybciej wracać do domu. Teraz to już zupełnie nie mam tu czego szukać. Potem zobaczył, jak kolumna szczeniaków podzieliła się. Pierec policzył - trzydzieści dwa szczeniaki poszły prosta, a jedenaście ustawiło się w taki sam szereg, skręciło w lewo, na dół, gdzie między drzewami nagle pokazało się jezioro - nieruchoma, ciemna tafla zupełnie blisko łązika. Pierec zobaczył niskie, zamglone niebo i niewyraźne zarysy skały Zarządu na horyzoncie. Jedenaście szczeniaków bez wahania ruszyło w stronę wody. Stojan wyłączył silnik, wszyscy wysiedli i patrzyli, jak szczeniaki przelata przez krzywy konar na samym brzegu i jeden za drugim ciężko wpadają w wodę. Po ciemnej wodzie rozeszły się oleiste kręgi.

- Toną - powiedział Quentin ze zdziwieniem. - Topią się.

Stojan wyciągnął mapę i rozścielił ją na masce.

- No, oczywiście - powiedział. - To jezioro nie jest w ogóle u nas zaznaczone. Zaznaczona jest wieś, a nie jezioro... Patrzcie, tu jest napisane „Wieś. Tubyl. Siedemnaście przez jedenaście.”

- To przecież zawsze tak - powiedział Tuzik. - Kto po tym lesie jeździ z mapą? Po pierwsze, wszystkie mapy łąą, a po drugie, w ogóle są tu niepotrzebne. Tu dziś jest,

powiedzmy, droga, a jutro rzeka, dzisiaj błoto, a jutro naciągną drut kolczasty i postawią wieżyczkę. Albo nie wiadomo dlaczego pojawia się magazyn.

- Jakoś mi się nie chce jechać dalej - powiedział Stojan i przeciągnął się. - Może dosyć na dzisiaj?

- Oczywiście, że dosyć - powiedział Quentin. - Pierec jeszcze musi odebrać wypłatę. Chodźmy do samochodu.

- Żeby tak mieć lornetkę - powiedział Tuzik, chciwie wpatrując się w jezioro i osłaniając oczy dłonią. - Moim zdaniem tam się kąpie jakaś baba.

Quentin przystanął:

- Gdzie?

- Goła - powiedział Tuzik. - Jak Boga kocham, goła. Całkiem bez niczego.

Quentin nagle pobladł i pobiegł do samochodu.

- Gdzie ją widzisz? - zapytał Stojan.

- A tam, na drugim brzegu...

- Nic tam nie ma - powiedział ochryple Quentin. Stał na stopniu i przepatrywał lornetką przeciwny brzeg. Ręce mu się trzęsły. - Przeklęty mitoman... Znowu chce dostać po mordzie... Nic tam nie ma! - powtórzył i oddał lornetkę Stojanowi).

- Jak to nie ma - powiedział Tuzik. - Nie jestem jakimś tam okularnikiem, czy mam, zdaje się, w porządku...

- Poczekaj, nie szarp - powiedział do niego Stojan. - Co za zwyczaj, wrywać wszystko z rąk...

- Nic tam nie ma - mamrotał Quentin. - Kłamie jak najęty, gadać, to może każdy co chce...

- Ja tam wiem, co - powiedział Tuzik. - To rusałka. Mówię, jak jest.

Pierec ocknął się.

- Dajcie mi lornetkę - powiedział szybko.

- Nic nie widać - powiedział Stojan, podając mu lornetkę.

- Macie komu wierzyć - mruzczał Quentin, uspokajając się stopniowo.

- Była, jak Boga kocham, była - powiedział Tuzik. - Tak myślę, że znurkowała. Zaraz wypłynie...

Pierec wyregulował lornetkę do swoich oczu. Nie spodziewał się, że coś zobaczy, to byłoby zbyt proste. I nic też nie zobaczył. Lustro jeziora, daleki, zarosły lasem brzeg i jeszcze zarys skały nad zębatą krawędzią drzew.

- A jaka ona była? - zapytał.

Tuzik szczegółowo, pomagając sobie rękami, zaczął opisywać, jaka ona była. Opowiadał bardzo apetycznie i z wielkim zapalem, ale to zupełnie nie było to, czego chciał Pierec.

- Tak, oczywiście... - powiedział. - Tak... Tak.

Być może wyszła na spotkanie szczeniaków, myślał, trzęsąc się na tylnym siedzeniu obok sposepniałego Quentina, patrząc, jak rytmicznie poruszają się uszy Tuzika. Tuzik coś tam żuł. Wyszła z leśnej gęstwiny biała, zimna, pewna siebie, i zstąpiła w wodę, weszła w jezioro, jak ja wchodzę do biblioteki, zanurzyła się w chwiejny, zielonkawy zmierzch i popłynęła na spotkanie szczeniaków, teraz już je spotkała w środku jeziora, na dnie, i prowadzi je dokądś tam w niewiadomym celu, po coś, dla kogoś, i mota się jeszcze jeden splot zjawisk w lesie i być może o wiele mil stąd coś się już wydarzyło albo dopiero wydarzy - zakipią między drzewami kłębowiska liliowej mgły, która w „ogóle nie jest mgłą, albo na spokojnej polanie rozpocznie działalność jeszcze jedna kloaka, albo dziwaczni tubylcy, którzy do tej pory spokojnie siedzieli, oglądali oświatowe filmy i cierpliwie słuchali wyjaśnień zachryplej z przepracowania Beatrycze Bach, nagle wstaną i odejdą do lasu, żeby już nigdy nie wrócić. I wszystko będzie miało głęboki sens, jak ma głęboki sens każdy ruch skomplikowanego mechanizmu, i wszystko będzie dla nas dziwne i niepojęte, a więc bezsensowne, w każdym razie dla tych z nas, którzy jeszcze w żaden sposób nie mogą przywyknąć do bezsensu i uznać go za normę. I Pierec odczuł wagę każdego wydarzenia, wszystkiego, co działo się wokół - i tego, że szczeniaków w miocie nie mogło być czterdzieści dwa albo czterdzieści pięć, i że pień tego drzewa zarósł właśnie czerwonym mchem, i że nad ścieżką nie widać nieba poprzez zwisające gałęzie.

Łazik trząśł, Stojan jechał bardzo powoli i Pierec jeszcze z daleka zobaczył pochylony słup z tablicą, na której było coś napisane. Napis rozmyły deszcze, wypłowiał, i był to bardzo stary napis na bardzo starej, brudnoszarej tablicy, przybitej do słupa dwoma ogromnymi, zardzewiałymi gwoździami: „W tym miejscu dwa lata temu utonął tragicznie szeregowy lasołaz Gustaw. Tu stanie jego pomniki. Łazik, przewalając się z boku na bok, wyminął słup.

Jakże to tak, Gustawie, pomyślał Pierec. Skąd ci przyszło do głowy, żeby tu właśnie tonąć... Byłeś na pewno wielki i silny, miałeś ogoloną głowę, kwadratową szczękę, złoty ząb, a tatuaż pokrywał cię od stóp do głów, twoje ręce zwisały poniżej kolan, a na prawej dłoni brakowało ci palca, odgryzionego w czasie pijackiej awantury. I lasołazem zostałeś nie dlatego, że marzyłeś o tym od dzieciństwa, a dlatego, że tak złożyły się okoliczności, że siedziałeś na skarpie tam, gdzie teraz jest Zarząd, odsiadując swój prawomocny wyrok i nie miałeś dokąd uciec, jak tylko do lasu. I nie pisałeś o lesie artykułów, nawet nie myślałeś o

nich, myślałeś o zupełnie innych artykułach, które zostały napisane przed tobą i przeciwko tobie. Więc budowałeś tu szosę strategiczną, układałeś betonowe płyty, na szerokich poboczach wyrąbywałeś las, żeby w razie konieczności na tej szosie mogły lądować ośmiobombowce. Ale czyż las zniesie coś podobnego? No i utopił cię w suchym miejscu. A za to za dziesięć lat postawią ci pomnik i, być może, nazwie się twoim imieniem jakąś knajpę. Knajpa będzie nazywać się „U Gustawa” i szofer Tuzik będzie tam pić kefir i podszczypywać rozczochrane dziewczyny z miejscowej kapeli...

Tuzik ma, zdaje się, dwa wyroki, ale nie wiadomo dlaczego, wcale nie za to, za co mu się należało. Pierwszy raz trafił do obozu za kradzież papeterii ze stosownego przedsiębiorstwa, a po raz drugi za nieprzestrzeganie przepisów o ewidencji ludności. A taki Stojan - na przykład -: jest czysty. Nie pije ani kefiru, ani w ogóle niczego. Kocha Alewтинę miłością tkliwą i czystą, Alewтинę, której nikt nigdy nie kochał czysto i tkliwie. Kiedy jego dwudziesty artykuł ukaże się drukiem, ofiaruje Alewтинie swoją rękę i serce, i dostanie kosza bez względu na artykuły, pomimo swoich szerokich ramion i rzymskiego, pięknego nosa, ponieważ Alewtina nie cierpi takich czyścioszków, podejrzewając ich (nie bez podstaw) O skłonność do niepojętej, perwersyjnej rozpusty. Stojan żyje w lesie, do którego - przeciwnie niż Gustaw - przyjechał dobrowolnie, nigdy się na nic nie uskarża, chociaż dla Stojana las - to tylko ogromne wysypisko nie tkniętych materiałów do artykułów, które chronią go od szkolenia. Można dziwić się bez końca, że znajdują się ludzie zdolni przywyknąć do lasu, a tacy ludzie stanowią przeważającą większość. Z początku las pociąga ich jako miejsce romantyczne, bądź dochodowe, również takie, gdzie wiele wolno, a także można się ukryć. Później las trochę ich przeraża, następnie zniecacka docieka do nich prosty fakt, że „tu jest taki sam burdel jak i wszędzie” i to ich godzi z niezwykłością lasu, ale nikt nie zamierza dożyć tu późnej starości... Na przykład Quentin, jak słychać, mieszka tu tylko dlatego, że boi się zostawić Ritę bez opieki, a Rita za nic nie chce stąd wyjechać i nigdy nikomu nie powiedziała, dlaczego... No i doszedłem w końcu do Rity... Rita może iść do lasu i nie wracać całymi tygodniami. Rita kąpie się w leśnych jeziorach, Rita łamie wszystkie regulaminy i nikt nie ośmiela się zwrócić jej uwagi. Rita nie pisze artykułów, Rita w ogóle niczego nie pisze, nawet listów. Wszyscy bardzo dobrze wiedzą, że Quentin płacze po nocach i sypia z bufetową, kiedy bufetowa nie jest akurat zajęta kimś innym... Na stacji biologicznej wszyscy wszystko wiedzą... Mój Boże, wieczorami zapalają w świetlicy światło, włączają radiolę, piją kefir, piją obłąkańczo dużo kefiru i w nocy, przy księżycu, rzucają butelki do jeziora o zakład - kto dalej. Tańczą, grają w fanty i w butelkę, w karty i bilard, zamieniają się kobietami, a w dzień w swoich laboratoriach przelewają las z próbki do próbki, oglądają las pod

mikroskopem, liczą las na arytmometrach, a las stoi dookoła, wisi nad nimi, zarasta ich sypialnie, a w duszne, przedburzowe godziny podchodzi pod okna cizbą wędrownych drzew i możliwe, że także nie może zrozumieć, kim oni są i w jakim celu...

Dobrze, że stąd wyjeżdżam, pomyślał. Pobyłem tu i nic nie rozumiałem, nic znalazłem nic z tego, co chciałem znaleźć, ale teraz przynajmniej wiem, że nigdy nic nie zrozumie i że nigdy niczego nie znajdę, że na wszystko przychodzi swój czas. Między mną a lasem nie istnieje żadna więź, las nie jest mi bliższy niż Zarząd. Ale przynajmniej przestanę się tu kompromitować. Wyjadę, będę pracować i będę czekać. I będę żył nadzieją, że nadejdzie czas...

Na dziedzińcu stacji było pusto. Nie było ani ciężarówki, ani kolejki do okienka kasy. Tylko na ganku, barykadując przejście, stała walizka Piereca, a na poręczy wisiał jego szary płaszcz. Pierec wysiadł z łazika i rozejrzał się, stropiony. Tuzik pod rękę z Quentinem szedł już w stronę stołówki, z której dobiegało szczekanie talerzy i wiało spalenizną. Stojan powiedział: „Chodźmy na kolację, Pierec” i wjechał do garażu. I Pierec nagle zrozumiał ze zgrozą, co to wszystko oznacza - wyjąca radiola, bezmyślna gadanina, kefir, i może jeszcze po szklaneczce? I tak co wieczór, przez wiele, wiele wieczorów...

Stuknęło okienko kasy, wysunął się zagniewany kasjer i krzyknął:

- No i jak, panie Pierec? Długo jeszcze mam czekać? Niech pan tu idzie i podpisze.

Pierec na sztywnych nogach zbliżył się do okienka.

- W tym miejscu - sumę słownie - powiedział kasjer. - Nie tu, tylko tu. Co to się panu tak trzęsą ręce? Proszę przeliczyć...

I sam zaczął wyliczać banknoty.

- A gdzie reszta? - zapytał Pierec.

- Nie tak prędko... Reszta też tu, w kopercie.

- Nie, ja mam na myśli...

- To nikogo nie obchodzi, co pan ma na myśli. Nie będę dla pana zmieniać raz na zawsze ustalonego porządku. Oto pańska pensja. Przeliczył pan?

- Chciałem się dowiedzieć...

- Pytam, czy otrzymał pan pensję? Tak czy nie?

- Tak.

- Dzięki Bogu. A teraz otrzyma pan premię. Otrzymał pan premię?

- Tak.

- Skończone. Pozwoli pan, że uścisknę pańską dłoń, bardzo się spieszę. Muszę być w Zarządzie przed siódmą.

- Chciałem tylko zapytać - pospiesznie powiedział Pierec - gdzie są wszyscy pozostali?... Kim, ciężarówka... Obiecano mnie odwiedzić na... Kontynent...

- Nie mogę na Kontynent, muszę być w Zarządzie przed siódmą. Pan pozwoli, że zamknę okienko.

- Ja nie zajmę dużo miejsca - powiedział Pierec.

- To nieważne. Jest pan dorosły i powinien pan zrozumieć. Jestem kasjerem. Mam przy sobie listy płac. A jeśli coś się z nimi stanie? Proszę zabrać łokieć.

Pierec zabrał łokieć i okienko się zatrzasnęło. Przez mętną, zasmarowaną szybę Pierec patrzył, jak kasjer zbiera listy płac, gniecie je i - jak popadnie - wciska do teczki, potem otwarły się drzwi, do pomieszczenia kasy weszło dwóch olbrzymiego wzrostu strażników, związali kasjerowi ręce, narzucili pętlę na szyję, jeden poprowadził kasjera na powrozie, drugi zabrał teczkę, obejrzał pokój i nagle zauważył Piereca. Czas jakiś patrzyli na siebie przez brudne szkło, następnie strażnik bardzo powoli i ostrożnie, jakby bojąc się kogoś spłoszyć, postawił teczkę na krześle i wciąż tak samo powoli i ostrożnie, nie spuszczać oczu z Piereca, sięgnął po karabin oparty o ścianę. Pierec czekał, martwiejąc i nie wierząc, a strażnik złapał karabin i wyszedł tyłem, zamykając za sobą drzwi. Światło zgasło.

Wtedy Pierec odskoczył od okienka, na palcach podbiegł do swojej walizki, schwycił ją i rzucił się do ucieczki, byle dalej od tego miejsca. Schował się za garażem i widział, jak strażnik wyszedł na ganek, trzymając karabin gotowy do strzału, popatrzył na lewo, na prawo, wziął z poręczy, płaszcz Piereca, zważył go w rękę, przeszukał wszystkie kieszenie, rozejrzał się jeszcze raz i wszedł do domu. Pierec usiadł na walizce.

Było chłodno, zapadał zmierzch. Pierec siedział bezmyślnie patrząc na oświetlone okna do połowy zamazane kredą. Za oknami poruszały się cienie, na dachu bezgłośnie wirowało kraciaste skrzydło radaru. Szczękały naczynia, w lesie krzyczały nocne zwierzęta. Potem gdzieś zajaśniał reflektor, zamiótł błękitną smugą i w ten promień zza węgła domu wjechała wywrotka, zazgrzytała na wyboju i odprowadzona smugą światła pojechała w stronę bramy. W maszynierii wywrotki siedział strażnik z karabinem. Zapalał papierosa, zasłaniając go od wiatru i widać było gruby, kosmaty powróż, okręcony wokół jego lewego nadgarstka i uchodzący w uchylone okno kabiny.

Wywrotka odjechała, reflektor zgasł. Przez dziedziniec, człapiąc ogromnymi buciskami, ponurym cieniem przeszedł drugi strażnik z karabinem pod pachą. Od czasu do czasu pochylał się i obmacywał ziemię, najwidoczniej szukając śladów. Pierec przywarł do ściany spoconymi plecami i zamarł, odprowadzając go wzrokiem.

Coś krzyczało w lesie groźnie i przeciągle. Gdzieś tam trzaskały drzwi. Zapłonęło światło na pierwszym piętrze, ktoś głośno powiedział: „Ale tu u ciebie duszno!” Coś, co było błyszczące i okrągłe, upadło na trawę i potoczyło się do nóg Piereca. Pierec znowu zamarł, ale potem zrozumiał, że to butelka po kefirze. Na piechotę, myślał Pierec, trzeba iść na piechotę. Dwadzieścia kilometrów przez las. To niedobrze, że przez las. Teraz las zobaczy żalosego, drżącego człowieka, spoconego ze strachu i ze zmęczenia, który zdycha pod ciężarem walizki i nie wiadomo dlaczego nie wyrzuca jej. Będę się włókł, a las będzie wrzeszczeć i pohukiwać na mnie...

Na dziedzińcu znowu pojawił się strażnik. Nie był sam, obok niego szedł jeszcze ktoś, ciężko sapiąc i parskając. Ten ktoś był ogromny i szedł na czworakach. Obaj zatrzymali się na środku dziedzińca i Pierec usłyszał, jak strażnik mamrocze: „Masz, masz... nie żryj, głupi, tylko wachaj... To nie kiełbasa, to płaszcz, trzeba go wachać... No? Szersze, słyszysz?” Ten na czworakach skomlał i popiskiwał. „E! - powiedział strażnik z wyrzutem - tylko pcheł potrafisz szukać... Won!” Obaj roztopili się w ciemnościach. Zastukały na ganku obcasy, trzasnęły drzwi. Potem coś zimnego, wilgotnego dotknęło policzka Piereca. Wzdrygnął się i omal nie upadł. Był to olbrzymi wodołaz. Zaskuczał ledwie dosłyszalnie, ciężko westchnął i położył ciężki łeb na kolanach Piereca. Pierec pogładził go za uchem. Wodołaz ziewnął i zaczął się wygodniej układać, ale wtedy na pierwszym piętrze zagrzmiała radiola. Pies w milczeniu odskoczył i uciekł.

Radiola oszalała, na wiele kilometrów wokół nie było już nic oprócz radioli. I wtedy, zupełnie jak w sensacyjnym filmie, bezgłośnie rozjarzyło się błękitne światło, brama rozwarła się i na dziedzińcu, jak wielki okręt, wpłynęła gigantyczna ciężarówka, cała rozświetlona gwiazdozbiorem światel sygnałowych, stanęła, przygasła reflektory, które zamierały powoli, jakby leśny potwór wydawał właśnie ostatnie tchnienie. Z kabiny wysunął się szofer Woldemar i zaczął, szeroko otwierając usta, coś krzyżeć, krzychał bardzo długo, z wielkim wysiłkiem, coraz bardziej wściekły, potem plunął, zniknął w kabinie, pojawił się znowu i napisał kredą na drzwiach, do góry - nogami: „Pierec!!!” Wtedy Pierec zrozumiał, że samochód przyjechał po niego, złapał walizkę i pobiegł przez dziedzińcu, ciągle bojąc się obejrzeć, bojąc się usłyszeć strzały za plecami. Z trudem wdrapał się do kabiny po dwóch drabinkach, a kabina była przestronna jak pokój, i kiedy upychał walizkę, kiedy siadał, szukał papierosów, Woldemar ciągle coś mówił, purpurowiejąc z wysiłku, gestykulował, klepał Piereca po ramieniu, ale dopiero kiedy radiola zamilkła, Pierec wreszcie usłyszał jego głos - nic specjalnego Woldemar nie mówił, zwyczajnie, przeklinał najgorszymi słowami.

Samochód jeszcze nie zdążył wyjechać za bramę, jak Pierec zasnął, jakby do jego twarzy przytknięto maskę z eterem.

Rozdział VII

Wieś była bardzo dziwna. Kiedy Nava i Kandyd wyszli z lasu i zobaczyli ją w dole, w kotlinie, zaskoczyła ich cisza. Cisza była taka, że nawet się nie ucieszyli. Wieś miała kształt trójkąta; wielka polana, na której stały domy, też była trójkątna - ogromna łyśa równina bez jednego krzaczka, bez jednej trawki, jakby wypalona, a potem udeptana, ciemna, odgradzona od nieba zrośniętymi koronami potężnych drzew.

- Nie podoba mi się ta wieś - oznajmiła Nava. - Tu na pewno nie doprosimy się o jedzenie. Jakże tu może być jedzenie, skoro oni nawet pola nie mają, Wszędzie tylko goła glina, na pewno to są myśliwi, oni łapią różne zwierzęta i zjadają je, aż mdło się robi na samą myśl...

- A może trafiliśmy do wsi cudaków? - zapytał Kandyd. - Może to jest Gliniana Polana?

- Jak to może być wieś cudaków? Wieś cudaków to zwyczajna wieś, jak nasza, tylko mieszkają w niej cudaki... A tu - zobacz, jaka cisza, ani ludzi nie widać, ani dzieci, chociaż dzieci to już pewnie poszły spać... Dlaczego ludzi nie widać, jak myślisz, Mruk? Wiesz co, nie wchodźmy do tej wsi, ona mi się bardzo nie podoba...

Słońce zachodziło i wieś w dole pogrążała się w mroku. Wydawała się bardzo pusta, ale nie zaniedbana, nie opuszczona, nie porzucona, tylko właśnie pusta, jakby to" nie była wieś, lecz dekoracja. Tak, pomyślał Kandyd, zapewne nie powinniśmy tam iść, tylko że strasznie bolą nogi i bardzo chciałbym znaleźć się pod dachem. I zjeść choćby cokolwiek. A noc nadciąga... Tak przykro, cały dzień błądzimy po lesie, nawet Nava jest zmęczona, wisi na moim ramieniu, nie puszcza.

- Dobrze - powiedział niezdecydowanie. - Nie wejdziemy do wsi.

- Nie wejdziemy, nie wejdziemy - powiedziała Nava. - A jeżeli ja jestem głodna? Jak długo można nie jeść? Od rana nic nie jadłam... I ci twoi złodzieje... Wiesz, jaki mam po nich apetyt. Nie, wiesz co, lepiej zejdziemy w dół, zjemy, a jeśli nam się tam nie spodoba, wtedy od razu odejdziemy. Dzisiejsza noc będzie ciepła, bez deszczu... Chodźmy, dlaczego nie idziesz?

Od razu na skraju wsi ktoś ich zawołał. Obok pierwszego domu, na szarej ziemi, siedział szary, prawie zupełnie nie ubrany człowiek. Było go bardzo niewyraźnie widać w półmroku, prawie dokładnie stapiał się z ziemią. Kandyd widział tylko jego sylwetkę na tle białawej ściany.

- Dokąd idziecie? - zapytał słabym głosem człowiek.

- Chcemy przenocować - odpowiedział Kandyd. - A rano chcemy iść do Osady. Zgubiliśmy drogę. Uciekaliśmy przed złodziejami i zgubiliśmy drogę.

- To znaczy, że przyszlście sami? - zapytał człowiek ospale. - To bardzo dobrze, to się wam chwali... Wchodźcie, wchodźcie, bo roboty jest dużo, a ludzi, nie wiadomo dlaczego, jakoś coraz mniej... - ledwie wymawiał słowa, jakby zasypiając. - A pracować trzeba... bardzo trzeba pracować, bardzo...

- Dasz nam coś do jedzenia? - zapytał Kandyd.

- U nas teraz.. - człowiek powiedział kilka słów, które Kandydowi wydały się znajome, chociaż wiedział, że nigdy ich nie słyszał. - To dobrze, że chłopczyk przyszedł z tobą, bo chłopczyk... - i znowu niepojęte, dziwaczne słowa.

Nava pociągnęła Kandyda, ale Kandyd z irytacją wyszarpnął rękę.

- Nie rozumiem, co i mówisz - powiedział do człowieka, starając się chociażby lepiej mu się przyjrzeć. - Powiedz mi, czy masz coś do jedzenia?

- Gdyby choć trzech... - powiedział człowiek.

Nava pociągnęła Kandyda ze wszystkich sił i oboje odeszli na bok.

- Chory czy co? - i gniewnie zapytał Kandyd. - Ty przynajmniej zrozumiałaś, co on tam mruczy?

- Po co z nim rozmawiasz? - szeptem zapytała Nava. - Przecież on nie ma twarzy! Jak z nim można rozmawiać, kiedy on nie ma twarzy?

- Jak to, nie ma twarzy? - zdziwił się Kandyd i odwrócił głowę. Człowieka nie było widać, może sam odszedł, może roztajał w mroku.

- A tak - odparł Nava. - Są oczy, są usta, ale twarzy nie ma... - nagle przytuliła się do Kandyda. - On jest jak martwiak - powiedziała. - Tylko że to nie martwiak, bo śmierdzi!, ale cały jest jak martwiak... Chodźmy do jakiegoś innego domu, tylko że jeść nam tu nie dadzą, nawet nie licz na to.

Pociągnęła go do następnego domu; ostrożnie zajrzeli do środka. - Wszystko iv domu wyglądało niezwykle, nie było pościeli, nie było zapachu domostwa, tylko ciemna, niemiała pustka. Nava wciągnęła nosem powietrze.

- Tu nigdy nie było żadnego jedzenia - powiedziała z obrzydzeniem. - Dc jakiejś bardzo głupiej wsi zaprowadziłeś mnie Mruk. Co my tu będziemy robić? Nigdy w życiu nie widziałam takich wsi. Ani dzieci nie krzyczą, ani na ulicy nie ma nikogo.

Poszli dalej. Pod stopami mieli chłodny pył, nie słyszeli nawet własnych kroków, a w lesie nic nie jęczało ani nie bulgotało, chociaż był już wieczór.

- On jakoś dziwnie mówił - powiedział Kandyd. - Teraz, jak sobie przypominam, to zdaje mi się, że już kiedyś słyszałem takie słowa... Ale gdzie i kiedy - nie pamiętam...

- Ja też nie pamiętam - powiedziała Nava po chwili milczenia. - A przecież masz rację Mruk, ja też słyszałam takie słowa, może we śnie, a może w naszej wsi, nie w tej, gdzie teraz mieszkamy, w innej, w tej, w której się urodziłam; tylko że jeśli tak, musiało to być bardzo dawno, bo ja byłam jeszcze bardzo mała i od tego czasu wszystko zapomniałam, a teraz jakby mi się przypomniało, ale w żaden sposób nie mogę sobie naprawdę przypomnieć.

W następnym domu zobaczyli człowieka, który leżał tuż za progiem, na gołej podłodze, i spał. Kandyd pochylił się nad nim, potrząsnął go za ramię, ale człowiek się nie obudził. Skórę miał wilgotną i zimną jak amfibia, był tłusty, miękki i prawie całkowicie pozbawiony mięśni, jego wargi w mroku wydawały się czarne i lśniły oleściami.

- Śpi - powiedział Kandyd do Navy.

- Jak to śpi - zapytała Nava - kiedy patrzy?

Kandyd ponownie schylił się nad człowiekiem; wydało mu się, że tamten naprawdę patrzy spod odrobinę uniesionych powiek. Ale tylko się wydało.

- Ależ nie, on śpi - powiedział Kandyd. - Chodźmy.

Wbrew zwyczajowi Nava milczała.

Dotarli do środka wsi zaglądając do każdego domu i w każdym domu widzieli śpiących. Wszyscy śpiący to byli tłuści, spoceni mężczyźni, nie było ani jednej kobiety, ani jednego dziecka. Nava w ogóle zamilkła, Kandyd też czuł się bardzo nieswojo. Śpiącym przeważnie burczało w brzuchach, nie budzili się, ale za każdym razem, kiedy Kandyd wychodząc spoglądał na nich, miał wrażenie, że odprowadzają go szybkie, ostrożne spojrzenia. Było już zupełnie ciemno, a w szpary między koronami drzew zaglądało niebo popielate od księżycowego światła; Kandyd znowu pomyślał, że wszystko to bardzo przypomina dekoracje w dobrym teatrze. Ale czuł, że jest zmęczony do ostatecznych granic, do całkowitego zubożenia. Marzył tylko o jednym - położyć się gdzieś pod dachem (żeby wtedy, kiedy będzie spał, nie spadło mu na głowę jakieś nocne paskudztwo), choćby na twardej, udeptanej podłodze, ale jednak lepiej w pustym domu, nie razem z tymi podejrzanie śpiącymi. Nava całym ciężarem wisiła mu na ramieniu.

- Nie bój się - powiedział Kandyd. - Tu naprawdę nie ma się czego bać.

- Mówiłeś coś? - zapytała sennie.

- Mówiłem: nie bój się, to przecież półtrupcy, ja ich jedną ręką załatwię.

- Ja nikogo się nie boję - powiedziała Nava gniewnie. - Jestem zmęczona i chce mi się spać, skoro już nie dajesz mi jeść. A ty ciągle chodzisz i chodzisz, od domu do domu, to

nudne, we wszystkich domach wszystko jest jednakowe, wszyscy ludzie już leżą, odpoczywają, tylko my chodzimy i chodzimy...

Wtedy Kandyd zdecydował się i wszedł do pierwszego lepszego domu. W środku było kompletnie ciemno. Kandyd przez chwilę nasłuchiwał próbując stwierdzić, czy jest tam ktoś, czy nie, ale słyszał tylko ciche posapywanie Navy, która oparła głowę na jego boku. Po omacku znalazł ścianę, przesunął dłoni;) po podłodze, żeby sprawdzić, czy jest sucho, i położył się, kładąc głowę Navy na swoim brzuchu. Nava już spała. Żeby potem nie żałował, pomyślał, nie podoba mi się tutaj... tylko jedna noc... potem zapytać o drogę... w dzień chyba nic śpią... ostatecznie - z powrotem na bagno... złodzieje już sobie poszli... Jak tam chłopcy w Osadzie? Czy naprawdę znowu pojutrze?... Nie, co to, to nie, jutro... jutro...

Obudziło go światło i pomyślał, że to księżyc. W domu było ciemno, liliowy blask wpadał przez okno i drzwi. Zainterесowało go, jak światło księżycy może wpadać jednocześnie przez okno i drzwi naprzeciwko, ale potem zrozumiał, że jest w lesie, że prawdziwego księżycy tu nie ma i być nie może, i od razu o tym zapomniał, bo w smudze wpadającego przez okno światła zobaczył sylwetkę człowieka. Człowiek był tu, w domu, stał tyłem do Kandyda i patrzył w okno, widać było, że stoi trzymając ręce z tyłu, z głową pochyloną, tak nigdy nie stoją mieszkańcy lasu - nie mają po prostu żadnego powodu, żeby tak stać, tak jak lubił stać w oknie laboratorium w czasie deszczu i mgły, kiedy nie można było pracować, Carl Ettinhof. Kandyd z przeraźliwą jasnością zrozumiał, że to jest właśnie Carl Ettinhof, który kiedyś dawno poszedł na chwilę do lasu, już więcej nie wrócił i został uznany za zaginionego bez wieści. Zabrakło mu tchu, krzyknął: „Carl!” Carl odwrócił się powoli. Liliowe światło musnęło jego twarz; Kandyd zobaczył, że to nie Carl, tylko jakiś nieznany mu człowiek z lasu; człowiek ten bezszelestnie podszedł do Kandyda, pochylił się nad nim, wciąż trzymając ręce splecione na plecach, jego twarzy było teraz widać dokładnie i wyraźnie - wycieńczona blada twarz bez zarostu, niczym nic przypominająca twarzy Carla. Człowiek nie powiedział ani słowa, zdaje się, że w ogóle nie zauważył Kandyda, wyprostował się, poszedł do drzwi, z rękami do tyłu, przygarbiony; wtedy Kandyd zrozumiał, że to jednak Carl, zerwał się na nogi i wybiegł za nim.

Za drzwiami przystanął, spojrzął na ulicę starając się opanować chorobliwe, nerwowe dreszcze, które nim trzęsły. Było bardzo jasno, ponieważ nisko nad wsią zwisało liliowe świecące niebo, wszystkie domy wyglądały dwuwymiarowo i nieprawdziwie, a na ukos, po drugiej stronie ulicy wznosiła się dziwaczna długa budowla, jakich w lesie nie bywa, wokół niej zaś tłoczyli się ludzie. Człowiek podobny do Carla szedł samotnie w kierunku tej budowli, wszedł w tłum, zmieszał się z nim, znikł w tłumie, jakby nigdy nie istniał. Kandyd

też chciał podejść do budowli, ale poczuł, że nogi ma jak z waty i że w ogóle nie może chodzić. Zdziwiło go, że jeszcze potrafi stać na takich nogach; z lęku, że upadnie, chciał się za coś złapać, ale nie było za co, otaczała go pustka. „Carl - mamrotał słaniając się. - Carl, wróć!” Powtórzył te słowa kilkakrotnie, potem w rozpacz je wykrzyknął, ale nikt go nie usłyszał, bo w tejże sekundzie rozległ się krzyk głośniejszy - żałosny i dziki krzyk niekłamanego bólu - aż zaświdrowało mu w uszach, aż łzy stanęły w oczach; nie wiadomo dlaczego zrozumiał, że ktoś krzyczy właśnie w tej długiej budowli, może dlatego, że więcej nie było gdzie krzyczeć. „Gdzie Nava? - krzyknął. - Dziecko moje, gdzie jesteś?” Zrozumiał, że zaraz ją utraci, że nadeszła owa chwila, że zaraz utraci wszystko, co mu drogie, wszystko, co go wiąże z życiem, i że zostanie sam. Zawrócił, żeby biec z powrotem do domu, i zobaczył Navę, która z głową odrzuconą do tyłu powoli padała na wznak; pochwycił ją, uniósł na rękach nie rozumiejąc, co się z nią dzieje. Głowę miała odrzuconą do tyłu, widział jej nagą szyję, to miejsce, gdzie wszyscy ludzie mają wgłębienie między obojczykami; Nava miała dwa takie wgłębienia, a on, Kandyd, już nigdy więcej ich nie zobaczy. Przecież płacz nie ustał i wiedział, że musi iść tam, gdzie płaczą. Dobrze wiedział, że to jest prawdziwe bohaterstwo, przecież on zanieś ją tam na własnych rękach, ale wiedział także, że dla nich to nie jest żadne bohaterstwo, tylko absolutnie naturalna procedura, bo oni nie wiedzieli, co to znaczy trzymać w ramionach córkę ciepłą i jedyną i samemu zanieść ją tam, gdzie płaczą.

Krzyk umilkł. Kandyd zobaczył, że stoi już przed samą budowlą, wśród tych ludzi, przed kwadratowymi czarnymi drzwiami; spróbował uprzytomnić sobie, co on tu robi z Navą na rękach, ale nie zdążył, bo z czarnych kwadratowych drzwi wyszły dwie kobiety, a z nimi Carl, wszyscy troje byli posępni i niezadowoleni, na moment zatrzymali się, żeby porozmawiać. Kandyd widział, jak poruszają się ich wargi, domyślał się, że trwa jakiś spór, że są zirytowani, ale nie rozumiał słów i tylko raz dotarło do niego na wpeł znajome słowo „chiazma”. Potem jedna z kobiet, nie przerywając rozmowy, odwróciła się do tłumu i zrobiła ręką gest, jakby zapraszając wszystkich do wnętrza budowli. Kandyd powiedział: „Za chwilę...”, i jeszcze mocniej przytulił do siebie Navę. Znowu rozległ się głośny płacz, wszyscy wokół poruszyli się, tłuści ludzie zaczęli się obejmować, tulić do siebie, głaskać i pieścić, oczy ich były suche, wargi mocno zaciśnięte, ale to właśnie oni krzyczeli i płakali, bo, jak się okazało, byli to mężczyźni i kobiety, a mężczyźni żegnali się z kobietami na zawsze. Nikt nie mógł się zdecydować pójść pierwszy i wtedy pierwszy poszedł Kandyd, ponieważ był naprawdę dzielny człowiekiem i wiedział, co to znaczy „trzeba”; ponieważ wiedział, że i tak nic nie pomoże. Ale Carl spojrział na niego i ledwie dostrzegalnie potrząsnął głową, a Kandydowi zrobiło się niewypowiedzianie straszno, ponieważ to jednak był Carl;

zrozumiał, cofnął się, roztrzając palcami to miękkie i śliskie, co napierało z tyłu. A kiedy Carl znowu potrząsnął głową, Kandyd zawrócił, zarzucił sobie Navę na ramię i jak we śnie pobiegł na niepewnych, chwiejnych nogach jasno oświetloną ulicą i nie usłyszał za sobą pogoni.

Oprzytomniał, kiedy wpadł na drzewo. Nava krzyknęła i Kandyd położył ją na ziemi. Pod stopami była trawa.

Widać stąd było całą wieś. Nad wsią zwisał liliowy świetlisty stożek mgły, domy wydawały się rozmyte i rozmyte wydawały się figurki ludzi.

- Ja chyba nic nie pamiętam - powiedziała Nava. - Dlaczego tu jesteśmy? Przecież już położyliśmy się spać. A może to mi się śni?

Kandyd podniósł ją i poszedł dalej; brnąc przez krzaki, grzęznąc w trawie, szedł, dopóki wokół nie zrobiło się całkiem ciemno. Wtedy jeszcze przez jakiś czas szedł, znowu położył Navę na ziemi i usiadł obok niej. Dookoła rosła wysoka, ciepła trawa, ani trochę nie wilgotna; nigdy jeszcze Kandyd nie trafił w lesie na tak suche i przyjemne miejsce. Bolała go głowa, walczył ze snem i o niczym nie chciał mu się myśleć, czuł tylko ogromną ulgę, że miał zamiar zrobić coś bardzo okropnego i że jednak tego nie zrobił.

- Mruk - powiedziała Nava sennym głosem. - Wiesz, Mruk, ja sobie przypomniałam, gdzie słyszałam przedtem takie słowa. Tak ty sam mówiłeś, kiedy jeszcze leżałeś nieprzytomny. Słuchaj, Mruk, a może ty urodziłeś się w tej wsi? Może po prostu zapomniałeś? Ty przecież byłeś wtedy bardzo chory. Mruk, zupełnie nieprzytomny...

- Śpij - powiedział Kandyd. - Nie chciało mu się myśleć. O niczym nie chciało mu się myśleć. „Chiazma”, przypomniał sobie, i natychmiast zasnął. Niezupełnie natychmiast. Przypomniał sobie jeszcze, że to nie Carl zaginał bez wieści; bez wieści zaginał Walentyn i komunikat był o Walentynie, a Carl zginał w lesie i jego ciało, przypadkiem odnalezione, włożono do ocynkowanej trumny i przewieziono na Kontynent. Ale Kandyd pomyślał, że to wszystko mu się śni.

Kiedy otworzył oczy, Nava jeszcze spała. Leżała na brzuchu w zagłębieniu między dwoma korzeniami, twarz wtuliła w zgięcie lewej ręki, a prawą odrzuciła w bok; Kandyd zauważył w jej brudnej, na wpół otwartej pięści cienki błyszczący „przedmiot. Początkowo nie rozumiał, co to takiego, i nagle przypomniał sobie dziwny nocny półsen, swój strach, ulgę spowodowaną tym, że nie stało się to straszne, co się stać miało. A potem dotarło do niego, co to za przedmiot, i nawet jego nazwa nieoczekiwanie wypłynęła z pamięci. To był skalpel. Odczekał jeszcze chwilę, sprawdzając zgodność formy przedmiotu z dźwiękiem tego słowa, zdając sobie podświadomie sprawę, że nie ma tu czego sprawdzać, że wszystko się

zgadza, chociaż jest absolutnie niemożliwe, ponieważ skalpel przez swój kształt i swoją nazwę był straszliwie sprzeczny z tym światem. Kandyd obudził Navę.

Nava otworzyła oczy, usiadła i natychmiast zaczęła mówić:

- Jak tu sucho, nigdy w życiu nie myślałam, że w ogóle są tak suche miejsca, i jak na takim suchym miejscu może rosnąć trawa, co Mruk?... - Umilkła, podniosła ilu oczu pięść ze skalpelem. Sekundę patrzyła na skalpel, potem wrzasnęła, odrzuciła go gwałtownie i poderwała się na nogi. Skalpel stanął sztorcem, wbity w trawę. Oboje patrzyli na stalowy przedmiot, sparaliżowani strachem. - Co to było, Mruk? - zapytała wreszcie Nava szeptem. - laki przerażający... A może to nie jest przedmiot? A może to roślina? Patrz, jak tu wszędzie sucho - może tu takie rosną?

- Dlaczego przerażający? - zapytał Kandyd.

- Jeszcze jak przerażający - powiedziała Nava. - Weź go do ręki... Spróbuj, spróbuj, weź go do ręki, a wtedy będziesz wiedział, dlaczego przerażający... Ja sama nie wiem, dlaczego.

Kandyd wziął skalpel. Skalpel był jeszcze ciepły i kiedy się po nim ostrożnie przesuwał palec, można było wyczuć to miejsce, w którym przestawał być ciepły i stawał się zimny.

- Gdzieś ty go znalazła? - zapytał Kandyd.

- Nigdzie go nie znalazłam - odparła Nava. - Na pewno on sam wlaźł mi do ręki, kiedy spałam. Widzisz, jaki zimny? Na pewno chciał się rozgrzać i wlaźł mi do ręki. Nigdy nie widziałam takich... takiego... nawet nie wiem, jak to nazwać. To chyba z pewnością nie jest roślina, z pewnością to jest jakieś zwierzę, może on nawet ma nogi, tylko je schował, taki jest twardy i zły... A może my jeszcze ciągle śpimy, co, Mruk? - Nagle zająknęła się i spojrzała na Kandyda. - Czy myśmy nocowali we wsi? Przecież nocowaliśmy, tam był jeszcze ten człowiek bez twarzy i on myślał, że ja jestem chłopcem... A my szukaliśmy miejsca do spania... Tak, a potem, jak się obudziłam, ciebie nie było, pomacałam ręką... I wtedy on mi wlaźł w rękę! - powiedziała. - Tylko wiesz, co jest bardzo dziwne, Mruk, ja go wtedy w ogóle się nie bałam, nawet przeciwnie... Był mi nawet do czegoś potrzebny...

- To był tylko sen - kategorycznie powiedział Kandyd. Ciarki mu przeszły po grzbiecie, przypomniał sobie wszystko, co było tej nocy. I Carla. I jak on niedostrzegalnie pokręcił głową - uciekaj, po kiś cały. I to, że żywy Carl był chirurgiem.

- Dlaczego zamilkłeś, Mruk? - z niepokojem zapytała Nava zaglądając mu w twarz. - Na co ty patrzysz?

Kandyd odsunął ją.

- To był sen - powtórzył surowo. - Zapomnij. Lepiej poszukaj czegoś do jedzenia, a ja ten przedmiot zakopię.

- A do czego był mi potrzebny, nie wiesz? - zapytała Nava. - Coś miałam nim zrobić...
- potrząsnęła, głową. - Wiesz, ja nie lubię takich snów - powiedziała. - Nic sobie nie mogę przypomnieć. Zakop to głęboko, bo inaczej wylezie i znowu ucieknie do wsi, i kogoś tam nastraszy... Dobrze byłoby przycisnąć go jakimś ciężkim kamieniem... No, to ty go zakopuj, a ja pójde szukać jedzenia. - Pociągnęła nosem. - Gdzieś tu blisko są jagody. Bardzo dziwne, skąd jagody w takim suchym miejscu?

Lekko i bezszelestnie pobiegła po trawie, a Kandyd siedział i nadal trzymał skalpel na dłoni. Nie zamierzał go zakopać. Owinął ostrze pęczkiem trawy i schował skalpel za pazuchę. Teraz przypomniał sobie wszystko, niemniej jednak nadal nic nie mógł zrozumieć. To był jakiś dziwny i straszny sen, z którego na skutek czyjegoś niedopatrzenia wypadł skalpel. Szkoda, pomyślał, mam dziś wyjątkowo jasny umysł, a jednak nic nie mogę zrozumieć. To znaczy, że już nigdy nie zrozumie.

Nava powróciła szybko i wyjęła z zanadru sporo jagód oraz kilka dużych grzybów.

- Tam jest ścieżka, Mruk - powiedziała. - Wiesz co, lepiej nie wracajmy do tej wsi,” po co nam ta wieś, niech sobie stoi... lepiej pójdziemy sobie tą ścieżką i z pewnością dokądś zajdziemy. Zapytamy o drogę do Osady i wszystko będzie dobrze. Nie masz pojęcia, jak bym chciała już być w Osadzie, nigdy jeszcze tak bardzo nie chciałam. A do tej podstępnej wsi lepiej nie wracajmy, mnie się od razu tam nie spodobało, bardzo słusznie odeszliśmy stamtąd, bo inaczej na pewno stałoby się z nami coś złego. Jeśli chcesz wiedzieć, to w ogóle nie trzeba było tam chodzić, przecież krzyczeli do ciebie złodzieje, żebyś nie szedł, że zginiesz, ale ty nigdy nikogo nie słuchasz. No i przez ciebie o mało nie spotkało nas nieszczęście... Dlaczego nie jesz? Grzyby są świeże, jagody smaczne, rozetrzyj je na dłoni, pokrusz, zachowujesz się jak małe dziecko. Teraz sobie przypominam, mama mi zawsze mówiła, że najlepsze grzyby rosną tam, gdzie jest sucho, ale ja wtedy nie rozumiałam, co to znaczy sucho, mama mówiła, że dawniej w wielu miejscach było sucho, jak na dobrej drodze, mama jeszcze pamiętała, ale ja wtedy nie rozumiałam...

Kandyd skosztował grzyba i zjadł go. Grzyby rzeczywiście były dobre, i jagody były dobre, Kandyd poczuł się raźniej. Ale nie „wiedział jeszcze, jak teraz postąpić. Wracać na wieś nie miał ochoty. Spróbował wyobrazić sobie teren, jak mu objaśniał i rysował patykiem na ziemi Kaczonóg, i przypomniał sobie, że Kaczonóg mówił o drodze do Miasta, która właśnie tędy powinna prowadzić. „Bardzo dobra droga, mówił Kaczonóg z żalem, najlepsza droga do Miasta, szkoda tylko, że nie da się przejść przez bagno...” Łgał, łgał, kuternoga. I po

mokradłach chodził, i w Mieście na pewno był, ale z niewiadomego powodu łął. A może ta ścieżka Navy to właśnie ta najkrótsza droga? - Trzeba zaryzykować. Ale na początek trzeba jednak wrócić. Do tej wsi trzeba jednak wrócić...

- Jednak będziemy musieli wrócić, Nava - powiedział, kiedy zjedli.

- Dokąd wrócić? Wrócić do tej podstępnej wsi? - Nava straciła humor. - Dlaczego mówisz takie rzeczy, Mruk? Po co mamy tam wracać? Za to właśnie cię nie lubię, że z tobą nigdy nie można dogadać się po ludzku... Przecież postanowiliśmy, że nie wrócimy do tej wsi już nigdy, a teraz znowu zaczynasz...

- Trzeba będzie wrócić - powtórzył Kandyd. - Mnie samemu bardzo się nie chce, Nava, ale musimy tam iść. Może tam nam powiedzą, jak stąd najszybciej trafić do Miasta.

- Dlaczego do Miasta? Ja nie chcę iść do Miasta, ja chcę do Osady.

- Pójdziemy prosto do Miasta - powiedział Kandyd. - Ja już dłużej nie mogę.

- No, dobrze - powiedziała Nava. - Dobrze, pójdziemy do Miasta, to nawet lepiej, czego mamy szukać w tej Osadzie? Chodźmy do Miasta, zgadzam się, z tobą wszędzie się zgadzam iść, tylko wiesz co, nie wracajmy już do tej wsi... Ty jak tam sobie chcesz, Mruk, ale ja za nic bym już do tej wsi nie wróciła...

- Ja też - powiedział Kandyd. - Ale trzeba. Nie gniewaj się, Nava, przecież ja sam nie mam ochoty...

- Jeśli nie masz ochoty, to po co idziemy?

Nie chciał i nie mógł jej wytłumaczyć, po co. Wstał i nie oglądając się poszedł w stronę, w której powinna była być wieś. Po suchej ciepłej trawie, wśród ciepłych suchych pni, mrużąc oczy w promieniach ciepłego słońca, którego było tu tak zdumiewająco dużo, szedł na spotkanie przeżytej grozy, której wspomnienie do bólu napinało mięśnie, na spotkanie cichej i dziwnej nadziei, która przenikała poprzez grozę jak źdźbło trawy przez szczelinę w asfalcie.

Nava dogoniła go i szła obok. Była rozgniewana i przez jakiś czas nawet milczała, ale w końcu nie wytrzymała.

- Tylko nie myśl sobie - oznajmiła - że ja z tymi ludźmi będę rozmawiać, teraz sam sobie z nimi rozmawiaj, sam tam idziesz, to sam rozmawiaj. Ja nie lubię mieć do czynienia z kimś, kto nawet twarzy nie ma, nie lubię tego. Niczego dobrego nie można oczekiwać od człowieka, który nie umie odróżnić chłopca od dziewczynki... A mnie od rana boli głowa, teraz już wiem, dlaczego mnie boli...

Wieś zobaczyli niespodziewanie. Widocznie Kandyd poszedł na ukos i wieś ukazała się między drzewami po prawej stronie. Wszystko tu się zmieniło i Kandyd nie od razu zorientował się, dlaczego. Potem zrozumiał - wieś tonęła.

Trójkątną polanę pokryła czarna woda, wzbierała w oczach, napełniała glinianą kotlinę, zatapiała domy, bezszelestnie wirowała na ulicach. Kandyd stał i bezradnie patrzył, jak znikają pod wodą okna, jak osiadają i rozpadają się rozmyte ściany i dachy, i nikt nie wybiegał z domów, nikt nie próbował dopłynąć do brzegu, ani jeden człowiek nie ukazał się na powierzchni wody, być może ludzi tam w ogóle nie było, być może ludzie odeszli minionej nocy; ale Kandyd czuł, że to nie jest aż takie proste. To nie wieś, pomyślał przez moment, to makieta stała tu, zapomniana przez wszystkich, zakurzona, a potem kogoś zainteresowało, co będzie, jeżeli ją zalać wodą. Może stanie się coś ciekawego? Więc zatopiono makietę. Ale nic ciekawego się nie stało...

Wygiął się łagodnie i bezgłośnie znikł w wodzie dach płaskiej budowli. Nad czarną wodą jakby zaszeleściło lekkie westchnienie, po gładkiej powierzchni pobiegły fale i wszystko się skończyło. Przed Kandydem leżało normalne trójkątne jezioro, na razie dosyć płytkie i martwe. Potem stanie się głębokie jak przepaść, zalęgną się w nim ryby, które będziemy łowić, preparować i konserwować w formalinie.

- Ja wiem, jak to się nazywa - powiedziała Nava. Powiedziała to głosem tak spokojnym, że Kandyd spojrział na nią. Rzeczywiście była absolutnie spokojna i nawet, zdaje się, zadowolona. - To się nazywa Przewyciężenie - powiedziała. - To dlatego oni nie mieli twarzy, a ja nie od razu zrozumiałam. Oni na pewno chcieli mieszkać w jeziorze. Opowiadano mi, że ci, którzy mieszkali w domach, mogą pozostać i mieszkać w jeziorze, tera? tu już zawsze będzie jezioro, a kto nic chce, ten odchodzi. Ja bym na przykład odeszła, chociaż to, być może, nawet lepiej - mieszkać w jeziorze... Ale tego nikt nie wie... Może się wykąpiemy? - zaproponowała.

- Nie - powiedział Kandyd - Nie chcę się tu kąpać. Chodźmy na twoją ścieżkę, Nava. Idziemy.

Żeby się tylko stąd wydostał, myślał, jestem jak ta maszyna w labiryncie... Staliśmy wszyscy dookoła i śmialiśmy się patrząc, jak ona pracowicie maca, szuka, węszy... a potem do maleńkiego basenu na jej drodze nalewano wody i maszyna peszyła się doprawdy wzruszająco, ale tylko na mgnienie, i znowu zaczynała rzeczowo poruszać antenami, buceć i węszyć; nie wiedziała, że na nią patrzymy, a my, szczerze mówiąc, mieliśmy w nosie to, czy ona wie, czy nie, chociaż to właśnie było chyba najgorsze. Jeśli to jest w ogóle złe, pomyślał. Konieczność nie może być ani zła, ani dobra. Konieczność jest konieczna, a wszystko pozostałe wymyślamy my sami, i maszyny w labiryntach, jeżeli one potrafią cokolwiek wymyślić. Po prostu kiedy błądzimy, konieczność chwyta nas za gardło, wtedy zaczynamy płakać i żalić się, że jest zła i okrutna, a tymczasem konieczność jest taka, jaka jest - to my

jesteśmy głupi albo ślepi. Dziś mogę nawet filozofować, pomyślał. Pewnie dlatego, że tu jest sucho. To niezwykle, potrafię nawet filozofować...

- Masz swoją ścieżkę - gniewnie powiedziała Nava. - Proszę, możesz iść.

Gniewa się, pomyślał. Nie pozwoliłem na kąpiel, przez cały czas milczę, dokoła sucho, nieprzyjemnie... Nie szkodzi, niech się gniewa. Póki się gniewa, przynajmniej milczy, dzięki i za to. Kto chodził tą ścieżką? Czy to możliwe, żeby chodzili nią tak często, że nawet nie zarosła? Dziwna jakaś ścieżka, jakby nie wydeptana, tylko wykopana...

Początkowo ścieżka biegła przez teren suchy i przyjemny, po jakimś czasie stromo poprowadziła w dół po zboczu wzgórza i zmieniła się w grząskie pasmo czarnego błota. Skończył się czysty las, znowu były bagna, zarosła, mech, i powietrze znów stało się duszne i wilgotne. Nava niezwłocznie ożyła. Tutaj czuła się znacznie lepiej. Już znowu mówiła bez przerwy i bardzo prędko, w głowie Kandyda wirował już, nie ucichając, znajomy, świszczący szum: Kandyd szedł jak w półśnie, zapomniał o wszelkiej filozofii, zapomniał nawet, dokąd idzie, oddany na żer przypadkowych, oderwanych myśli, a raczej nawet nie myśli, ale wyobrażeń.

...Kuśtyka centralną ulicą Kaczonóg i mówi wszystkim napotkanym (jeśli nikogo nie spotyka, to po prostu głośno mówi), że jednak okazuje się, Mruk poszedł i zabrał ze sobą Navę; do Miasta pewnie poszedł, a tymczasem żadnego Miasta przecież nie ma. A może nie do Miasta poszedł, tylko do Szuwarów, w Szuwarach dobrze się ryby łapie, wsadzasz palec w wodę - i jest ryba. Tylko, z drugiej strony, jeżeli się zastanowić, to poco Mrukowi ryby, Mruk, głupi, ryb nie jada, chociaż może dla Navy chciał nałapać ryb, Nava ryby jada, więc on będzie karmić Navę rybami... Ale w takim razie dlaczego bez przerwy pytał o Miasto? Nie-e, nie poszedł do Szuwarów, i nieprędko teraz wróci, nie ma na co czekać...

A naprzeciw idzie centralną ulicą Kułak i mówi wszystkim napotkanym, że ten Mruk ciągle chodził i chodził, namawiał, pójdziemy, mówił, do Miasta, Kułak, pojutrze idziemy, cały rok mówił, że pojutrze idziemy do Miasta, a kiedy Kułak przygotował tyle jedzenia, że stara go wyzywa od ostatnich, wtedy Mruk poszedł bez jedzenia i beze mnie... Był taki jeden, maćtrwa, też odchodził bez jedzenia, a jak dali mu w ucho raz i drugi, to już więcej nigdzie nie idzie, ani z jedzeniem, ani bez jedzenia, boi się, siedzi w domu...

A Kusy stoi obok starca, który je u niego śniadanie, i mówi do niego: znowu jesz, i znowu jesz nie swoje. Ty nie myśl, mówi, że ci żałuję jedzenia, ja się tylko dziwię, jak w jednego takiego chudego starucha tyle garnków najlepszego jedzenia włazi. Jedz, mówi, ale mi powiedz, może was jest więcej w naszej wsi? Może was jednak jest trzech albo chociaż

dwóch? Przecież na ciebie po prostu strach patrzeć, jak jesz, jesz i nie możesz się najeść, a potem wszystkim tłumaczysz, że nie wolno...

Nava szła obok, trzymała go oburącz za rękę i z zapalem opowiadała:

- A jeszcze mieszkał w tej naszej wsi jeden mężczyzna, Krzywda-Męczennik, ty go nie możesz pamiętać, ty wtedy akurat leżałeś nieprzytomny. A jemu nigdy nic się nie podobało i ciągle pytał: dlaczego? Dlaczego w nocy jest ciemno, a w dzień widno? Dlaczego niektóre żuki są odurzające, a mrówki nie? Dlaczego martwiaki łapią kobiety, a mężczyźni ich nie interesują? Martwiaki ukradły mu dwie żony, jedną po drugiej. Pierwszą ukradły, jeszcze zanim przyszedłem do wsi, a drugą już przy mnie, więc on ciągle chodził i pytał, dlaczego, pytał, martwiaki jego nie ukradły, a żonę ukradły... Specjalnie całymi dniami i nocami chodził po lesie, żeby i jego ukradły, chciał odnaleźć swoje żony, chociaż jedną, ale, oczywiście, nikt go nie ruszył, bo martwiakom mężczyźni niepotrzebni, tylko kobiety; tak było zawsze i przez jednego Krzywdę-Męczennika martwiaki nie miały zamiaru zmienić swoich obyczajów... I jeszcze ciągle pytał, dlaczego trzeba pracować w polu, kiedy w lesie i tak jedzenia jest pod dostatkiem, wystarczy zalać zacierem i jeść. Starosta mówi do niego: - Nie chcesz, to nie pracuj, nikt cię do roboty nie goni... a tamten tylko w kółko powtarza: dlaczego i dlaczego?... Albo przyczepił się do Kułaka.” Dlaczego, mówi, Górna Wieś zarosła grzybami, a nasza jakoś nie zarasta? Kułak mu z początku spokojnie tłumaczy: u tych na górze dokonało się już Przewyciężenie, a u nas jeszcze nie, i na tym koniec. A tamten pyta: a dlaczego u nas tak długo nie dokonuje się Przewyciężenie? A co cię obchodzi Przewyciężenie, pyta Kułak, czy to twoja żona, żebyś za nią tęsknił? A Krzywda-Męczennik za nic się nie chciał odczepić. Zamęczył Kułaka, wrzasnął głośno Kułak, na całą wieś, pięściami wymachiwał i poleciał do starosty, naskarżył, starosta też się rozgniewał, zebrał całą wieś i wszyscy pobiegli szukać Krzywdy-Męczennika, żeby go nauczyć rozumu, ale go nie złapali... I starca też wiele razy się czepiał. Stary najpierw przestał u niego jadać, potem zaczął się przed nim chować, a w końcu nie wytrzymał i mówi: odczep ty się ode mnie, przez ciebie jedzenie staje mi kością w gardle, skąd ja mogę wiedzieć, dlaczego? Miasto wie dlaczego, i koniec. Krzywda-Męczennik poszedł do Miasta i więcej już nie wrócił...

Z lewej i z prawej strony powoli przepływały żółtozielone plamy, głucho pękały dojrzałe hasz-grzyby, wachlarzowato rozpylając żółte fontanny zarodników, nadleciała z wyciem zabłąkana leśna osa, starała się trafić w oko i musieli przebiec ze sto kroków, żeby się odczepiła; hałaśliwie i pracowicie konstruowały swoje budowle przyczepione do lian różnobarwne podwodne pająki; skaczące drzewa przysiadły skurczone, szykowały się do skoku, ale czując nadchodzących ludzi zamierały, udawały zwyczajne drzewa - i nie było na

czym zatrzymać spojrzenia, nie było co zapamiętywać. I nie było o czym myśleć, bo myśleć o Carlu, o ubiegłej nocy i zatopionej wsi - znaczyło bredzić w malignie.

- Krzywda-Męczennik był bardzo dobrym człowiekiem, to on i Kaczonóg znaleźli cię za Szuwarami. Poszli do Mrowisk, ale jakoś zaniósło ich do Szuwarów, tam znaleźli ciebie i przynieśli, to znaczy przyniósł cię Krzywda-Męczennik, a Kaczonóg tylko szedł z tyłu i zbierał wszystko, co z ciebie wypadało... Bardzo dużo rzeczy pozbierał, a potem opowiadał, że przestraszył się i wszystko wyrzucił. Coś takiego, mówił, nigdy u nas nie rosło i rosnąć nie może. A potem Krzywda-Męczennik zdjął z ciebie ubranie, bardzo dziwne ubranie miałeś na sobie, nikt nie mógł zrozumieć, gdzie coś takiego rośnie i jak... Więc on to ubranie pociął i rozsadził, myślał, że wyrośnie. Ale nic mu nie wyrosło, nawet nie zakiełkowało, więc znowu zaczął chodzić po wsi i pytać, dlaczego; każde ubranie, jeśli je pociąć i rozsadzić, to wyrośnie, a twoje nawet nie zakiełkowało... On i ciebie wiele razy wypytywał, żyć ci nie dawał, ale ty wtedy byłeś nieprzytomny, tylko coś mamrotałeś, tak jak tamten bez twarzy, i zasłaniałeś się ręką. Więc niczego się nie dowiedział i poszedł z niczym. Potem jeszcze inni chodzili do Szuwarów; Kułak chodził i Kusy, i starosta nawet chodził, chcieli znaleźć jeszcze jednego takiego jak ty. Ale nie znaleźli... Wtedy oddali mi ciebie. Pielęgnuj go, powiedzieli, wyzdrowieje - będziesz miała męża, a że jest obcy, to nie szkodzi, bo ty też, prawdę mówiąc, jesteś obca. Bo ja tu też jestem obca, Mruk. To było tak: złapały nas z mamą martwiaki, a noc była bezksiężycowa...

Ścieżka znowu prowadziła pod górę, ale nadal było równie parno, chociaż las był czystszy. Już nie napotykali zgniłych gałęzi i zwałów gnijących lian. Zieleń znikła, wszystko wokół było żółte i pomarańczowe. Drzewa stały się smuklejsze, a bagno jakieś dziwaczne: gładkie, bez mchu i grud błota. Znikła pajęczyna zarośli po lewej i prawej stronie, otworzył się horyzont. A trawa na zboczach była miękka i soczysta, proste, równe źdźbła, jakby je ktoś specjalnie wybrał i zasadził.

Nava przerwała w pół słowa, wciągnęła nosem powietrze i rozglądając się powiedziała rzeczowo:

- Gdzie tu się można schować? Zdaje się, że nigdzie nie można...

- Ktoś idzie? - zapytał Kandyd.

- Dużo ich idzie, a ja nie wiem, kto to... To nie martwiaki, ale jednak lepiej się schować. Można oczywiście się nie chować, one i tak już są blisko, zresztą tu nie ma gdzie się schować. Wiesz co, zejdźmy na bok i zobaczymy... - jeszcze raz pociągnęła nosem. - Wstrętny jakiś zapach, niby nie niebezpieczny, ale lepiej, żeby go nie było... A ty naprawdę nic nie czujesz? Przecież śmierdzi jak zepsuty zacier - stoi garnek przed nosem, a w nim

zepsuty zacier, do tego jeszcze spleśniały... To one! E, takie maleńkie, nic straszego, zaraz je przepędzisz... Uhuhuhu!

- Cicho bądź - powiedział Kandyd i spojrział.

Z początku wydało mu się, że ścieżką z przeciwnej strony suną białe żółwie. Potem zrozumiał, że takich zwierząt nie widział jeszcze nigdy. Były podobne do ogromnych nieprzejrzystych ameb albo do bardzo młodych ślimaków drzewnych, tylko że ślimaki nie miały nibynózek i były jednak większe. Zwierząt było wiele, pełzły gęsiego, jedno za drugim, dosyć szybko i zwinnie wyrzucając do przodu nibynóżki.

Niedługo znalazły się zupełnie blisko - białe i lśniące; teraz Kandyd też poczuł nieznaną ostry zapach, zszedł ze ścieżki na pobocze i pociągnął za sobą Navę. Mięczaki-ameby jeden za drugim przepelzały obok Navy i Kandyda, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi.

Było ich wszystkich dwanaście i Nava nie wytrzymała, ostatniego, dwunastego, trąciła piętą. Mięczak zręcznie podciągnął zadek i ruszył w podskokach. Nava wpadła w entuzjazm i już zamierzała puścić się w pogoń, żeby kopnąć jeszcze raz, ale Kandyd złapał ją za ubranie.

- Ale przecież one są takie śmieszne! - powiedziała Nava. - I tak pełzną jak ludzie, kiedy idą ścieżką... Ciekawe, dokąd one idą? Wiesz, Mruk, one na pewno idą do tej podstępnej wsi, na pewno są stamtąd, a teraz wracają i nie wiedzą, że tam jest już po Przewyciężeniu. Położą koło wody i wrócą z powrotem. Dokąd one, biedne, pójdą? Może poszukają innej wsi, tam jest już tylko jezioro!

- Uciszyć się - powiedział Kandyd. - Idziemy. One nie rozumieją twojego języka, nie krzycz niepotrzebnie.

Poszli dalej. Po przemarszu mięczaków ścieżka wydawała się trochę śliska. Spotkali się i rozeszli, pomyślał Kandyd. Spotkali się i rozminęli. I to ja zszedłem z drogi. Ja, a nie one. Ta okoliczność nagle wydała mu się niezwykle ważna. One są takie maleńkie i bezbronne, a ja jestem wielki i silny, ale to ja zszedłem ze ścieżki i przepuściłem je, i teraz myślę o nich, a one przeszły i na pewno już o mnie nie pamiętają. Dlatego, że las jest ich domem, a mało to kogo można spotkać w lesie? Tak jak w domu bywają pluskwy, karaluchy czy stonogi, czasem niespodziewanie wpadnie bezmózgi motyl. Albo mucha tłucze się o szybę. A przecież to nieprawda, że muchy tłuką się o szyby. Wyobrażam sobie, że idę. Tylko dlatego, że stawiam kroki... Na pewno to bardzo śmieszny widok dla kogoś, kto mnie obserwuje z boku, śmieszny i... Jak to się mówi... żałosny... żałosliwy... Jak to będzie prawidłowo...

- Niedługo będzie jezioro - powiedziała Nava. - Chodźmy szybciej, chcę pić i jeść też. Może przywabisz dla mnie rybę...

Poszli szybciej, zaczęły się zarośla trzciny. No dobrze, myślał Kandyd, jestem podobny do muchy. A czy jestem podobny do człowieka? Przypomniał sobie Carla i przypomniał sobie, że Carl nie był podobny do Carla. Bardzo możliwe, pomyślał spokojnie. Bardzo możliwe, że ja wcale nie jestem tym samym człowiekiem, który ileś tam lat temu rozbił się wraz z helikopterem. Tylko wobec tego nie jest jasne, dlaczego tłukę się o szybę. Przecież Carl, kiedy to się z nim zdarzyło, już nie tłukł się o szybę. To będzie bardzo dziwne, kiedy podejść do stacji biologicznej i oni mnie zobaczą. Dobrze, że o tym pomyślałem. Będę jeszcze musiał o tym długo i starannie myśleć. Dobrze, że mam jeszcze dużo czasu i nieprędko dotrę do stacji biologicznej...

Ścieżka się rozwidła. Jedna prawdopodobnie prowadziła do jeziora, a druga ostro skręcała gdzieś w bok.

- Tam nie pójdziemy - powiedziała Nava. - Ścieżka idzie w górę, a ja chcę pić.

Ścieżka była coraz węższa, potem przemieniła się w grząską brudę i znikła ostatecznie. Nava stanęła.

- Wiesz co, Mruk - powiedziała - może my lepiej nie pójdziemy do tego jeziora? To jezioro jakoś mi się nie podoba, coś z nim jest nie tak. Myślę, że to w ogóle nie jest jezioro, tam jest jeszcze coś oprócz wody i tego czegoś jest bardzo dużo...

- Ale woda tam jest? - zapytał Kandyd. - Chciałaś się przecież napić. Ja też byłbym nie od tego...

- Woda jest - niechętnie odparła Nava - ale ciepła. To niedobra woda. Nieczysta... Wiesz co, Mruk, ty sobie tu stój, bo ty strasznie głośno chodzisz, przez ciebie ja nic nie słyszę, stój tu i czekaj na mnie, a ja cię zawołam, krzyknę tak jak skaczące drzewo. Wiesz, jak krzyczy skaczące drzewo? No to ja tak właśnie krzyknę. A ty tu stój albo nawet lepiej posiedź sobie...

Dała nurka w trzciny i znikła. I wtedy dopiero Kandyd zwrócił uwagę na głuchą jak wata ciszę, która tu panowała. Ani bzykania owadów, ani westchnień i sapania bagna, ani krzyków leśnych zwierząt - niczego nie było słychać; mokre, gorące powietrze stało nieruchomo. To nie była sucha cisza podstępnej wsi, tam było cicho, jak cicho jest w nocy za kulisami teatru. A tu było cicho, jak cicho jest pod wodą. Kandyd ostrożnie przykucnął, wyrwał kilka źdźbeł trawy, roztarł je w palcach i nieoczekiwanie stwierdził, że ziemia tutaj powinna być jadalna. Wyrwał pęczek trawy z ziemi i zaczął jeść. Ziemia dobrze zaspokajała

głód i pragnienie, była zimna i słonawa. Ser, pomyślał Kandyd. Tak, ser... Co to takiego - ser? Ser szwajcarski, ser topiony. Ser z pleśnią. Dziwne...

Potem z trzciny bezszelestnie wybiegła Nava. Przysiadła obok i również zaczęła jeść, szybko i uważnie. Oczy miała «krągłe».

- To dobrze, że tu zjedliśmy - powiedziała w końcu. - Chcesz zobaczyć, co to za jezioro? Bo ja chcę popatrzeć jeszcze raz, ale sama się boję. To jest to samo jezioro, o którym zawsze opowiadał Kaczonóg, tylko myślałam, że on to wszystko zmyślił albo mu się przywidziało, a okazuje się, że to prawda, chociaż może i mnie się też przywidziało...

- Chodź, zobaczymy - rzekł Kandyd.

Jezioro leżało jakieś pięćdziesiąt kroków dalej. Kandyd i Nava zeszli na dół po grząskim dnie i rozsunęli trzciny. Na wodzie leżała gruba warstwa białej mgły. Woda była ciepła, nieomal gorąca, ale jasna i przezroczysta. Pachniało jedzeniem. Mgła pulsowała w regularnym rytmie i po minucie Kandyd poczuł zawrót głowy. We mgle ktoś był. Ludzie. Bardzo wielu ludzi. Wszyscy byli nadzy i absolutnie nieruchomo leżeli na wodzie. Mgła rytmicznie wznosiła się i opadała, to odsłaniając, to zakrywając żółtawobiałe ciała, uniesione twarze - ludzie nie pływali, ludzie leżeli na wodzie jak na plaży. Dreszcz wstrząsnął Kandydem. - Chodźmy stąd - wyszeptał i pociągnął Navę za rękę. Wyszli na brzeg i wrócili na ścieżkę.

- To wcale nie są topielcy - powiedziała Nava. - Kaczonóg w ogóle nic nie zrozumiał, po prostu oni się kąpali, nagle wytrysnęło gorące źródło i wszyscy się ugotowali... To było straszne, Mruk - powiedziała po chwili milczenia. - Nawet nie chce się o tym mówić... A jak ich tam dużo, cała wieś...

Doszli do miejsca, gdzie ścieżka się rozwidlała, i stanęli.

- Teraz pod górę? - zapytała Nava.

- Tak - odparł Kandyd. - Teraz pod górę.

Skręcili na prawo i ruszyli z boczem wzgórza.

- To były same kobiety - powiedziała Nava. - Zauważyłeś?

- Tak - powiedział Kandyd.

- I to jest właśnie najstraszniejsze, tego w ogóle nie mogę zrozumieć. A może... - Nava spojrzała na Kandyda. - A może to martwiaki je tutaj zaganiają? Na pewno martwiaki zaganiają je tutaj - wyłapują we wszystkich wsiach, pędzą do tego jeziora i gotują... Słuchaj, Mruk, a po co myśmy odeszli ze wsi? Siedzielibyśmy sobie w domu i nigdy byśmy tego wszystkiego nie zobaczyli. Myślelibyśmy, że Kaczonóg to zmyślił, żylibyśmy sobie spokojnie, ale nie, koniecznie musiałeś iść do Miasta... No i po co musisz iść do Miasta?

- Nie wiem - powiedział Kandyd.

Rozdział VIII

Piereca obudziła niewygodna, przeogromny smutek i - jak mu się w pierwszej chwili wydawało - przeciążenie świadomości i wszystkich zmysłów ponad ludzką wytrzymałość. Było mu niewygodnie aż do bólu i jęknął mimo woli, przychodząc z wolna do siebie.

Przeciążenie świadomości okazało się rozpaczą i zniechęceniem, ponieważ samochód znowu nie jechał na Kontynent i w ogóle nigdzie nie jechał. Stał z wyłączonym motorem, martwy, zlodowaciały, z otwartymi drzwiami. Przednią szybę pokryły drżące krople, które zlewały się i spływały zimnymi strumyczkami. Noc za szybą rozświetlały oślepiające błyski reflektorów przeciwlotniczych i świateł samochodów i nic nie było widać oprócz tych nieustannych błysków, od których ślepeły oczy. I nic nie było słychać, tak że Pierec w pierwszym momencie pomyślał nawet, że ogłuchł i dopiero po chwili dotarło do niego, - że uszy równomiernie atakuje wielogłosowe, niskie wycie syren. Zaczął się miotać po kabinie, objając się boleśnie o drążki, krawędzie i przekłętą walizkę, spróbował przetrzeć szybę, wyjrzał przez jedno drzwi, wyjrzał przez drugie - w żaden sposób nie mógł rozpoznać, gdzie jest i co to wszystko oznacza. Wojna, pomyślał, mój Boże, to wojna!... Reflektory ze złośliwą rozkoszą biły go po oczach i nic nie widział oprócz nie znanego sobie, wielkiego gmachu, w którym rytmicznie zapalały się i gasły wszystkie okna jednocześnie na wszystkich piętrach. I jeszcze widział olbrzymią ilość szerokich, liliowych plam.

Nagle odezwał się potworny głos i powiedział spokojnie, jakby wszędzie panowała cisza: „Uwaga, uwaga. Wszyscy pracownicy mają stać w miejscu zgodnie z okólnikiem numer sześćset siedemdziesiąt pięć łamane przez Pegaz omikron trzysta dwa dyrektywa osiemset trzysta na uroczyste powitanie padyszacha bez specjalnej świty, rozmiar butów pięćdziesiąt pięć. Powtarzam. Uwaga, uwaga, wszyscy pracownicy... Reflektory przestały się miotać i Pierec rozróżnił teraz znajomą bramę, główną ulicę Zarządu i stojące wzdłuż tej ulicy znajome, ciemne wille i jakichś ludzi, którzy stali przed willami w nocnej bieliźnie, z lampami naftowymi, a potem jeszcze tyralierę biegnących w czarnych, rozwianych płaszczach. Ci ludzie biegli, zajmując całą szerokość jezdni z czymś, co było rozciągnięte i jasne, i kiedy się przyjrzał, zrozumiał, że ciągną ni to niewód, ni to siatkę do siatkówki i natychmiast zdarty głos zaskrzeczał mu nad uchem: „Co to za samochód? A ty dlaczego tu stoisz?” Cofnął się gwałtownie, zobaczył przed sobą inżyniera w białej kartonowej masce, który na czole miał napisane chemicznym ołówkiem „Libidowicz”, i ten inżynier włożył brudnymi buciurami na Piereca, trącał go łokciem w twarz, chrypiąc i cuchnąc potem, wpackował się wreszcie na fotel kierowcy, poszukał klucza od stacyjki, nie znalazł, zapiszczał

histerycznie i wytoczył się z kabiny na przeciwną stronę. Na ulicy zapłonęły wszystkie latarnie, zrobiło się widno jak w dzień, ludzie w białych cięgiach stali z naftowymi lampami przed swoimi domami, każdy trzymał w ręku siatkę na motyle, wymachiwali tymi siatkami rytmicznie, jakby odganiaли coś niewidzialnego od swoich drzwi. Jeźdźcą z przeciwnej strony przejechały jeden za drugim cztery ponure, czarne samochody podobne do autobusów bez okien, na ich dachach wirowały jakieś łopaty-kratownice, a potem w ślad za nimi wypęzła z uliczki sędziwa pancierka. Jej zardzewiała wieżyczka obracała się z przeraźliwym piskiem, a cienka lufa cekaemu chodziła z góry na dół. Pancierka z trudem przecisnęła się obok ciężarówki, klapa na jej dachu otworzyła się, wylazł człowiek w nocnej, flanelowej koszuli, przy której majtały się tasiemki i z naganą krzyknął do Pierca: „Co to znaczy, drogi panie? Jechać trzeba, a „pan tu stoi!” Wtedy Pierc położył głowę na rękach i zamknął oczy.

Nie wyjadę stąd nigdy, pomyślał tępo. Nikt mnie tu nie potrzebuje, jestem absolutnie bezużyteczny, ale oni mnie stąd nie wypuszczą, choćby w tym celu trzeba było rozpocząć wojnę albo spowodować powódź...

- Poproszę o dokumenty - powiedział nudny, starczy głos i ktoś klepnął Pierca po ramieniu.

- Co? - zapytał Pierc.

- Dokumenty. Przygotowane?

Był to starzec w ceratowym płaszczu, z berdanką na obdrapanym metalowym łańcuszku przez pierś.

- Jakie papiery? Jakie dokumenty? Po co?

- A, to pan Pierc - powiedział starzec. - Dlaczego nie stosuje się pan do przepisów? Wszystkie dokumenty powinien pan już trzymać w ręku rozłożone jak w muzeum...

Pierc podał mu swoją legitymację. Stary oparł łokcie na berdance, uważnie przestudiował pieczęcie, porównał zdjęcie z twarzą Pierca i powiedział:

- Wygląda, że pan zeszczuplał, herr Pierc. Jakby pan zmizerniał na twarzy. Za dużo pan pracuje... - oddał legitymację.

- Co się dzieje? - zapytał Pierc.

- Co trzeba, to się dzieje - powiedział stary i nagle posurowiał. - A odbywa się akcja wedle okólnika numer sześćset siedemdziesiąt pięć łamane przez Pegaz. To znaczy ucieczka.

- Jaka ucieczka? Skąd?

- Taka ucieczka, jaką przewiduje okólnik - powiedział starzec i zaczął złazić po drabinie. - Tylko patrzeć, jak zdetonują, więc niech pan uważa na uszy i w ogóle lepiej siedzieć z otwartymi ustami.

- Dobrze - powiedział Pierec. - Dziękuję.

- A ty czego tu szukasz, stary grzybie? - rozległ się z dołu wściekły głos Woldemara. - Ja ci pokażę dokumenty! Masz, powąchaj! Zrozumiałeś? No, to spływasz stąd, jeżeli zrozumiałeś...

Obok z krzykiem i tupotem nóg powleczono gdzieś betoniarkę. Szofer Woldemar rozczochrany, z wyszczerzonymi zębami wdrapał się do kabiny. Mrucząc przekleństwa zapalił silnik i z łoskotem zatrzasnął drzwi. Ciężarówka zerwała się z miejsca i popędziła ulicą, mijając ludzi w bieliźnie, machających siatkami na motyle. Do garażu, pomyślał Pierec. Ech! Wszystko jedno. Ale walizki już więcej palcem nie tknę. Nie mam siły dłużej dźwigać, niech ją szlag trafi. Z nienawiścią uderzył walizkę piętą. Samochód ostro skręcił z głównej ulicy, rozwaliał barykadę z pustych beczek oraz furmanek i popędził dalej. Czas jakiś na chłodnicy telepał się roztrzaskany przód dorożki, potem spadł i zatrzeszczał pod kołami. Ciężarówka pędziła teraz wąskimi, bocznymi uliczkami. Woldemar, zasepiony, ze zgasłym niedopałkiem na wardze, pochylając się i prostując całym ciałem, trzymał oburącz ogromną kierownicę. Nie, nie do garażu, pomyślał Pierec. I nie do warsztatów. I nie na Kontynent. W zaułkach było ciemno i pusto. Tylko raz w samochodowych światłach mignęły kartonowe twarze z napisami, rozczapierzone ręce i wszystko znikło.

- Diabeł mnie podkusił - powiedział Woldemar. - Chciałem jechać prosto na Kontynent, ale widzę - pan śpi, więc myślę, wpadnę do garażu, rozegram partyjkę szachów... Ledwie zdążyłem znaleźć ślusarza Achillesa, skoczyliśmy po kefir, odbiliśmy, rozstawiliśmy figury... Ja proponuję gambit królowej, on się zgadza, wszystko idzie jak należy... Ja - „e4”, on - „c6”... - Mówię do niego - no, módl się. I wtedy - jak się zacznie... Nie ma pan czasem papierosa?

Pierec dał mu papierosa.

- A co to za ucieczka? - zapytał. - I dokąd my jedziemy?

- Ucieczka najzwyczajniejsza - powiedział Woldemar zapalając papierosa. - Każdego roku mamy takie ucieczki. Inżynierom uciekła maszyna. Więc rozkaz - wszyscy mają łowić. O, tam łowią...

Osiedle skończyło się. Po oświetlonym księżycem pustkowiu snuli się ludzie. Wyglądało to jak zabawa w ciuciubabkę - szli na przygiętych nogach, szeroko rozstawiając ręce. Oczy mieli zawiązane. Jeden z rozmachem wpadł na słup i krzyknął - pewnie z bólu - natomiast pozostali jednocześnie stanęli i zaczęli ostrożnie kręcić głowami.

- Co roku taki cyrk - mówił Woldemar. - Mają tam fotokomórki, najróżniejszą akustykę i cybernetykę, ponastawiali darmozjadów strażników co krok - a jednak każdego

roku jakaś maszyna ucieka. Wtedy mówią - rzucaj wszystko i szukaj. A komu się chce szukać? Kto ma ochotę się w to wdawać, pytam? Przecież, jeśli ją zobaczysz chociaż kątem oka - koniec. Albo cię ześlą na inżyniera, albo zagonią gdzieś w las, na najdalszą bazę grzyby konserwować w spirytusie, żebyś - Boże broń - się nie wygadał. No więc ludzie wycwanają się, jak kto potrafi. Jeden sobie oczy zawiąże, żeby nie widzieć, drugi inaczej kombinuje. A kto ma więcej oleju w głowie, po prostu lata i krzyczy z całej siły. Komuś sprawdzi dokumenty, u kogoś przeprowadzi rewizję albo po prostu wlezie na dach i tam się wydziera. Niby coś robi, a ryzyko żadne...

- A my co, też teraz łowimy? - zapytał Pierec.

- A jakże, oczywiście, łowimy. Ludzie łowią, to i my i my - jak wszyscy. Sześć godzin będziemy łowić, według zegarka. Jest zarządzenie - jeżeli w przeciągu sześciu godzin zbiegły mechanizm nie zostanie odnaleziony, to zdalnie wysadza się go w powietrze, żeby wszystko było jak trzeba. Bo, nie daj Boże, jeszcze wpadnie w niepowołane ręce. Widział pan, co się wyprawia w Zarządzie! No więc to jeszcze małe piwo, zobaczy pan, co tam się będzie działo za sześć godzin. Przecież nikt nie wie, gdzie ta maszyna zalaźła. Może ci wpełzła do kieszeni? A ładunek ma założony potężny, żeby z pełną gwarancją... W zeszłym roku znalazła się w łaźni, a do łaźni napchało się pełno ludzi, uważali, że tam będzie najbezpieczniej. Łaźnia, myślą, miejsce mokre, na uboczu... Ja tam też byłem. Gdzie, jak gdzie, ale w łaźni, myślę... „Przez okno mnie wyrzuciło miękko, jakby na fali. Nawet mrugnąć nie zdążyłem, siedzę w zaspie, a nad moją głową przelatują płonące belki...

Teraz dookoła była równina, wątpa trawka, mętne światło księżyca, rozjeżdżona, biała droga. Po lewej stronie, tam gdzie został Zarząd, znowu konwulsyjnie miotają się światła.

- Jednego tylko nie rozumiem - powiedział Pierec. - Jak my ją będziemy łowić? Przecież nawet nie wiemy, co to takiego jest... Imiała czy duża, ciemna czy jasna...

- A to pan zaraz zobaczy - obiecał mu Woldemar. - Ja panu za jakieś pięć minut pokaże, jak łowią mądry ludzie. Gdzie to jest, do diabła... Przegapiłem... Pewnie skręciłem w lewo... O, tu jest skład aparatury, to znaczy, że powinniśmy w prawo...

Ciężarówka zjechała z drogi, zakołysała się na wybojach. Zostawili skład po lewej stronie - szeregi ogromnych, jasnych kontenerów niczym martwe miasto na równinie.

Zapewne nie wytrzymała. Trzęśli ją na wibratorze, męczyli przemysłnie, grzebali we wnętrzościach, przepalali cienkie nerwy lutownicą, dusiła się w smrodzie kalafonii, zmuszali ją do robienia głupstw, stworzyli ją po to, żeby robiła głupstwa, doskonalili ją, aby robiła jeszcze głupsze głupstwa, a wieczorem zostawiali ją, umęczoną, wypraną z sił, w suchym, przegrzanym pokoju. I wreszcie postanowiła odejść, chociaż zdawała sobie sprawę ze

wszystkiego - i z tego, że sama jest skazana, i z tego, że ucieczka jest daremna. Więc odeszła, niosąc w sobie śmiertelny ładunek, i stoi teraz gdzieś tam w cieniu, miękko przestępując pajęczymi nogami, patrzy, słucha i czeka... I teraz na pewno jest już dla niej zupełnie jasne to, czego się przedtem zaledwie domyślała - że wolność nie istnieje bez względu na to, czy drzwi są przed tobą zamknięte, czy otwarte, że wszystko jest chaosem i bzdurą, a realna jest tylko samotność.

- A! - powiedział z zadowoleniem Woldemar. - To właśnie ona, moja najmiłsza.

Pierec otworzył oczy, ale zdążył tylko zobaczyć przed sobą rozległą, ciemną kałużę, nawet nie kałużę, a po prostu bagno, usłyszał, jak zaryczał silnik, potem spiętrzyła się i opadła na przednią szybę wielka fala błota. Silnik ponownie dziko zawył i umilkł. Nagle zrobiło się bardzo cicho.

- I o to właśnie chodziło - powiedział Woldemar. - Wszystkie sześć kół zabuksowało. Jak mydło w misce. Jasne? - wepchnął niedopałek w popielniczkę i uchylił drzwi od swojej strony. - Tu jest jeszcze ktoś - oznajmił i wrzasnął: - Hej, przyjacielu, co słysząc?

- W porządku - dobiegło z zewnątrz.

- Złapałeś?

- Katar złapałem! - doleciało z zewnątrz. - Und pięć kijanek.

Woldemar mocno zatrzaskał drzwi, zapalił światło w kabinie, spojrzął na Piereca, mrugnął do niego, wyciągnął spod siedzenia mandolinę, skłonił głowę na prawe ramię i zaczął szczypać struny.

- Niech pan się rozgości wygodnie - powiedział gościnnie. - Zanim nadejdzie rano, zanim przyślą ciągnik...

- Dziękuję - pokornie powiedział Pierec.

- Nie przeszkadzam? - uprzejmie zapytał Woldemar.

- Nie, nie - powiedział Pierec. - Proszę bardzo...

Woldemar odrzucił głowę, przewrócił oczami i zaśpiewał smutnym głosem:

*Tęsknota moja nie ma kresu ni granicy
Samotny błąkam się zmęczony i szalony
Czemu rzuciłaś mnie na rogu tej ulicy
I czemu tak brutalnie zostałem odtrącony...*

Błoto powoli spływało z przedniej szyby i można już było zobaczyć lśniąca w księżycu kałużę i dziwnego kształtu samochód tkwiący w samym jej środku. Pierec

włączył wycieraczki i po jakimś czasie stwierdził ze zdumieniem, że w grzęzawisku, zanurzona po wieżyczkę, stoi znajoma pancierka.

Teraz z kim innym żyjesz roześmiana

A ja samotny, zmęczony i szalony.

Woldemar z całej siły uderzył w struny, sfalszował i zakasłał.

- Hej, przyjacielu! - dobiegło z zewnątrz. - Zakąska jest?

- A bo co? - odchrząknął Woldemar.

- Bo kefir jest!

- Nie jestem sam!

- Ładujcie się wszyscy! Wystarczy dla wszystkich!

Mamy zapasy - wiedzieliśmy, na co idziemy!

Szofer-Woldemar odwrócił się do Piereca:

- A co? - powiedział z zachwytem. - Idziemy? Napijemy się kefiru, może w tenisa zagramy... co?

- Nie gram w tenisa - powiedział Pierec.

Woldemar krzyknął:

- Zaraz będziemy! Tylko łódkę nadmuchamy!

Szybko, jak małpa, wylazł z kabiny i zaczął krzątać się w skrzyni samochodu, szcękając tam żelastwem, upuszczając coś i wesoło pogwizdując. Potem rozległ się plusk, skrobanie o burtę i głos Woldemara gdzieś z dołu zawołał: „Gotowe, panie Pierec! Niech pan skacze, tylko proszę zabrać mandolinę!” Na dole, na lśniącej powierzchni rzadkiego błota leżała nadmuchiwana łódka, a w niej, jak gondolier, z szeroko rozstawionymi nogami, z dużą saperską łopatą, stał Woldemar i z radosnym uśmiechem patrzył w górę, na Piereca.

...W starej, zardzewiałej, pamiętającej jeszcze czasy Verdun pancerce było tak gorąco, że aż zbierało się na mdłości, śmierdziało rozgrzanym olejem napędowym i gazami spalinowymi, płonęła mętna żarówka nad żelaznym stolikiem dowódcy, na którym ktoś wydrapał nieprzyzwoite napisy, pod nogami chlupotało błoto, nogi marzły, pogięta, blaszana szafka na amunicję była zapchana butelkami kefiru, wszyscy mieli na sobie nocną bieliznę, drapali się rozczapierzonymi łapami w owłosione piersi, wszyscy byli pijani, stękała mandolina i strzelec pokładowy we flanelowej koszuli, dla którego nie było już miejsca na dole, strzepywał z góry popiół z papierosów, czasem sam spadał plecami na dół i za każdym razem powtarzał: „Pardon, pomyliłem się...” i wtedy, rechocząc, podsadzano go z powrotem.

- Nie - powiedział Pierec. - Dziękuję, Woldemarze, zostanę tutaj. Muszę zrobić przepierkę... a poza tym jeszcze się dziś nie gimnastykowałem.

- A - powiedział Woldemar z szacunkiem - jeśli tak, to inna sprawa. W takim razie ja popłynę, a kiedy pan uwinie się z praniem, niech pan od razu zawoła, przyjedziemy po pana... Poproszę tylko o mandolinę.

Odplynał z mandoliną, a Pierec został i teraz siedział i patrzył, jak Woldemar na początku próbuje wiosłować łopata, ale od tego łódka tylko kręciła się w miejscu, więc zaczął odpychać się łopata jak kijem i od razu poszło lepiej. Księżyc polewał go martwym światłem i Woldemar wyglądał jak ostatni człowiek po ostatnim Wielkim Potopie, który bardzo samotny płynie między wierzchołkami najwyższych budynków i szuka ocalenia przed samotnością, ciągle jeszcze pełen nadziei. Woldemar podplynał do pancerki, zabębnił pięścią po pancerzu, ktoś się wychylił z włazu, zarżał wesoło i wciągnął go do środka głową na dół. I Pierec został sam.

Był sam jak jedyny pasażer nocnego pociągu, który telepie się trzema obdrapanymi wagonikami dogorywającą linią kolejową, w wagonie wszystko skrzypi i odpada, przez na zawsze wypaczone okna z wybitymi szybami wpada wiatr, cuchnie dymem z lokomotywy, na podłodze podskakują niedopałki, pogniecione papiery, kołysze się na haczyku zapomniany przez kogoś słomkowy kapelusz, a kiedy pociąg wjedzie na ostatnią stację, jedyny pasażer wyjdzie na spróchniały peron i nikt go nie powita, wie świetnie, że nikt go nie powita, powlecze się do domu, a w domu usmaży sobie na maszynie jajecznicę z dwóch jajek z trzydniową, pozieleniałą kiełbasą...

Pancerka nagle zatrzęsła się, zahuczała, rozplomieniła spazmatycznymi błyskami światła. Setki świetlistych, różnobarwnych nici poleciały od niej przez równinę, i w poświacie księżyca i w blasku wybuchów można było zobaczyć, jak od pancerki po gładkim lustrze błota poszły szerokie kręgi. Z wieżyczki wychylił się ktoś w bieli i natężając się, wygłosił: „Najjaśniejsi królu i królowo! Damy i kawalerowie! Honorowa salwa narodów! Wasza Wysokość, mam honor pożegnać panią, wielce miłościwa księżno Dikobello, sługa pokorny, technik-inspektor, podpis nieczytelny!...” Pancerka znowu zadygotała, zaiskrzyła światłem i znowu ucichła.

Rzucę na was lian żartoczych wszędobylskie pędy - pomyślał Pierec. - Przyjdzie dżungla i pochłonie wasze podłe plemię. Runą strzechy, zgłiszczą domów zwałą się na ziemię i porosną na zawsze kareli gorzkim ziele²

² Kipling, Księga dżungli (przekład Michał Jagiełło)

Las nadciągał, wpełzał serpentyną, wspinał się po stromej skale, na przedzie szły fale liliowej mgły, wypełzały z niej, omotując i zaciskając, miliardy zielonych macek, na ulicach rozwierały się kloaki, domy zapadały w bezdenne jeziora i skaczące drzewa stawały na betonowych pasach startowych przed zapchanymi do ostatka samolotami, gdzie leżeli w sagach ludzie, na przemian z butelkami kefiru, teczkami z szarego kartonu oznakowanymi różnymi symbolami, ciężkimi sejfami, potem rozstąpiła się ziemia pod skarpą i pochłonęła ją. I byłoby to tak właściwe, tak naturalne, że nikt nie byłby zdziwiony, wszyscy byłiby tylko przerażeni i własną zagładę przyjęliby jak sprawiedliwy odwet, na który w strachu oczekiwali już od dawna. A szofer Tuzik biegałby jak pająk między chwiejącymi się domami, szukałby Rity, żeby w końcu dopiąć swego, ale by jednak nie zdążył...

Z panczerki wyleciały trzy rakiety i wojskowy głos zaryczał: „Czołgi z prawej, okopy z lewej! Załoga, kryj się!” i ktoś od razu podchwycił bełkotliwie: „Baby z lewej, łóżka z prawej! Załoga - do łóżek!” I rozległo się rzenie i tupot, całkiem już nieczłowiecze, jakby tabun rozplodowych ogierów w tym żelaznym pudle kopał i wierzgał, poszukując wyjścia na pola, do kobył. Pierec otworzył drzwi i wyrżał. Pod nogami było trzęsawisko, głębokie trzęsawisko, ponieważ potworne koła ciężarówki po piasty tkwiły w gęstej bryi. Co prawda do brzegu było niedaleko.

Pierec przedostał się do skrzyni i długo szedł do tylnej klapy, ze szczękiem i łoskotem stąpając po dnie przeogromnego stalowego koryta w gęstym, księżycowym cieniu, wlażł na ścianę i po jednej z niezliczonych drabinek zszedł do samej wody. Czas jakiś zbierał się na odwagę, wisząc nad lodowatą ciecżą, a wreszcie, kiedy na pancerce znowu puścili serię z cekaemu, zamknął oczy i skoczył. Błoto wolno rozstąpiło się pod nim i ustępowało długo, bardzo długo, nieskończenie długo, aż wreszcie, kiedy był już zanurzony po samą pierś, poczuł pod nogami twardy grunt. Napał na błoto z całej siły, odpychał je kolanami, odpychał je dłońmi, początkowo nie mógł ruszyć z miejsca, potem znalazł sposób, ruszył i ku swojemu zdumieniu bardzo szybko znalazł się na suchym miejscu.

Dobrze byłoby gdzieś odszukać ludzi, pomyślał. Na początek po prostu ludzi - czystych, ogolonych, życzliwych i gościnnych. Nie wymagam błysków intelektu ani fajerwerków talentu. Nie zależy mi na wzniosłych ideach i poczuciu winy. Niech ktoś zwyczajnie załamię ręce na mój widok, niech ktoś inny pobiegnie napuścić wody do wanny, niech wyjmie z szafy czystą bieliznę i postawi na ogniu czajnik, i żeby nikt nie żądał okazywania dokumentów, nie domagał się życiorysu w trzech egzemplarzach z załączeniem dwudziestu zdublowanych odcisków palców, i żeby nikt, ale to nikt, nie biegł do telefonu dzwonić, gdzie należy i informować znaczącym szeptem, że oto pojawił się utyłany w błocie

nieznajomy i twierdzi - w co należy wątpić - że nazywa się Pierec, ale to chyba nie Pierec, ponieważ Pierec wyjechał na Kontynent, zarządzenie w jego sprawie zostało już wydane i jutro będzie wywieszane... I jeszcze byłoby dobrze, gdyby ci ludzie nie byli pryncypialnymi zwolennikami albo przeciwnikami czegokolwiek. Nie muszą być pryncypialnymi przeciwnikami pijaństwa, wystarczy, jeśli sami nie będą pijakami. Nie muszą być pryncypialnymi zwolennikami czystej prawdy, wystarczy, żeby nie kłamali i nie mówili obrzydliwości ani w oczy, ani za oczy. I żeby nie żądali od człowieka pełnej zgodności z jakimikolwiek ideałami, a przyjmowali go i rozumieli takim, jakim jest... Mój Boże, pomyślał Pierec, czy doprawdy chcę tak wiele?

Wyszedł na drogę i długo włókł się w kierunku świateł Zarządu. W oddali nieustannie błyskały reflektory, miały się cienie, wybuchały kłęby różnokolorowego dymu. Pierec szedł, w jego butach cmokała i chlupotała woda, podsuszone ubranie sterczało jak tektura i szeleściło, od czasu do czasu od spodni odskakiwały placki błota i plaskając spadały na ziemię i za każdym razem Pierecowi wydawało się, że właśnie zgubił portfel z dokumentami, w panice łapał się za kieszeń, a kiedy już podchodził do magazynu aparatury, poraziła go nagle straszna myśl, że dokumenty zamokły, wszystkie pieczęcie i podpisy są rozmazane, nieczytelne i podejrzone na wieki wieków. Przystanął, lodowatymi rękami wyciągnął wszystkie legitymacje i zaświadczenia, wszystkie przepustki, wszystkie kwity i zaczął oglądać je pod księżycem. I zobaczył, że nic strasznego się nie stało, że woda uszkodziła tylko jedno obszerne zaświadczenie stwierdzające, że okaziciel niniejszego przeszedł cykl obowiązkowych szczepień i jest dopuszczony do pracy na maszynach cyfrowych. Wtedy ponownie schował wszystkie papiery do portfela, starannie przekładając je banknotami, i nawet poszedł dalej, ale nagle wyobraził sobie, jak wchodzi na główną ulicę i ludzie w kartonowych maskach i krzywo przyklejonych brodach łapią go za ręce, zawiązują mu oczy, dają coś do powąchania i rozkazują: „Szukaj! Szukaj!” i mówią: „Zapamiętał pan zapach, panie Pierec?” i szcują: „Szersze, głupi, szersze!” I kiedy sobie to wszystko wyobraził, nie zatrzymując się skręcił z drogi i pochylony pobiegł do składu maszyn, dał nurka w cień ogromnych, jasnych skrzyń, nogi zaplątały mu się w coś miękkiego i z rozpędu upadł na kupę szmat i paku.

Było tu ciepło i sucho. Szorstkie ściany skrzyń okazały się gorące w dotyku i to go ucieszyło z początku, a potem zdziwiło. W skrzyniach panowała cisza, ale przypomniał sobie opowiadanie o maszynach samodzielnie wychodzących z kontenerów i zrozumiał, że trwa w nich jakieś obce życie, ale nie przestraszył się, przeciwnie, nawet znikło uczucie zagrożenia. Usiadł wygodniej, zdjął przemoczone buty i wilgotne skarpetki, wytarł nogi pakułami. Było

tu tak ciepło, tak dobrze, tak przytulnie, że pomyślał: Dziwne, czyżbym tu był sam? Czyżby nikomu nie przyszło do głowy, że znacznie lepiej siedzieć tu niż latać po pustkowiach z zawiązanymi oczami albo sterczeć w śmierdzącym błocie? Oparł się plecami o gorącą dyktę z jednej, przytknął stopy do gorącej dykty z przeciwnej strony i poczuł, że ma ochotę mruzczyć jak kot. Nad głową miał wąską szczelinę i widział pasemko nieba, białawego od księżycowej poświaty, a, na nim kilka wyblakłych gwiazdek. Gdzieś tam huczało, trzeszczało, ryczały silniki, ale Piereca nie dotyczyło to w najmniejszym stopniu.

Dobrze byłoby zostać tu na zawsze, pomyślał. Jeśli już nie mogę powrócić na Kontynent, zostanę tu na zawsze. Że niby maszyny? No to co? Wszyscy jesteśmy maszynami. Tylko że maszynami zepsutymi albo źle wyregulowanymi.

...Istnieje pogląd, panowie, że człowiek z maszyną nigdy nie dojdzie do porozumienia. I nie będziemy, obywatele, nad tym dyskutować. Również dyrektor tak uważa. A i Klaudiusz-Oktawian Domaroszczyner także podtrzymuje tę opinię. Bo przecież czym jest maszyna? Bezdusznym mechanizmem, pozbawionym pełni uczuć, który nie może być mądrzejszy od człowieka. Z jednej znowu strony struktura niebiałkowa, ale też życia nie można sprowadzić do fizycznych i chemicznych procesów, a to znaczy, że i rozum... Wtedy na trybunę wlał siwowłosy intelektualista-liryk z trzema podbródkami, a także w muszce, szarpnął bez litości swój wykrochmalony gors i łkającym głosem oznajmił: „Ja nie mogę... Ja tego nie chcę... Różowe dzieciątko bawi się grzechotką... Wierzyby płaczące pochylone nad stawem... Dziewczynki w białych fartuszkach... Czytają wiersze... płaczą... płaczą! Płaczą nad przepiękną strofą poety... Nie zgadzam się, żeby elektroniczne żelastwo zgasiło te oczy... te wargi... te młodziutkie, nieśmiałe piersiątko... Nie, maszyna przenigdy nie będzie mądrzejsza od człowieka! Dlatego, że ja... Dlatego, że my... Nie chcemy tego! I to nigdy nie nastąpi! Nigdy! Nigdy!!!” Wyciągnęły się do niego ręce ze szklankami wody, a czterysta kilometrów nad jego śnieżnymi kędziorami bezdźwięcznie, martwo, wszechwidzące przeszedł nieznośnie błyszczący automatyczny satelita, myśliwiec nafaszerowany atomowym dynamitem...

Ja także tego nie chcę, pomyślał Pierec, ale przecież nie można być takim głupim kretynem. Można, oczywiście, ogłosić kampanię w sprawie zapobieżenia zimie, odczyniać uroki rytualnym tańcem - najadłszy się muchomorów - bić w bębny, wykrzykiwać zaklęcia, ale jednak lepiej szyć kozuchy i kupować walonki... Zresztą ten siwowłosy obrońca nieśmiałych piersiątek pokrzyczy, pokrzyczy z trybuny, a potem ukradnie kochance oliwiarke od maszyny do szycia, poszuka ukradkiem jakiejś maszyny cyfrowej i zacznie oliwić śrubki, patrząc przymilnie w jej cyferblaty i z uszanowaniem chichocząc, kiedy trzepnie go prąd.

Boże, uchronij nas od siwowłosych głupich kretynów. I nie zapomnij przy tym, Boże, uchronić nas od mądrych kretynów w kartonowych maskach...

- Myślę, że to są twoje sny - odezwał się gdzieś w górze dobroduszny bas. - Wiem po sobie, że sny zostawiają niekiedy bardzo nieprzyjemny osad. Czasem nawet następuje coś w rodzaju paraliżu. Nie sposób się poruszyć, nie sposób pracować. A potem wszystko mija. Powinnaś trochę popracować. Czemu nie miałabyś popracować? I wszystkie osady roztopią się w przyjemności.

- Ach, kiedy nie mogę pracować - powiedział kapryśny cienki głos. - Wszystko mi obrzydło. Ciągłe jedno i to samo - żelazo, plastik, beton, ludzie. Mam tego po uszy. Nie daje mi to żadnego zadowolenia. Świat jest tak piękny, piękny, tak różnorodny, a ja siedzę w jednym miejscu i umieram z nudów.

- No to zmień miejsce - zaskrzypiał gdzieś z daleka jakiś kłótniwy starzec.

- Łatwo powiedzieć - zmień miejsce! Teraz właśnie jestem nie na miejscu i nadal jest mi okropnie. A tak trudno było uciec!

- No dobrze - powiedział rozważnie bas. - A czego ty chcesz? Jakoś to trudno pojąć. Czego możesz chcieć, jeśli nie chcesz pracować?

- Ach, jak ty nic nie rozumiesz! Chcę żyć pełnią życia! Chcę zobaczyć nowe miejsca, doświadczyć nowych wrażeń, przecież tu mam ciągle jedno i to samo...

- Milczeć! - ryknął ołowiany bas. - Bzdury! Ciągłe to samo - bardzo dobrze. Cel stały. Jasne? Powtórzyć!

- Ach, idźże ty ze swoimi komendami...

Rozmawiały niewątpliwie maszyny. Pierec nie widział ich i w żaden sposób nie mógł ich sobie wyobrazić, ale majaczyło mu się, że stoi za ladą sklepu z zabawkami i słucha, jak rozmawiają zabawki, znajome od dzieciństwa, tyle że potwornie wielkie i dlatego przerażające. Ten historyczny, cienki głosik należał niewątpliwie do pięciometrowej lalki Joanny. Miała pstrokatą sukienkę z tiulu, pyzată, nieruchomą twarz z wywróconymi do góry oczami, głupawo rozczapierzone ręce i sklezione palce u nóg. A basem mówił niedźwiedź, monstrualnie wielki Kubuś Puchatek bez odrobiny złości, który ledwie mieścił się w kontenerze - kosmaty, wypchany trocinami, brązowy, ze szklanymi oczami z guzików. I cała reszta to też były zabawki, ale Pierec jeszcze nie wiedział, jakie.

- Uważam, że pomimo wszystko powinnaś jednak popracować - wymruczał Kubuś Puchatek. - Ty, moja miła, weź pod uwagę, że są tu istoty, którym powiodło się znacznie gorzej niż tobie. Na przykład nasz ogrodnik. Bardzo chce pracować. Ale siedzi i rozmyśla dniem i nocą, ponieważ jeszcze nie opracował do końca planu działania. I nikt od niego nie

usłyszał słowa skargi. - Monotonna praca to także praca. Monotonna przyjemność to także przyjemność. To nie jest jeszcze powód do rozmów o śmierci lub czymś w tym rodzaju.

- Ach, trudno cię zrozumieć - powiedziała lalka Joanna. - To twierdzisz, że wszystkiemu winne są sny, to znowu nie wiadomo co. A ja mam przeczucie. Miejsca sobie nie mogę znaleźć. Wiem, że będzie straszny wybuch, rozpadnę się na mikroskopijne bryzgi i wyparuję. Wiem, widziałam...

- Milczeć! - zabrzmiał ołowiany bas. Nie ścierpię! Co ty wiesz o wybuchach? Możesz biec w stronę horyzontu z dowolną prędkością, pod dowolnym kątem. I ten, co trzeba, trafi cię z dowolnej odległości i będzie to prawdziwy wybuch, a nie jakiś tam głupawy, inteligencki dymek. Ale czy ten, co trzeba, to ja? Nikt ci tego nie powie, bo nawet gdyby chciał, to nie zdąży. Wiem dobrze, co mówię. Jasne? Powtórzyć!

W tym wszystkim było mnóstwo tępej pewności siebie. Niezawodnie był to olbrzymi, nakręcany czołg. Z identyczną, uporczywą pewnością siebie przebierał gumowymi gąsienicami, przełaząc przez podstawiony but.

- Nie wiem, co masz na myśli - powiedziała lalka Joanna. - Ale jeśli tu przybiegłam do was, do jedynek bliskich mi istot, to - według mnie - jeszcze nie oznacza, że zamierzam dla czyjejs przyjemności pędzić w kierunku horyzontu pod jakimiś kątami. I w ogóle chcę zwrócić uwagę, że nie z tobą rozmawiam... A jeśli mowa o pracy, to nie jestem chora, jestem normalna i przyjemności są mi potrzebne, jak i wam wszystkim. Ale to nie jest prawdziwa praca, to jakaś fałszywa przyjemność. Stale czekam na tę moją, autentyczną, a jej wciąż nie ma i nie ma. I ja nie wiem, o co chodzi, a kiedy zaczynam rozmyślać, to wymyślam wyłącznie jakieś głupstwa... - zaszlochała.

- No, no... - zamruczał basem Kubuś Puchatek. - W ogóle to oczywiście, oczywiście... Tak... Tylko... Hm...

- Wszystko się zgadza! - zauważył nowy głos, bardzo dźwięczny i wesoły. - Dziewczyna ma rację. Nie ma prawdziwej pracy...

- Prawdziwa praca, prawdziwa praca! - jadowicie zaskrzeczał stary. - Wokół całej złoza prawdziwej pracy. Eldorado! Kopalnie króla Salomona! Chodzą wokół mnie ze swoimi chorymi wnętrzościami, ze swoimi sarkomami, z zachwycającymi przetokami, z apetycznymi migdałkami i wyrostkami robaczkowymi, wreszcie - ze zwykłą, ale jakże pasjonującą próchnicą! Pomówmy otwarcie. Oni nam przeszkadzają, nie dają pracować. Nie wiem, na czym to polega, być może wydzielają jakiś szczególny zapach albo wytwarzają jakieś nie znane pole, ale kiedy są blisko, zaczynani popadać w schizofrenię. Rozdwajam się. Moja jedna połowa pragnie przyjemności, dąży do tego, żeby chwycić i robić to, co

konieczne, rozkoszne, upragnione, a druga wpada w prostrację i zamula wszystko odwiecznymi pytaniami - czy warto, a po co, czy to moralne... Ty, na przykład, - o tobie mówię, ty jak, pracujesz?

- Ja? - zapytał Kubuś Puchatek. - Naturalnie... A jakże inaczej? Dziwi mnie twoje pytanie, nie spodziewałem się... Kończę projektowanie helikoptera, a potem... Przecież opowiadałem, że skonstruowałem znakomity ciągnik, to była taka rozkosz... Moim zdaniem nie masz podstaw wątpić, czy pracuję.

- Ale ja nie wątpię, nie wątpię. - zaskrzypiał stary (taki obrzydliwy, szmaciany staruch, ni to goblin, ni to astrolog, w czarnej, pluszowej pelerynie naszywanej złotem) - powiedz mi tylko, gdzie jest ten ciągnik?

- Nno... Właściwie nie rozumiem... Skąd mam wiedzieć? I co mnie to obchodzi? Teraz interesuje mnie helikopter...

- O tym właśnie mowa! - powiedział Astrolog. - Nic cię nie obchodzi. Jesteś ze wszystkiego zadowolony. Nikt ci nie przeszkadza. Nawet ci pomagają! Więc urodziłeś ciągnik, zachłystując się z rozkoszy, a ludzie natychmiast odebrali ci go, żebyś się nie rozpraszał na drobiazgi, ale rozkoszował w makroskali... A ty jego zapytaj, czy mu ludzie pomagają, czy nie...

- Mnie? - zaryczał czołg. - Gównno! Milczeć! Kiedy ten, co trzeba, wchodzi na poligon i postanawia trochę poćwiczyć, nacieszyć się, przedłużyć przyjemność, ująć cel w azymutalny albo pionowy trójkąt, oni podnoszą straszny wrzask, robią okropny hałas, od którego robi się niedobrze i każdy wpadnie w rozstrój nerwowy. Ale czy powiedziałem, że każdy - to ja? Nie! Tego się nie doczekacie. Jasne? Powtórzyć!

- I ja, i ja też! - zatrzeszczała lalka Joanna. - Ile razy już zastanawiałam się, po co oni istnieją! Przecież wszystko na świecie ma swój sens, prawda? A oni, moim zdaniem, nie mają. Zapewne wcale nie istnieją, to po prostu halucynacje. Kiedy próbujesz przeanalizować ich, wziąć próbkę z dolnej warstwy, z górnej warstwy, ze środka - niezmiennie natykasz się na mur, albo chybiasz, albo nagle zasypiasz...

- Oni istnieją, co do tego nie ma wątpliwości, ty głupia histeryczko! - zaskrzypiał Astrolog. - Mają i dolną warstwę, i górną, i środek, i wszystkie te warstwy są przepełnione chorobami. Nie znam nic bardziej zachwycającego, żadne inne stworzenie nie jest skarbnicą tyłu przyjemności, co ludzie. Ale ty nie potrafisz zrozumieć sensu ich istnienia!

- Przestań tak komplikować! - powiedział dźwięczny, wesoły głos. - Oni są po prostu piękni. Patrzenie na nich to prawdziwa przyjemność. Oczywiście nie zawsze, ale - na przykład - wyobraźcie sobie ogród. Niech to będzie najwspanialszy ogród, jaki tylko może

być, ale bez ludzi nie osiągnie doskonałości, zabraknie mu wykończenia. Musi go ożywiać choćby sama obecność ludzi. Niech to będą bardzo mali ludzie z nagimi kończynami, którzy nigdy nie chodzą, tylko biegają i rzucają kamieniami... albo średni ludzie, którzy zrywają kwiaty... wszystko jedno. Nawet kosmaci ludzie, którzy biegają na czworakach. Bez nich ogród - to nie ogród...

- Znam kogoś, komu niedobrze się robi od tego bezmyślnego głędzenia - oświadczył Czołg. - Bzdury, ogrody pogarszają widoczność, a co zaś dotyczy ludzi, to temu komuś nieustannie przeszkadzali i nic dobrego po prostu nie da się o nich powiedzieć. W każdym razie wystarczy, żeby ktoś dał solidną salwę, trafił w konstrukcję, w której nie wiadomo dlaczego siedzą ludzie, żeby przepadła wszelka ochota do pracy, nastąpiła nieprzeparta senność i każdy, kto to zrobił, zasypia. Naturalnie nie mówię o sobie, ale jeśli by ktokolwiek nawet powiedział o mnie coś takiego, czy któryś z was by zaprzeczył?

- Ostatnio coś bardzo dużo mówisz o ludziach - powiedział Kubuś Puchatek. - Od czego by się nie zaczęła rozmowa, zawsze w końcu schodzi na ludzi.

- A właściwie dlaczego nie? - natychmiast rozzłościł się Astrolog. - A co tobie do tego? Oportunista! Jeśli mamy ochotę mówić, to będziemy mówić. Nie pytając cię o pozwolenie.

- Ależ proszę bardzo - ze smutkiem powiedział Kubuś Puchatek. - Po prostu kiedyś przeważnie rozmawialiśmy o żywych istotach, o przyjemnościach, o projektach, a teraz spostrzegam, że ludzie zaczynają zajmować coraz więcej miejsca w naszych rozmowach, a to znaczy, że i w myślach.

Zapadło milczenie. Pierec, starając się poruszać bezszelestnie, zmienił pozycję - położył się na boku, podciągnął kolana do brzucha. Kubuś Puchatek nie ma racji. Niech rozmawiają o ludziach, niech możliwie najwięcej rozmawiają o ludziach. Najwidoczniej bardzo źle znają ludzi i dlatego bardzo ciekawe, co mają o nich do powiedzenia. Prawda przemawia ustami dziecka. Kiedy ludzie mówią sami o sobie, to albo się przechwalają, albo wyznają swoje winy. To nudne... - Wszystkie wasze sądy są dostatecznie głupie - powiedział Astrolog. - Na przykład Ogrodnik. Mam nadzieję, że rozumiesz - jestem wystarczająco obiektywny, aby współprzeżywać przyjemności moich kolegów. Lubisz sadzić ogrody, urządzać parki. Świetnie. Cieszę się wraz z tobą. Ale powiedz, na litość, co mają z tym wspólnego ludzie? Ci, którzy podnoszą nogę przy drzewie, albo ci, którzy to robią w inny sposób? Wyczuwam tu jakiś niezdrowy estetyzm. Zupełnie tak, jak gdybym przy usuwaniu migdałków wymagał, by operowanego zawijano w kolorową szmatę...

- Jesteś po prostu oschły z natury - zauważył Ogrodnik, ale Astrolog go nie słuchał.

- Albo ty, na przykład - mówił dalej - bez przerwy machasz swoimi bombami i rakietami, obliczasz moment wyprzedzenia i bawisz się radiolokacją. Chyba wszystko ci jedno, czy w konstrukcji są ludzie, czy ich nie ma? Wydawałoby się, że powinno być odwrotnie, mógłbyś pomyśleć o swoich kolegach, powiedzmy - o mnie. Zaszywanie ran! - powiedział marząco. - Nie możecie sobie wyobrazić, co to znaczy - zaszyć przyzwoitą ranę szarpaną na brzuchu...

- Znowu o ludziach, znowu o ludziach - powiedział z wyrzutem Kubuś Puchatek. - Siódmy wieczór rozmawiamy o ludziach. Stwierdzam ze zdumieniem, że widocznie między wami i ludźmi zaistniał jakiś nie określony jeszcze, ale wystarczająco silny związek. Natura tego związku jest dla mnie absolutnie niejasna, jeśli nie liczyć ciebie, doktorze, dla którego ludzie są niezbędnym źródłem przyjemności... W ogóle wydaje mi się to nierozsądne i chyba nadszedł już czas...

- Milczeć! - zaryczał Czołg. - Czas jeszcze nie nadszedł.

- Co? - zapytał speszony Kubuś Puchatek.

- Powiedziałem, że czas jeszcze nie nadszedł - powtórzył Czołg. - Niektórzy, oczywiście, nie mogą wiedzieć, czy czas już nadszedł, czy nie - niektórzy - nie będą ich wymieniać - nie wiedzą nawet, że taki czas powinien nadejść, ale jest ktoś, kto świetnie wie, że nieuchronnie nadejdzie czas, kiedy do ludzi znajdujących się wewnątrz konstrukcji nie tylko można, ale nawet trzeba będzie strzelać! A kto nie strzela - jest wrogiem! Przystępca! Zlikwidować! Jasne? Powtórzyć!

- Domyślałem się czegoś podobnego - nieoczekiwanie miękkim głosem powiedział Astrolog. - Rany szarpane... Gazowa gangrena... Oparzenie popromienne trzeciego stopnia...

- Wszyscy ludzie to widma! - westchnęła lalka Joanna. - Jak smutno! Jak żal!

- Jeśli już w żaden sposób nie możecie przestać rozmawiać o ludziach - powiedział Kubuś Puchatek - to spróbujmy może wyjaśnić naturę tego związku. Spróbujmy myśleć logicznie...

- Jedno z dwojga - odezwał się nowy głos, nudny i miarowy. - Jeśli wspomniany związek istnieje, to dominującymi, jesteśmy albo my, albo oni.

- Głupio - powiedział Astrolog. - Jakie znowu „albo”? Oczywiście my.

- A co to znaczy „dominujący”? - zapytała lalka Joanna nieszczęśliwym głosem.

- Dominujący w tym kontekście oznacza przeważający - wyjaśnił nudny głos. - Co zaś dotyczy samego sformułowania problemu, to nie jest ono głupie, tylko jedynie słuszne, jeśli zamierzamy myśleć logicznie.

Nastąpiła pauza. Wszyscy widocznie czekali na dalszy ciąg. Wreszcie Kubuś Puchatek nie wytrzymał i zapytał: „No?”

- Nie jest dla mnie jasne, czy zamierzacie myśleć logicznie? - zapytał nudny głos.

- Tak, tak, zamierzamy - odpowiedziały maszyny.

- W takim razie, przyjmując istnienie związku za pewnik, albo oni są dla was, albo wy dla nich. Jeśli oni dla was i przeszkadzają wam działać w zgodzie z waszą naturą, to powinni być usunięci tak, jak usuwa się każdą przeszkodę. Jeśli wy dla nich, ale nie zadowala was istniejący porządek rzeczy, to również powinni być usunięci tak, jak likwiduje się każdą przyczynę niezadowalającego porządku rzeczy. To jest wszystko, co mogę powiedzieć o podstawowym problemie naszej dyskusji.

Nie padło już ani jedno słowo więcej, z kontenerów dobiegły odgłosy krzątania, skrzypienie, potrzaskiwania, jakby ogromne zabawki układały się do snu, zmęczone rozmową, i zawisło w powietrzu uczucie powszechnego skrępowania jak w towarzystwie ludzi, którzy długo dawali upust swym językom, nie szcędząc dla dowcipu ani matki, ani ojca i nagle zrozumieli, że posunęli się za daleko. „Wilgotność chyba wzrasta” - zaskrzypiał półgłosem Astrolog. - „Już to dawno zauważyłam” - zapiszczała lalka Joanna. - „To takie przyjemne - nowe dane...” - „Coś nie w porządku z moim zasilaniem - zamruczał Kubuś Puchatek. - Ogrodniku, czy nie masz zapasowego akumulatora na dwadzieścia dwa wolty?” - „Nic nie mam” - odpowiedział Ogrodnik. Potem rozległ się trzask jakby odrywanej dykty, następnie mechaniczny świst i Pierec nagle w wąskiej szczelinie nad sobą zobaczył coś, co było ruchliwe i błyszczące, wydało mu się, że ktoś zagląda w cień między skrzyniami, z przerażenia oblał go zimny pot, więc wstał, wyszedł na palcach w światło księżyca i pobiegł w kierunku drogi. Biegł ze wszystkich sił i ciągle miał uczucie, że dziesiątki dziwnych, bezsensownych ślepi odprowadzają go spojrzeniem i widzą, jaki jest mały i żalony, bezbronny na równinie otwartej dla wszystkich wiatrów, ślepi śmieją się, bo jego cień jest znacznie większy niż on sam, bo ze strachu zapomniał włożyć buty i teraz boi się po nie wrócić.

Minął most nad suchym wąwozem i już widział przed sobą peryferyjne wille Zarządu i już czuł, że brak mu tchu, że bolą go nieznośnie jego bosa palce i chciał sta(nać, kiedy przez świst własnego oddechu usłyszał za sobą tupot tysięcy nóg. I wtedy, tracąc głowę ze strachu, popędził ostatkiem sił, nie czując pod stopami ziemi, nie czując swojego ciała, odpluwając lepka, gęstą ślinę, z kompletną pustką w głowie. Księżyc pędził razem z nim nad równiną, a tupot przybliżał się i przybliżał, wtedy pomyślał: No, to już koniec, tupot dogonił go i ktoś ogromny, biały i gorący jak rozpalony koń, zjawił się obok, zasłonił księżyc, wyrwał się

naprzód i zaczął powoli się oddalać, w obłądnym rytmie wyrzucając przed siebie długie, gołe nogi, i Pierec zobaczył, że to człowiek w białych sportowych spodenkach z ciemnym pasem i w koszulce gimnastycznej z numerem „14” i wtedy przerażenie Piereca osiągnęło zenit. Wielonogi tupot za jego plecami nie milkł, słysząc było jęki i okrzyki bólu. Uciekają, pomyślał histerycznie. Wszyscy uciekają! Zaczęło się! Więc uciekają, tylko już za późno, za późno!...

Niejasno widział po obu stronach wille głównej ulicy, czyjeś zamarłe twarze i wciąż starał się utrzymać ten sam dystans między sobą a długonogim mężczyzną numer „14” o, dlatego, że nie wiedział, dokąd trzeba uciekać i gdzie jest ratunek, może gdzieś już rozdają broń, a ja nie wiem gdzie i znów zostanę na boku, ale ja nie chcę, ja nie mogę teraz zostać na boku, dlatego, że one tam w skrzyniach może i mają rację na swój sposób, ale to też moi wrogowie...

Wpadł w tłum i tłum się przed nim rozstał, przed oczami mignęła kwadratowa chorągiewka W szachownicę, rozległy się pochwalne okrzyki, ktoś znajomy pobiegł obok niego, przygadując: „Nie zatrzymywać się, nie zatrzymywać się... „Wtedy stanął, obstał go, ktoś narzucił mu na ramiona atlasowy szlafrok. Gigantofonowy głos oznajmił: „Jako drugi przybiegł Pierec z Wydziału Straży Naukowej z czasem siedem minut, dwanaście i trzy dziesiąte sekundy... Uwaga, zbliża się trzeci!”

Znajomy człowiek, który okazał się Prokonsulem, mówił: „Brawo, brawo, Pierec, w żadnym wypadku nie oczekiwałem. Kiedy wymienili pana na starcie, myślałem, że pękne ze śmiechu, a teraz widzę, że koniecznie trzeba pana dołączyć do podstawowej grupy. Niech pan teraz idzie wypocząć, a jutro na dwunastą będzie pan łaskaw na stadion. Koniecznie trzeba pokonać to? przeszkód. Puszczę pana jako reprezentanta warsztatów ślusarskich... Proszę nie oponować, załatwię z Kimem. „Pierec rozejrzał się. Dookoła było wielu znajomych i nieznajomych w kartonowych maskach. Nie opodal podrzucano w powietrze i łapano długonogiego mężczyznę, który przybiegł pierwszy. Wzlatywał pod sam księżyc sztywny jak belka, wyprostowany, przyciskając do piersi wielki, metalowy puchar. W poprzek ulicy wisiał transparent z napisem „Meta”, a pod transparentem stał, patrząc na stoper, Klaudiusz-Oktawian Domaroszczyner w czarnym, prostym palcie i z opaską na rękawie „Gł. Sędzia”. „... i gdyby pan biegł w sportowym kostiumie - gadał Prokonsul - można by ten czas zaliczyć oficjalnie. „Pierec odsunął go łokciem i na uginających się nogach poszedł przez tłum.

- ...pocić się ze strachu, siedząc w domu - mówiono w tłumie - lepiej zająć się sportem.

- To samo przed chwilą mówiłem Domaroszczynerowi. Ale tu nie chodzi o strach, myli się pan. Należało uporządkować bieganinę grup poszukiwaczy. Ponieważ i tak wszyscy biegają, niech chociaż biegają z pożytkiem...

- A czyj to pomysł? Domaroszczynera! Ten swojego nie przepuści. Talent!

- Tylko niepotrzebnie jednak biegają w kalesonach. Co innego - wypełniać w kalesonach swoją powinność - to poniekąd zaszczyt. Ale ścigać się w kalesonach - to, moim zdaniem, typowe niedopatrzenie organizacyjne. Będę o tym pisać...

Pierec wy dostał się z tłumu i na chwiejnych nogach powłókł się pustą ulicą. Było mu niedobrze, bolało w piersiach i wyobrażał sobie, jak tamci w skrzyniach wyciągają metalowe szyje ze zdumieniem patrząc na drogę, na tłum w kalesonach i z opaskami na oczach, i bezskutecznie starają się zrozumieć, jaki istnieje związek między nimi a czynnościami tego tłumu, nie mogą oczywiście zrozumieć i to, co stanowi źródło ich cierpliwości, gotowe jest wyschnąć.

W domu Kima było ciemno, płakało niemowlę.

Drzwi hotelowe okazały się zabite deskami, okna również były ciemne, a w środku ktoś chodził ze ślepą latarką i Pierec zobaczył w oknach pierwszego pietra czyjeś pobladłe twarze, wyglądające na ulicę.

Z drzwi biblioteki wystawała nieskończenie długa lufa działka z grubym hamulcem wylotowym, a na przeciwległej stronie ulicy dopalała się szopa i po pogorzelsku chodzili podświetleni purpurowym płomieniem ludzie w kartonowych maskach, z wykrywaczami min.

Pierec poszedł w stronę parku. Ale w ciemnej uliczce podeszła do niego kobieta, wzięła go za rękę i nie mówiąc ani słowa dokądś poprowadziła. Pierec nie sprzeciwiał się; było mu wszystko jedno. Ubrana na czarno, dłoń miała ciepłą i miękką, a jej biała twarz jaśniała w mroku. Alewtina, zrozumiał Pierec, wreszcie się doczekała, pomyślał z nie ukrywanym bezwstydem. I co w tym złego? Przecież czekała. Nie wiadomo z jakiego powodu, nie wiadomo, do czego jestem jej potrzebny, ale czekała właśnie na mnie..."

Weszli do domu, Alewtina zapaliła światło i powiedziała:

- Czekam tu na ciebie od dawna.

- Wiem - odpowiedział.

- Więc dlaczego minąłeś mój dom?

Rzeczywiście, dlaczego? pomyślał. Pewnie dlatego, że było mi wszystko jedno.

- Było mi wszystko jedno - powiedział.

- Dobra, to nieważne - powiedziała. - Usiądź, a ja zaraz wszystko przygotuję.

Przysiadł na brzegu krzesła, ręce położył na kolanach i patrzył, jak Alewtina odwija z szyi czarny szal i wiesza go na gwoździu - biała, pulchna, ciepła. Potem weszła w głąb mieszkania, zahuczał piecyk gazowy, połała się woda. Poczuł, że bardzo bolą go stopy, zadarł nogę i popatrzył na bosą podeszwę. Poduszcзки palców były odbite do krwi, krew zmieszała się z kurzem i zaschła w czarne strupy. Wyobraził sobie, jak c)puszcza nogi w gorącą wodę, jak na początku to bardzo boli, a potem ból ustępuje i przychodzi ukojenie. Będę dzisiaj spać w wannie, pomyślał. A ona niech przychodzi i dolewa gorącej wody.

- Chodź tu - powiedziała Alewtina.

Z trudem wstał, wydawało mu się, że jednocześnie zaskrzypiały wszystkie obolałe kości, i utykając poszedł po rudym dywanie do drzwi w korytarzu, a w korytarzu po czarno-białym dywanie tam, gdzie drzwi do łazienki były już otwarte, pracowicie huczał błękitny płomień w piecyku gazowym, lśniły kafelki i Alewtina, pochylona nad wanną, sypała do wody jakiś proszek. Potem rozbierał się, zdzierając z siebie zeszywniałą z brudu bieliznę, Alewtina zamieszała wodę w wannie i nad wodą pokazała się pierzyna piany, wyżej krawędzi uniosła się śnieżnobiała piana, zaburzył się w tej pianie, zamknął oczy z rozkoszy i bólu w nogach, a Alewtina przysiadła na brzegu wanny i patrzyła na niego z serdecznym uśmiechem, taka dobra, taka przychylna, i nikt ani słowem nie wspomniał o dokumentach.

Myła mu głowę, a on parskał, wypluwał pianę i myślał, że Alewtina ma silne i zręczne ręce, zupełnie jak jego mama, i pewnie gotuje równie smacznie jak mama, a potem zapytała: „Umyć ci plecy?” Poklepał się dłonią po uchu, żaby wytrzeć wodę i mydło, i powiedział: „No, oczywiście, a jakże inaczej!” Umyła mu plecy szorstką myjką i otworzyła prysznic.

- Poczekaj - powiedział. - Chcę jeszcze trochę po prostu poleżeć. Teraz wypuszczę wodę i naleję świeżej, a ty posiedź ze mną. Proszę.

Zakręciła prysznic, na chwilę wyszła i wróciła z taborettem.

- Dobrze mi! - powiedział. - Wiesz, jeszcze nigdy nie było mi tu tak dobrze.

- No widzisz! - uśmiechnęła się. - A za nic nie chciałeś.

- Skąd mogłem wiedzieć?

- A po co trzeba koniecznie wiedzieć z góry? Mogłeś spróbować. Co byś na tym stracił? Jesteś żonaty?

- Nie wiem - odpowiedział. - Teraz, zdaje się, już nie.

- Tak przypuszczałam. Musiałeś ją bardzo kochać. Jaka ona była?

- Jaka była? Nigdy niczego się nie bała. I była dobra. Obydwoje mieliśmy bzika na punkcie lasu.

- Jakiego lasu?

- Jak to - jakiego? Las jest jeden.

- Nasz, czy co?

- Las nie jest wasz. Jest sam dla siebie. Zresztą, być może, rzeczywiście jest nasz.

Tylko trudno to sobie wyobrazić.

- Nigdy nie byłam w lesie - powiedziała Alewtina. - Mówią, że tam jest bardzo strasznie.

- Niezrozumiałe jest zawsze straszne. Dobrze byłoby nauczyć ludzi nie bać się tego, co niezrozumiałe, i wtedy wszystko byłoby proste.

- A według mnie po prostu nie trzeba niczego wymyślać - powiedziała Alewtina. - Jeśli mniej się będzie wymyślać, wtedy na świecie nie będzie nic niezrozumiałego. A ty ciągle coś wymyślasz.

- A las? - przypomniał.

- No i co? - Las. Nie byłam tam, ale nawet gdybym tam trafiła, nie sądzę, żebym straciła głowę. Gdzie jest las, tam są ścieżki, a gdzie ścieżki, tam i ludzie, a z ludźmi zawsze się można jakoś dogadać.

- A jeżeli nie ludzie?

- Jeżeli nie ludzie, to nie mamy tam czego szukać. Trzeba” trzymać się ludzi, z ludźmi człowiek nie przepadnie.

- Nie - powiedział Pierec. - To wszystko nie jest takie proste. Ja, na przykład, z ludźmi najzwyczajniej przepadam. Ja z ludźmi niczego nie rozumiem.

- Boże, no czego, na przykład, nie rozumiesz?

- Niczego nie rozumiem. I właśnie dlatego, jeśli chcesz wiedzieć, zacząłem marzyć o lesie. Ale teraz widzę, że i w lesie nie jest łatwiej.

Pokręciła głową.

- Jaki ty jeszcze jesteś dziecinny - powiedziała. - W żaden sposób nie możesz zrozumieć, że na świecie nic nie ma oprócz miłości, głodu i dumy. Oczywiście, wszystko jest zaplątane w jeden kłębek, ale za jakąkolwiek nitkę pociągniesz, zawsze trafisz na miłość albo władzę, albo jedzenie...

- Nie - powiedział Pierec. - Tak to ja nie chcę.

- Miły mój - powiedziała cicho - a kto się będzie pytać, czy ty chcesz, czy nie... Może tylko ja jedna cię zapytam: czego ci, mój miły, potrzeba, i dlaczego tak się szarpiesz?

- Zdaje mi się, że teraz już mi niczego nie trzeba - powiedział Pierec. - Może zwiąć stąd jak najdalej, zostać antykwariuszem, albo... właścicielem knajpy. To są Wszystkie moje pragnienia.

Znowu pokręciła głową.

- Bardzo wątpię. Za bardzo wszystko komplikujesz. Trzeba ci czegoś prostszego.

Nie zaprzeczył i Alewtina wstała.

- Tu masz ręcznik - powiedziała. - A tu położyłam ci czystą bieliznę. Wyłaż, będziemy pili herbatę. Napijesz Się herbaty z malinowymi konfiturami i pójdiesz spać.

Pierec wypuścił już całą wodę i stojąc w wannie wycierał się ogromnym, włochatym ręcznikiem, kiedy zabręczały szyby i rozległa się daleka, przygłuszona detonacja. Wtedy przypomniał Sobie maszyny i głupią, histeryczną lalkę Joannę i krzyknął:

- Co to? Gdzie?

- To wysadzili w powietrze tę maszynę - powiedziała Alewtina. - Nie bój się!

- Gdzie? Gdzie wybuchła? W magazynie?

Czas jakiś Alewtina milczała, widocznie patrzyła przez okno.

- Nie - odpowiedziała wreszcie. - Dlaczego w magazynie? W parku... o, tam się dymi... A jak wszyscy teraz biegają... jak biegają...

Rozdział IX

Leżeli w krzakach, na samym skraju lasu, i poprzez liście patrzyli na wierzchołek wzgórza. Zbocza wzgórza były łagodne i gołe; a szczyt otulała Czapa liliowej mgły. Niebo nad wzgórzem było odsłonięte, wiał porywisty wiatr, pędziły szare chmury i mżył deszcz. Liliowa mgła trwała nieruchomo, jakby nie było żadnego wiatru. Było dość chłodno, a właściwie nawet zimno, oboje zmokli, przejmował ich ziąb, szczękali zębami, ale uciec już nie mogli - dwadzieścia kroków przed nimi, sztywne jak posągi, z szeroko otwartymi czarnymi ustami stały trzy martwiaki o pustych oczach i również patrzyły na wierzchołek wzgórza. Te martwiaki nadeszły pięć minut temu. Nava poczuła ich obecność i nawet poderwała się do ucieczki, ale Kandyd zasłonił jej usta dłonią i przydusił dziewczynę do ziemi. Teraz Nava trochę się uspokoiła, tylko drżała jak osika, ale już nie ze strachu, tylko z zimna, i znowu patrzyła nie na martwiaki, tylko na wzgórze.

Na wzgórzu i wokół niego działo się coś dziwnego, następowały jakieś potężne przyływy i odpływy. Z lasu, z niskim, basowym bzyczeniem wylatywały nagle gigantyczne stada much, osiągały szczyt wzgórza i znikwały we mgle. Zbocza pokryły się kolumnami mrówek i pajaków, z krzaków wylaziły setki mięczaków-ameb, nieprzeliczone roje pszczoł i os, chmary różnokolorowych żuków nieustraszenie wirowały w deszczu. Narastał szum jak w czasie burzy. Fala wznosiła się ku szczytowi, liliowy obłok pochłaniał ją, fala znikła i wtedy zniemacka zapadała cisza. Wzgórze znowu było nagie i martwe, a po jakimś czasie znowu narastał szum i huczenie, i wszystko z powrotem wytryskiwało z mgły i pędziło do lasu. Tylko mięczaki zostawały na szczycie, ale za to zamiast nich z góry spadały najnieprawdopodobniejsze, najbardziej nieoczekiwane zwierzęta - koziołkowały włochacze, kuśtykały na chwiejnych nogach niezgrabne rękojady, jeszcze inne nieznanne, nigdy nie widziane ni to zwierzęta, ni to owady, różnobarwne, wielookie, nagie, lśniące... I znowu następowała cisza, znów wszystko zaczynało się od początku, i znowu, i znowu, w przerażającym, uporczywym rytmie, z jakąś niewyczerpaną energią; wydawało się, że tak zawsze było i będzie, w tym samym rytmie, z taką samą energią... Raz rycząc straszliwie wylazł z mgły młody hippocetus, kilkakrotnie wybiegały martwiaki i niezwłocznie pędziły do lasu ciągnąc za sobą białawe smugi stygnącej pary. A nieruchomy liliowy obłok połykał i wypluwał, połykał i wypluwał, nieustannie i regularnie jak maszyna.

...Kaczonóg mówił, że Miasto stoi na wzgórzu. Być może to właśnie jest Miasto, być może oni to właśnie nazywają Miastem. Tak, z pewnością to jest Miasto. Tylko jaki jest jego sens? Po co to wszystko? I ta dziwaczna działalność... Oczekiwałem czegoś podobnego...

Zawracanie głowy, niczego takiego wcale nie oczekiwałem. Myślałem wyłącznie o gospodarzach; a gdzie oni, ci gospodarze? Kandyd spojrział na martwiaki. Martwiaki stały w poprzednich pozach, z tak samo otwartymi ustami. Być może myślę się, pomyślał Kandyd. Być może one właśnie są gospodarzami. Zapewne myślę się przez cały czas. Zupełnie oduczyłem się tutaj myślenia. Jeżeli nawet czasem pojawiają się w mojej głowie jakieś myśli, to od razu okazuje się, że w ogóle nie jestem w stanie powiązać ich ze sobą... Z mgły nie wyszedł jeszcze ani jeden mięczak. Pytanie - dlaczego z mgły nie wyszedł jeszcze ani jeden mięczak?... Nie, to nie to. Trzeba po kolei. Przecież szukam źródła jakiejś racjonalnej działalności... Źle, znowu źle. Zupełnie mnie nie interesuje rozumna działalność. Po prostu szukam kogokolwiek, kto mi pomoże wrócić do domu. Żeby mi pomógł pokonać tysiąc kilometrów lasu. Albo żeby mi chociaż powiedział, w którą stronę mam iść. Martwiaki muszą mieć gospodarzy, więc szukam tych gospodarzy, szukam źródła rozumnej działalności. Kandyd nabrał nieco otuchy - rozumowanie wydało się zupełnie sensowne. Zacznijmy od początku. Przemyślmy wszystko spokojnie i bez pośpiechu. Teraz nie pora na pośpiech, teraz jest najodpowiedniejszy moment, żeby wszystko przemyśleć spokojnie i bez pośpiechu. Zacznijmy od samego początku. Martwiaki muszą mieć gospodarzy, ponieważ martwiaki to nie ludzie i ponieważ martwiaki to nie zwierzęta. To oznacza, że martwiaki zostały wyprodukowane. Jeżeli one nie są ludźmi... A dlaczego właściwie miałyby nie być ludźmi? Kandyd potarł czoło. Przecież już rozwiązywałem ten problem. Dawno, jeszcze kiedy byłem na wsi. Nawet dwa razy go rozwiązywałem, ponieważ za pierwszym razem zapomniałem, jakie było rozwiązanie, a teraz Napomniałem, jakie jest rozumowanie...

Z całej siły potrząsnął głową i Nava cichutko syknęła na niego. Kandyd przycichł i jakiś czas leżał nieruchomo z twarzą w mokrej trawie.

...Dlaczego nie mogą być zwierzętami, też już kiedyś udowodniłem... Wysoka temperatura... Nie, zawracanie głowy... Uprzytomnił sobie nagle ze straszliwym przerażeniem, że zapomniał nawet, jak martwiaki wyglądają. Pamiętał tylko ich rozpalone ciała i przeszywający ból poparzonych dłoni. Uniósł głowę i spojrział na martwiaki. Tak. Myśleć mi nie wolno, myślenie jest dla mnie przeciwwskazane, i to właśnie teraz, kiedy powinienem myśleć intensywniej niż kiedykolwiek. „Pora coś zjeść; już mi to kiedyś opowiadałaś, Navo; pojutrze idziemy” - oto wszystko, co mi wolno. Ale przecież jednak odszedłem! Teraz pójde do Miasta. Czymkolwiek by się miało okazać - do Miasta. Mózg zarósł mi lasem. Niczego już nie potrafię zrozumieć... Przypomniałem sobie. Szedłem do Miasta po to, żeby mi to wszystko wytłumaczono - i Przewyciężenie, i martwiaki, i Wielkie Przeoranie Gleby, i jeziora z topielcami... Okazuje się, że to wszystko kłamstwo, znowu

wszystko zełgali, nikomu nie wolno wierzyć... Miałem nadzieję, że w Mieście mi wytłumaczą, jak mam się dostać do swoich, przecież starzec ciągle powtarzał: „Miasto wie wszystko”. Więc niemożliwe, żeby tam nie wiedziano o naszej stacji biologicznej, o Zarządzie. Nawet Kaczonóg bez przerwy gada o Czarcich Skałach i o latających wsiach... Ale czyż liliowy obłok może cokolwiek wyjaśnić? To byłoby straszne, gdyby gospodarzem okazał się liliowy obłok. A dlaczego „byłoby”? To już jest straszne! Posłuchaj, Mruk, wniosek nasuwa się sam - tu wszędzie gospodarzem jest liliowa mgła, czyż mogłem o tym zapomnieć? Zresztą to nie jest żadna mgła... A więc o to chodzi, więc to dlatego zagnali ludzi jak zwierzęta w chaszczę, w bagna, potopili w jeziorach, ludzie byli zbyt słabi, nie rozumieli nic, a jeżeli nawet rozumieli, to nie mogli nic zrobić, żeby przeszkodzić... Kiedy mnie jeszcze nie zagnali, kiedy jeszcze byłem w domu, ktoś udowadniał przekonywająco, że kontakt między rozumem humanoidalnym i niehumanoidalnym jest niemożliwy. Zgoda, taki kontakt jest niemożliwy. Oczywiście, niemożliwy. I teraz już nikt mi nie powie, w jaki sposób mam się dostać do domu. Mój kontakt z ludźmi jest również niemożliwy i nawet potrafię powiedzieć, dlaczego. Mogę jeszcze obejrzeć Czarcie Skały, mówią, że czasami można je zobaczyć, jeżeli w odpowiednim sezonie wdrapać się na odpowiednie drzewo, tylko że najpierw trzeba znaleźć Odpowiednie drzewo, normalne, ludzkie drzewo. Takie, które nie skacze. I nie odpycha. I nie stara się wykluć oka. Ale tak czy owak nie ma takiego drzewa, z którego mógłbym zobaczyć stację biologiczną... Stację biologiczną? Bio-lo-giczną... Zapomniałem, co to właściwie takiego - biologiczna.

Las znowu zahuczał, zabrzczał, zatrzeszczał, zaparskał, znowu na liliową kopułę runęły armie much i mrówek. Jedna chmura przeleciała nad głowami Navy i Kandyda, na krzaki spadł grad martwych i słabych owadów, znieruchomiłych i ledwie żywych, zduszonych w gęstym roju. Kandyd poczuł nieprzyjemne pieczenie i spojrzał na rękę. Jego łokieć, którym wspierał się o miękką ziemię, oplotły delikatne nici grzybni. Obojętnie stał je dłonią. A Czarcie Skały to miraż, pomyślał, nic takiego nie istnieje. Jeśli oni opowiadają o Czarcich Skałach, to znaczy, że skały są kłamstwem to znaczy, że nic, ale to nic podobnego nie istnieje, i teraz nawet nie wiem, po co ja tu właściwie przyszedłem...

Z boku rozległo się znajome przerażające chrapanie. Kandyd odwrócił głowę. Zza siedmiu drzew jednocześnie patrzył na wzgórze samotnik hippocetus. Jeden z martwiaków nagle ożył, wykręcił się i zrobił kilka kroków w kierunku hippocetusa. Znowu rozległo się chrapanie, trzasnęły drzewa i hippocetus zniknął. Nawet hippocetusy boją się martwiaków, pomyślał Kandyd. Kto się ich nie boi? Gdzie znaleźć tych, którzy się nie boją? Ryczące muchy. Głupio i bez sensu. Muchy - i ryczą. Osy też ryczą...

- Mama! - wyszeptała nagle Nava. - Mama idzie...

Stała na czworakach i patrzyła za siebie przez ramię. Twarz jej wyrażała przeogromne zdumienie i niedowierzanie. A Kandyd teraz dopiero zauważył, że z lasu wyszły trzy kobiety i nie widząc martwiaków idą w stronę pagórka.

- Mama! - zapiszczała Nava nieswoim głosem, przeskoczyła przez Kandyda i pędem pobiegła na spotkanie kobiet. Wtedy Kandyd również zerwał się na nogi i wydało mu się, że martwiaki są tuż obok i że czuje bijący od nich żar.

Trzy, pomyślał. Trzy... A wystarczyłby nawet jeden. Patrzył na martwiaki. Oto koniec „ze mną, pomyślał. Głupio. Co za lichy przyniosło te baby? Nienawidzę bab, pomyślał. Przez baby zawsze jest nie tak, jak trzeba.

Martwiaki zamknęły paszcze, a głowy ich powoli obracały się w kierunku biegnącej Navy. Potem jednocześnie zrobiły krok naprzód i Kandyd gwałtem zmusił się, aby wybiec z krzaków martwiakom na spotkanie.

- Wracajcie! - krzyknął do kobiet nie odwracając głowy. - Uciekajcie stąd! Martwiaki!

Martwiaki były ogromne, barczyste, nowiutkie, bez jednego zadrapania, bez jednej rysy. Nieprawdopodobnie długie ręce dotykały trawy. Ani na moment nie spuszczać oczu z martwiaków, Kandyd zastąpił im drogę. Martwiaki patrzyły ponad jego głową i powoli, nieubłaganie szły na niego, a Kandyd wciąż się cofał, opóźniając nieunikniony początek i nieunikniony koniec, pokonując nerwowe mdłości, i jakoś ciągle nie mógł się zatrzymać. Za jego plecami krzyczała Nava: „Mamo! To przecież ja! Nie słyszysz? Mamo!” Głupie baby, dlaczego nie uciekają? Zgłupiały ze strachu? Zatrzymaj się, mówił do siebie, zatrzymaj się wreszcie! Jak długo można się cofać? I nie mógł się zatrzymać. Tam przecież jest Nava, myślał. I te trzy idiotki. Grube, zaspane, bezmyślne idiotki... I Nava... Co one mnie obchodzą, myślał. Kaczonóg już dawno by zwał na tych swoich nogach, a Kułak tym bardziej... A ja muszę się wreszcie zatrzymać. To niesprawiedliwe. Ale ja muszę się zatrzymać! Ano stój! Nie mógł się zatrzymać, gardził sobą za to, chwalił siebie za to, nienawidził i ciągle się cofał.

Martwiaki zatrzymały się. Jednocześnie, jak na komendę. Ten, który szedł na przedzie, zastygł z uniesioną nogą, a potem powoli, jakby niezdecydowanie, opuścił ją na trawę. Martwiaki znowu otwały usta, a głowy zwróciły ku wierzchołkowi wzgórza. Kandyd ciągle jeszcze cofając się spojrział za siebie. Nava majtając nogami wisiała na szyi jednej z kobiet. Pozostałe dwie kobiety stały spokojnie obok i patrzyły. Nie na martwiaki, nie na wzgórze. I nawet nie na Kandyda, zarośniętego, obcego mężczyznę, być może złodzieja. A martwiaki stały nieruchomo, jak drewniane prymitywne posągi wrośnięte w ziemię, jakby w

całym lesie nie było już w ogóle kobiet, które należało łapać i ciągnąć gdzieś tam, gdzie im kazano. Spod nóg martwiaków, jak dym z ofiarnego ogniska, wzbijały się słupy pary.

Wtedy Kandyd zawrócił i poszedł w stronę kobiet. A raczej nie tyle poszedł, ile powlókł się, nie wiedząc już nic, nie wierząc więcej ani oczom, ani uszom, ani myślom. W czasie pulsował mu bolesny kłęb, a ciało miał zdrętwiałe po przedśmiertnym napięciu.

- Uciekajcie - powiedział jeszcze z daleka. - Uciekajcie, póki czas, dlaczego nie uciekacie? - Wiedział już, że mówi od rzeczy, ale to była inercja, inercja poczucia obowiązku, więc nadal automatycznie mamrotał: - Tu są martwiaki, uciekajcie, ja je zatrzymam...

Kobiety nie zwróciły na niego uwagi. Nie żeby nie słyszały albo nie widziały Kandyda - młodziutka dziewczyna, może dwa lata starsza od Navy, nogi miała jeszcze bardzo szczupłe i długie, spojrzała na niego i uśmiechnęła się bardzo życzliwie - ale po prostu Kandyd nic nie znaczył dla tych kobiet, jakby był wielkim psem przybłądą, który biega wszędzie bez określonego celu i gotów jest godzinami kręcić się wokół ludzi, czekając nie wiadomo na co.

- Dlaczego nie uciekacie? - cicho zapytał Kandyd. Nie oczekiwał już na odpowiedź, nikt mu też nie odpowiedział.

- Ajajaj - mówiła kobieta w ciąży, ze śmiechem kręcąc głową. - I kto by pomyślał? Może ty? - zwróciła się do dziewczyny. - Ja nie. No i co, moja kochana? - zapytała matkę Navy. - Głośno sapał? Czy po prostu wiercił się i pocił?

- Nieprawda - powiedziała dziewczyna. - On był cudowny, prawda? Był piękny jak poranek i prześlicznie pachniał...

- Jak lilia - podchwyciła kobieta w ciąży. - Od jego zapachu kręciło się w głowie, a jego łapy przejmowały dreszczem... A czy zdążyłaś przynajmniej powiedzieć „ach”?

Dziewczyna parsknęła. Matka Navy uśmiechnęła się niechętnie. Kobiety były jędrne, zdrowe i nadzwyczaj czyste, jakby umyte, zresztą istotnie były umyte - krótkie włosy miały wilgotne, a żółte workowate ubrania oblepiały ich mokre ciała. Matka Navy była najniższa wzrostem i zapewne najstarsza. Nava obejmowała ją w talii przytulając twarz do jej piersi.

- Nie wysilajcie się - powiedziała matka Navy z udanym lekceważeniem. - Co wy możecie o tym wiedzieć? Wy, które nie macie żadnego wykształcenia...

- Nie szkodzi - z miejsca odpowiedziała kobieta w ciąży. - Bo skąd możemy coś wiedzieć? Właśnie dlatego pytamy o to ciebie... Powiedz nam, proszę, jaki był korzeń miłości?

- Czy nie był zbyt gorzki? - zapytała dziewczyna i znowu parsknęła.

- Właśnie, właśnie - powiedziała kobieta w ciąży. - Owoc jest dosyć słodki, chociaż źle umyty...

- Nie szkodzi, domyjemy go jak należy - powiedziała matka Navy. - Nie wiesz, czy Pajęczy Basen już oczyścili? Czy też trzeba będzie znieść go w dolinę?

- Korzeń był gorzki - powiedziała kobieta w ciąży do dziewczyny. - Nieprzyjemnie jej o nim wspominać. To dziwne, przecież mówią, że to niezapomniane przeżycie! Słuchaj, moja kochana, a przecież on ci się śnie raz?

- To wcale nie jest dowcipne - powiedziała matka Navy. - Aż mnie zemdliło...

- A czy my żartujemy? - zdziwiła się kobieta w ciąży. - Po prostu jesteście ciekawe.

- Ty tak pasjonująco opowiadasz - powiedziała dziewczyna błyskając zębami - opowiedz nam coś jeszcze...

Kandyd chciwie próbując odnaleźć jakiś ukryty sens tej rozmowy, nic nie rozumiał. Widział tylko, że tamte dwie szydzą z matki Navy, że matka Navy czuje się dotknięta, że stara się to ukryć albo zmienić temat rozmowy, i - że to się jej w żaden sposób nie udaje. A Nava uniosła głowę, patrzyła na rozmawiające przenosząc wzrok z jednej kobiety na drugą.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że ty sama urodziłaś się w jeziorze - powiedziała matka Navy do kobiety w ciąży z nie ukrywaną już irytacją.

- O nie - odparła tamta. - Ja nie zdążyłam otrzymać tak wszechstronnego wykształcenia, ale moja córka - kobieta poklepała się po brzuchu - urodzi się w jeziorze. Na tym właśnie polega różnica.

- Czego się przyczepiłaś do mamy, ty gruba starucho? - nagle odezwała się Nava. - Najpierw sobie się przyjrzyj, zobacz, jak wyglądasz, a potem się czepiaj! Bo inaczej poskarżę się mojemu mężowi i on ci tak przyleje kijem po tyłku, że przestaniesz się czepiać...

Wszystkie trzy kobiety roześmiały się.

- Mruk! - wrzasnęła Nava. - Dlaczego one się ze mnie śmieją?

Wciąż jeszcze śmiejąc się kobiety popatrzyły na Kandyda. Matka Navy - ze zdziwieniem, kobieta w ciąży - obojętnie, a dziewczyna, niejasne jak, ale zdaje się, z zaciekawieniem.

- Jaki Mruk? - zapytała matka Navy.

- To mój mąż - powiedziała Nava. - Widzicie, jaki sympatyczny? On mnie uratował przed złodziejami...

- Jaki znowu mąż? - nieprzyjaźnie zapytała kobieta w ciąży. - Nie zmyślaj, mała.

- Sama nie zmyślaj - natychmiast odparła Nava. - Czego się wtrącasz? Co cię to obchodzi? Jeśli chcesz wiedzieć, to ja z tobą w ogóle nie rozmawiam. Rozmawiam z mamą. Wtrąca się jak nasz staruch, bez pytania, bez pozwolenia...

- A ty co? - zapytała Kandyda kobieta w ciąży. - Ty co, rzeczywiście jesteś jej mężem?

Nava ucichła. Matka mocno objęła ją ramionami i przytuliła do siebie. Patrzyła na Kandyda ze strachem i odrazą.

Tylko dziewczyna nadal się uśmiechała, a uśmiech jej był tak czuły i serdeczny, że Kandyd zwrócił się właśnie do niej:

- Ależ skąd - powiedział. - Jaka tam żona. Raczej córka. - Chciał opowiedzieć, że Nava pielęgnowała go w chorobie, że bardzo ją kocha, że ogromnie się cieszy, że wszystko tak dobrze i szczęśliwie się kończy, chociaż on, Kandyd, nic zupełnie nie rozumie.

Ale dziewczyna zniecierpliwiona parsknęła śmiechem i roześmiana zamachała rękami.

- Od razu tak sobie pomyślałam - wyjęczała. - To nie jej mąż, tylko jej! - pokazała na matkę Navy. - To... jej... mąż! Oj, nie wytrzymam!

Na twarzy kobiety w ciąży pojawiło się wesołe zdumienie i z demonstracyjną uwagą obejrzała Kandyda od stóp do głów.

- Ajaj-jaj... - zaczęła poprzednim tonem, ale matka Navy powiedziała nerwowo:

- Przestańcie wreszcie! To nudne! Idź stąd! - zwróciła się do Kandyda. - Idź, idź, na co czekasz? Idź do lasu!

- Kto by pomyślał - cicho i śpiewnie powiedziała kobieta w ciąży - że korzeń miłości może okazać się tak gorzki... tak brudny... kosmaty... - dostrzegła wściekle spojrzenie matki Navy i machnęła na nią ręką. - Już, już skończyłam - powiedziała. - Nie gniewaj się, moja kochana. To tylko żarty. Jesteśmy po prostu bardzo zadowolone, że odnalazłaś córeczkę. To przecież nieprawdopodobne szczęście...

- Weźmiemy się w końcu do roboty czy nie? - zapytała matka Navy. - Czy nadal będziemy tracić czas na gadanie?

- Idę, nie gniewaj się - powiedziała dziewczyna - Teraz właśnie nastąpi przyływ.

Skinęła głową, znowu uśmiechnęła się do Kandyda i lekko pobiegła z boczem pod górę. Kandyd patrzył jak biegnie: precyzyjnie, sprawnie, nie po kobiecemu. Dziewczyna wybiegła na szczyt i nie zwalniając tempa skryła się w liliowej mgle.

- Pajęczy Basen jeszcze nie jest oczyszczony - z z troską powiedziała kobieta w ciąży. - Te wieczne kłopoty z budowniczymi... No i co teraz?

- Nie szkodzi - powiedziała matka Navy. - Przespacerujemy się w dolinę.

- Rozumiem, ale to jednak trochę bez sensu - męczyć się, nieść prawie dorosłego człowieka do samej doliny, kiedy mamy własny basen.

Gwałtownie wzruszyła ramionami i nagle skrzywiła się.

- Może byś usiadła - powiedziała matka Navy, poszukała czegoś wzrokiem i pstryknęła palcami na martwiaka.

Martwiak natychmiast ruszył z miejsca, podbiegł ślizgając się po trawie z pośpiechu, padł na kolana i nagle jakoś dziwacznie wygiął się, spłaszczył i rozplynał.

Kandyd zamrugał powiekami - martwiaka nie było, był wygodny miękki fotel. Kobieta w ciąży sapiąc z ulgą usiadła i wtuliła głowę w miękkie oparcie.

- Żeby już prędzej - wymruczała z zadowoleniem wyprężając nogi - żeby już prędzej...

Matka Navy przykucnęła przed córką i zaczęła patrzeć jej w oczy.

- Wyrośłaś - powiedziała. - Zdziczałaś. Cieszysz się?

- No oczywiście - powiedziała niepewnie Nava. - Przecież jesteś moją mamą. Każdej nocy widziałam cię we śnie... A to jest Mruk, mammo... I Nava zaczęła opowiadać.

Kandyd rozglądał się zaciskając szczęki. To wszystko nie było majaczeniem, jak miał początkowo nadzieję. To było niezmiernie zwyczajne, naturalne, tylko do tej chwili jeszcze mu nie znane, ale czy mało nieznanych rzeczy jest w lesie? Należało do tego przywyknąć, jak przywykł do szumu w głowie, do jadalnej ziemi, do martwiaków i do innych rzeczy. Gospodarze, pomyślał. To są gospodarze. One niczego Się nie boją. Rozkazują martwiakom. To znaczy, że są tu gospodarzami. To znaczy, że to one wysyłają martwiaki po kobiety. Spojrzał na wilgotne włosy kobiet. To znaczy... I matka Navy, matka, którą porwały martwiaki...

- Gdzie się kąpiecie? - zapytał. - Po co? Kim jesteście? Czego chcecie?

- Co? - zapytała kobieta w ciąży. - Posłuchaj, moja kochana, on o coś pyta.

Matka powiedziała do Navy:

- Poczekaj chwileczkę, nic przez ciebie nie słyszę... Mówiłaś coś? - zapytała kobietę w ciąży.

- To ten koziołek - odparła kobieta w ciąży. - On czegoś chce.

Matka Navy spojrzała na Kandyda.

- Czego on może chcieć? - zapytała. - Na pewno chce jeść. Oni przecież zawsze chcą jeść i jedzą strasznie dużo, to zupełnie niepojęte, po co im tyle jedzenia, przecież nic nie robią...

- Koziołek - powiedziała kobieta w ciąży. - Biedny koziołek chce trawki. Be-e-e-e! A wiesz - zwróciła się do matki Navy - to przecież jest człowiek z Białych Skał. Nawiasem mówiąc, takich jak on spotyka się teraz coraz częściej. Jak oni stamtąd schodzą?

- Trudniej zrozumieć, jak oni tam włączą. Jak schodzą, sama widziałam. Spadają. Niektórzy zabijają się, a niektórzy jeszcze potem żyją...

- Mamo - przerwała jej Nava - dlaczego tak brzydko na niego patrzysz? To przecież Mruk! Powiedz mu coś miłego, bo inaczej będzie mu przykro. Dziwne, że do tej pory się nie obraził,- ja na jego miejscu dawno bym się obraziła...

Wzgórze znowu zahuczało, czarne chmury owadów przesłoniły niebo. Kandyd nie słyszał nic, widział tylko, jak poruszają się wargi matki Navy, która o czymś przekonywała córkę, jak poruszają się wargi kobiety w ciąży zwróconej do niego, i widział wyraz jej twarzy, taki jakby rzeczywiście rozmawiała z domowym kozłem, który wlaźł do jej ogrodu. A potem huczenie umilkło.

-... tylko strasznie brudny - mówiła kobieta w ciąży. - I jak ci nie wstyd? - odwróciła się i teraz patrzyła na wzgórze.

Z liliowej chmury na czworakach wyłaziły martwiaki. Poruszały się niepewnie, niewprawnie, co chwila padały uderzając głowami o ziemię. Między nimi spacerowała dziewczyna, pochylała się, popychała je, poganiała i martwiaki, jeden za drugim, stawały pionowo, początkowo potykając się, a potem coraz pewniej maszerowały do lasu. Gospodarze, powtarzał sobie Kandyd. Gospodarze. Nie wierzę. Co robić? Spojrzał na Navę. Nava spała. Matka siedziała na trawie, a Nava zwinięta w kłębek spała trzymając ją za rękę.

- Jakies takie niewydarzone - powiedziała kobieta w ciąży. - Znowu trzeba wszystko czyścić. Patrz, jak się potykają... Z takimi pracownikami nie zakończymy Przewyciężenia.

Matka Navy coś jej odpowiedziała i rozpoczęła się rozmowa, której Kandyd nie rozumiał. Pojmował tylko oddzielne słowa, jak w majaczeniach Uchacza. Dlatego po prostu stał i patrzył, jak dziewczyna schodzi w dół wlokąc za łapę niezgrabnego rękojada. Po co ja tu stoję, myślał, czegoś od nich chciałem, to przecież gospodarze... Nie mógł sobie przypomnieć.

- Stoję sobie i koniec - powiedział głośno ze złością. - Nie odganiają mnie już, więc stoję.

Kobieta w ciąży spojrzała na niego przelotnie i odwróciła się.

Podeszła dziewczyna, coś powiedziała wskazując na rękojada i obie kobiety zaczęły z uwagą oglądać potwora, kobieta w ciąży nawet nieco uniosła się z fotela. Ogromny rękojad, postrach wiejskich dzieci, pisał żałośnie, słabo się wrywał i bezsilnie rozwierał straszliwe

rogowe szczęki. Matka Navy schwyciła go za dolną szczękę i silnym, zdecydowanym ruchem wykręciła ją. Rękojad chlipnął i zamarł, oczy zaciągnęła mu półprzeźroczysta błona. Kobieta w ciąży mówiła:... najwidoczniej brakuje... zapamiętaj, dziecko... słabe szczęki, oczy otwierają się tylko do połowy... z pewnością nie wytrzyma i dlatego jest bezużyteczny, a może nawet szkodliwy, jak każda pomyłka... - trzeba oczyścić, zmienić miejsce, a tutaj wszystko wyrzucić... wzgórze... bardzo sucho i kurz... - mówiła dziewczyna. -... las zatrzymuje się... a tego jeszcze nie wiem... opowiadałyście mi zupełnie inaczej... a ty sama spróbuj - mówiła matka Navy - to widać od razu... spróbuj, spróbuj!

Dziewczyna odciągnęła rękojada, cofnęła się o krok i popatrzyła na potwora. Tak jakby składała się do strzału. Twarz dziewczyny była poważna i napięta. Rękojad chwiał się na niezgrabnych łapach, smętnie poruszał jedną szczęką i słabo skrzypiał. „Sama widzisz” - powiedziała kobieta w ciąży. Dziewczyna podeszła do rękojada i przykucnęła przy nim, opierając dłonie na kolanach. Rękojad zadygotał febrycznie i nagle upadł rozplaszczając łapy, jakby po nim przejechał walec. Kobiety roześmiały się. Matka Navy powiedziała:

- No, przestań już, dlaczego nam nie wierzysz?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Stała nad rękojadem i obserwowała, jak powoli i ostrożnie podgina pod siebie łapy i próbuje wstać. Rysy jej stały się ostre. Gwałtownym ruchem podniosła rękojada, postawiła go na łapy i zrobiła taki gest, jakby chciała go objąć ramionami. Między jej palcami poprzez tułów rękojada przepłynął strumień liliowej mgły. Rękojad zapiszczał, zwinął się, zamachał łapami. Próbował uciec, wyrwać się, uratować, ale dziewczyna szła za nim złowieszczo pochylona i rękojad upadł nienaturalnie splatając łapy, i skręcił się w supeł. Kobiety milczały. Rękojad był już pstrokatym kłębkem śluzu, a wtedy dziewczyna odeszła od niego i powiedziała patrząc w bok:

- Paskudztwo...

- Czyścić trzeba, czyścić - powiedziała wstając kobieta w ciąży. - Zajmij się tym, nie warto odkładać. Wszystko zrozumiałaś?

Dziewczyna skinęła głową.

- Wobec tego my już pójdziemy, a ty od razu zaczynaj.

Dziewczyna zawróciła i poszła z boczem wzgórza w liliową mgłę. Przystanęła na chwilę obok pstrokatego kłębka, złapała słabo drgającą łapę i ruszyła dalej, ciągnąc kłębek za sobą.

- Przesławna druhna - powiedziała kobieta w ciąży. - Zuch.

- Będzie zarządzać - powiedziała matka Navy, również wstając. - Ma charakter. No cóż, trzeba iść...

Kandyd ledwie słyszał ich słowa. W żaden sposób nie mógł oderwać oczu od czarnej kałuży, która została w miejscu, w którym poległ rękojad. Ona go nawet palcem nie tknęła, nie dotknęła go, po prostu stała nad nim i robiła, co chciała... Taka miła, delikatna, serdeczna... Nawet go nie dotknęła... Czy do tego też trzeba przywyknąć? Tak, pomyślał. Trzeba. Zobaczył, jak matka Navy i kobieta w ciąży ostrożnie stawiają Navę na nogi, biorą za ręce i prowadzą w las, na dół, w stronę jeziora. Nawet go nie zauważyły, nic mu nie powiedziały. Znowu spojrzął na kałużę. Poczł się mały, żalorny i bezradny, ale jednak podjął decyzję i pobiegł za kobietami, dogonił je i spocony, ze strachu szedł dwa kroki za nimi. Coś gorącego napierało na niego od tyłu. Kandyd obejrzał się i uskoczył w bok. Tuż za nim szedł ogromny martwiak, ciężki, rozżarzony, bezszelestny, niemy. No-no-no, pomyślał Kandyd, przecież to tylko robot, sługa. Brawo, powiedział do siebie, brawo, przecież sam do tego doszedłem. Zapomniałem, jak do tego doszedłem, ale to nieważne, ważne, że zrozumiałem, pojąłem. Wszystko wziąłem pod uwagę i zrozumiałem... Mam mózg, jasne? - powiedział sam o sobie patrząc w plecy kobiet. - Nie macie powodu do pychy... Ja też coś niecoś potrafię.

Kobiety rozmawiały o jakimś człowieku, który zabrał się do nie swojej roboty i dlatego stał się pośmiewiskiem. Coś je rozbawiło, śmiały się. Szły lasem i śmiały się. Jakby szły wiejską drogą w odwiedzinach do sąsiadki. A wokół był las i pod stopami była nawet nie ścieżka, tylko gęsta jasna trawa, w takiej trawie zawsze rosną drobne, niedostrzegalne kwiatki, te kwiatki rozrzucają zarodniki, które przenikają pod skórę i potem kielkują. Kobiety chichotały, gadały i plotkowały, a Nava szła między nimi i spała, ale one zrobiły coś takiego, że szła dosyć pewnie i prawie się nie potykała... Kobieta w ciąży obejrzała się przelotnie, zobaczyła Kandyda i powiedziała z roztargnieniem:

- Jeszcze tu jesteś? Wracaj do lasu, do lasu... Po co idziesz za nami?

Tak, pomyślał Kandyd. Po co? Czego ja od nich chcę? A przecież czegoś chcę, czegoś się muszę dowiedzieć... Nie, to nie to... Nava! - przypomniał sobie nagle. Zrozumiał, że Navę utracił. Na to już nie ma rady. Nava odchodzi ze swoją matką, i słusznie, Nava odchodzi do gospodarzy. A ja? Ja zostaję. Więc po co w takim razie idę za nimi? Odprowadzam Navę? Przecież ona śpi, została uspiona. Ogarnął go smutek. Żegnaj, Nava, pomyślał.

Dotarli do rozwidlenia ścieżki, kobiety skręciły na lewo, w kierunku jeziora. Jeziora z topielcami... To one są topielcami. Znowu wszystko się poplątało, pokręciło. Minęli to miejsce, w którym Kandyd czekał na Navę i jadł ziemię. To było bardzo dawno, pomyślał Kandyd, prawie tak dawno jak stacja biologiczna... Bio...logiczna. Szedł z trudem i gdyby na pięty nie następował mu martwiak, dawno zostałby w tyle. Potem kobiety przystanąły i

popatrzyły na Kandyda. Wokół rosły trzciny, ziemia pod nogami była ciepła i bagnista. Nava stała z zamkniętymi oczami, chwiała się ledwie dostrzegalnie, a kobiety patrzyły na Kandyda z zadumą. Wtedy sobie przypomniał.

- Jak mam trafić na stację biologiczną? - zapytał.

Na twarzach kobiet pojawiło się zdumienie i wtedy uprzytomnił sobie, że przemówił w swoim ojczystym języku. Sam się zdziwił, zapomniał już, kiedy ostatni raz mówił w tym języku.

- Którędy mam iść do Białych Skał? - zapytał.

Kobieta w ciąży powiedziała z uśmiechem:

- Oto czego chce ten koziołek, okazuje się... - mówiła nie do niego, mówiła do matki Navy. - To zabawne, jak oni nic nie rozumieją. Żaden z nich nic nie rozumie. Wyobrażasz sobie, jak oni idą do Białych Skał i trafiają w Strefę Walk?

- Gnią tam za życia - powiedziała matka Navy z dumą. - Idą i gniją, i nawet nie dostrzegają, że nie idą, tylko drepczą w miejscu... A zresztą niech idzie, dla Przewyciężenia to nawet korzystne. Zgnije - bardzo dobrze. Rozpłynie się - jeszcze lepiej... - A może on jest uodporniony? - Jesteś uodporniony? - zapytała Kandyda.

- Nie rozumiem - odpowiedział Kandyd głosem, w którym nie było nadziei.

- Moja droga, o co ty go pytasz? Jak on może być uodporniony?

- Na tym świecie wszystko jest możliwe - odparła matka Navy. - Słyszałam o podobnych wypadkach.

- To nie sprawdzone plotki - powiedziała kobieta w ciąży. Znowu uważnie obejrzała Kandyda. - A wiesz - powiedziała - być może tutaj będzie z niego więcej pożytku... Pamiętasz, co wczoraj mówiły Wychowawczynie?

- A-a - powiedziała matka Navy. - Może masz rację... niech... niech zostanie.

- Tak, tak, zostań - nagle odezwała się Nava. Nie spała już i również czuła, że dzieje się coś niedobrego. - Zostań, Mruk, nigdzie nie odchodź, po co masz teraz odchodzić? Przecież chciałeś do Miasta, a to jezioro to właśnie Miasto, prawda, mamó? A może obraziłeś się na mamę? Nie obrażaj się, mama jest dobra, tylko dzisiaj, nie wiem czemu, jest zła... Pewnie przez ten upał...

Matka wzięła ją za rękę. Kandyd zobaczył, jak wokół jej głowy szybko zgęstniał znajomy liliowy obłoczek, a oczy na moment stały się szkliste, opuściła powieki, a potem powiedziała:

- Chodźmy, Nava, czekają już na nas.

- A Mruk?

- On zostanie tutaj... W Mieście nie ma absolutnie nic do roboty.

- Ale ja chcę, żeby on był ze mną! Jak ty możesz nie rozumieć, przecież to mój mąż, dali mi go za męża, on już od dawna jest moim mężem...

Obie kobiety skrzywiły się.

- Chodźmy, chodźmy - powiedziała matka Navy. - Ty jeszcze nic nie rozumiesz... On nikomu nie jest potrzebny, on jest bezużyteczny, oni wszyscy są bezużyteczni, oni są omyłką... No, chodźmy wreszcie! No dobrze, potem tło niego przyjdiesz... jeżeli zechcesz.

Nava opierała się, zapewne czuła to samo, co Kandyd - że rozstają się na zawsze. Matka ciągnęła ją za rękę w trzciny, a Nava ciągle oglądała się i wołała:

- Nie odchodź, Mruk! Ja szybko wrócę, nie waż się odejść beze mnie, to będzie nieładnie, po prostu nieuczciwie! Nawet jeżeli nie jesteś moim mężem, bo im się to, nie wiem dlaczego, nie podoba, to ja i tak jestem twoją żoną, pielęgnowałam cię w chorobie, teraz czekaj na mnie! Słyszysz? Czekaj!

Patrzył w ślad za nią, słabo machał jej dłonią, potakująco kiwał głową i starał się uśmiechać. Żegnaj, Nava, myślą. Żegnaj. Stracił je z oczu, zostały tylko trzciny, ale głos Navy było jeszcze słyhać, a potem Nava zamilkła, rozległ się plusk i wszystko ucichło. Przełknął kłębek w gardle i zwrócił się do kobiety w ciąży:

- Co z nią zrobicie?

Kobieta ciągle jeszcze patrzyła na niego z uwagą.

- Co z nią zrobimy? - powtórzyła z zadumą. - To nie twoja sprawa, koziołku, co z nią zrobimy. W każdym razie mąż jej więcej nie będzie potrzebny. I ojciec również... Ale co zrobić z tobą? Ty przecież jesteś z Białych Skal i nie możemy cię wypuścić ot, tak sobie...

- Czego chcecie? - zapytał Kandyd.

- Czego chcemy? Mężów nam w każdym razie nie trzeba. - Zauważyła spojrzenie Kandyda i zaśmiała się szyderczo. - Nie trzeba, nie trzeba, uspokój się... Spróbuj choć raz w życiu nie być kozłem. Spróbuj wyobrazić sobie świat bez kozłów - mówiła nie myśląc, a raczej myśląc o czymś innym. - A do czego jeszcze się nadajesz? Powiedz mi, koziołku, co ty umiesz?

Coś się kryło za jej słowami, za jej tonem, za pogardliwą i obojętną wyniosłością - coś ważnego, nieprzyjemnego i strasznego, ale sprecyzować to było trudno; Kandyd nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie czarne kwadratowe drzwi i Carla z dwiema kobietami - podobnie obojętnymi i wyniosłymi.

- Czy ty mnie słuchasz? - zapytała kobieta w ciąży. - Co umiesz robić?

- Nic nie umiem - ospale odpowiedział Kandyd.

- Być może umiesz zarządzać?

- Kiedyś umiałem - odpowiedział Kandyd. A idźże do diabła, pomyślał, czego się do mnie przyczepiłaś? Pytam cię, jak mam iść do Białych Skał, a ty się czepiasz... Zrozumiał nagle, że się jej boi, bo inaczej dawno by odszedł. Kobieta była tu gospodarzem, a on był żalonym, brudnym i głupim koziołkiem.

- Kiedyś umiałeś - powtórzyła. - Rozkaż temu drzewu, żeby upadło!

Kandyd spojrział na drzewo. Było to wielkie grube drzewo z włochatym pniem zwieńczonym potężną koroną. Wzruszył ramionami.

- Dobrze - powiedziała kobieta. - Więc zabij to drzewo... też nie możesz? A czy w ogóle możesz sprawić, żeby to, co żywe, stało się martwe?

- Zabić?

- Niekoniecznie zabić. Zabić nawet rękojad potrafi. Sprawić, żeby żywe stało się martwe. Zmusić żywe, żeby stało się martwe. Umiesz?

- Nie rozumiem - powiedział Kandyd.

- Nie rozumiesz... A więc co wy tam robicie na tych Białych Skałach, jeśli nawet tego nie rozumiesz? A z martwego zrobić żywe, też nie umiesz?

- Nie umiem.

- A więc co ty umiesz? I co robiłeś na Białych Skałach, póki nie spadłeś? Po prostu żarłeś i plugawiłeś kobiety?

- Badałem las - odparł Kandyd.

Kobieta popatrzyła na niego surowo.

- Nie waz się kłamać. Jeden człowiek nie może badać lasu ani na przykład Słońca. Jeżeli nie chcesz mówić prawdy, to powiedz od razu.

- Kiedy ja rzeczywiście badałem las - powiedział Kandyd. - Badałem... - stropił się. - Badałem najmniejsze istoty, które są w lesie. Te, których nie widać gołym okiem.

- Znowu kłamiesz - cierpliwie powtórzyła kobieta. - Nie można badać tego, czego się nie widzi.

- Można - powiedział Kandyd. - Potrzebne są tylko... znowu się zająknął - mikroskop... soczewki... aparaty... Tego nie sposób przekazać. Tego nie da się wytłumaczyć. Jeżeli wziąć kroplę wody - powiedział - to mając odpowiednie przedmioty można zobaczyć w niej tysiące tysięcy maleńkich zwierzątek...

- Do tego nie są potrzebne żadne przedmioty - powiedziała kobieta. - Widzę, że popadliście w rozpustę na tych waszych Białych Skałach, z tymi waszymi martwymi rzeczami. Degenerujecie się. Już dawno zauważyłam, że straciliście zdolność widzenia tego,

co widzi w lesie każdy człowiek, nawet brudny mężczyzna... Poczekaj... czy ty mówisz o tych małych, czy o najmniejszych? Może mówisz o budowniczych?

- Być może - powiedział Kandyd. - Ja cię nie rozumiem. Myślę o maleńkich zwierzątkach, które sprowadzają chorobę, ale którymi można też leczyć, które pomagają robić jedzenie, których jest bardzo wiele i które są wszędzie... Chciałem zobaczyć, jakie one są u was w lesie, jak są zbudowane i co potrafią...

- A na Białych Skalach one są inne - sarkastycznie powiedziała kobieta. - Zresztą dobrze, już zrozumiałam, czym się zajmujesz. Nad budowniczymi oczywiście żadnej władzy nie masz. Każdy wiejski przygłupek potrafi więcej niż ty... Co z tobą począć? Przecież sam tu przyszedłeś...

- Ja już sobie pójdę - powiedział Kandyd ze zmęczeniem. - Pójdę już, żegnaj.

- Nie, poczekaj... Stój, mówię ci! - krzyknęła kobieta i Kandyd poczuł rozpalone kleszcze ściskające od tyłu jego łokcie. Szarpnął się, ale to było bez sensu. Kobieta myślała głośno: - Ostatecznie przyszedł sam. Bywają takie przypadki. Jeżeli go wypuścić, wróci do swojej wsi i stanie się całkowicie bezużyteczny... Łapanie ich nie ma sensu. Ale jeżeli sami przychodzą... Wiesz, co z tobą zrobię? - zapytała Kandyda. - Oddam cię Wychowawczyniom do nocnych zajęć. Ostatecznie były już udane przypadki... Do Wychowawczyń, do Wychowawczyń! - kobieta machnęła dłonią i niespiesznie, przewalając się z nogi na nogę, weszła w trzciny.

I Wtedy Kandyd poczuł, że coś zawraca go na ścieżkę. Łokcie mu zdrętwiały, miał wrażenie, że już są zwęglone. Szarpnął się z całej siły i kleszcze zwarły się jeszcze mocniej. Nie rozumiał, co z nim będzie i gdzie go zaprowadzą, kim są owe Wychowawczynie, co to za nocne zajęcia, ale przypomniał sobie to, co widział najstraszniejszego - widmo Carla wśród szlochającego tłumu i rękojada zwijającego się w pstrokaty kłębek. Wykorzystał moment i kopnął martwiaka - kopnął do tyłu, na ślepo, desperacko, wiedząc, że drugi raz już mu się to nie uda. Noga ugrzęzła w czymś miękkim i gorącym, martwiak chrapnął i osłabił uchwyt. Kandyd upadł twarzą w trawę, poderwał się, odwrócił głowę i krzyknął - martwiak szedł na niego, szeroko rozstawiając nieprawdopodobnie długie ręce. A nie było pod ręką ani trawomora, ani zacieru, ani kija, ani kamienia. Grząska ciepła ziemia rozstępowała się pod nogami. Potem Kandyd coś sobie przypomniał, wsunął dłoń za pazuchę i kiedy martwiak zawisł nad nim, uderzył go skalpelem gdzieś między oczy i, nie patrząc, ciężarem całego ciała pociągnął ostrze z góry na dół, do samej ziemi, i znowu upadł.

Leżał wtulając policzek w trawę i patrzył na martwiaka, który stał chwiejąc się, powoli otwierał się jak walizka na całej długości pomarańczowego tułowia, a potem runął na

wznak, zalewając wszystko dookoła gęstą białą ciecżą; parę razy zadygotał i zamarł. Wówczas Kandyd wstał i człapiąc odszedł ścieżką. Jak najdalej stąd. Niewyraźnie pamiętał, że chciał tu na kogoś czekać, czegoś się chciał dowiedzieć. Ale teraz to wszystko nie miało znaczenia. Trzeba było uciec jak najdalej, chociaż zdawał sobie sprawę, że uciec mu się nie uda. Ani jemu, ani wielu, wielu innym.

Rozdział X

Nie było widać lasu. Zamiast lasu, pod skałą do samego horyzontu leżały gęste obłoki. Wyglądało to jak zaśnieżone pole lodowe - lodowe piargi, śniegowe wydmy i szczeliny kryjące bezdenną głębinę - a jeśli zeskoczyć ze skały na dół, to nie ziemia, nie ciepłe mokradła, nie rozłożyste gałęzie zatrzymają cię, tylko twardy, iskrzący się w porannym słońcu lód przyprószony suchym śniegiem i będziesz leżał na lodzie, w słońcu, płaski, czarny, nieruchomy. I jeszcze, jeśli się zastanowić, było to podobne do starej, dobrze wypranej białej narzuty, rzuconej na wierzchołki drzew...

Pierec rozejrzał się dookoła, znalazł kamyk, przerzucił go parę razy z ręki do ręki i pomyślał, że to mimo wszystko bardzo miłe miejsce na tym urwisku - i kamyki tu są, i nie czuje się Zarządu, dookoła dzikie, cierniste krzewy, nie zdeptana, wypalona słońcem trawa, jakiś ptak pozwala sobie ćwierkać, nie trzeba tylko patrzeć na prawo, gdzie nachalnie błyszczy w słońcu świeżą farbą wisząca nad urwiskiem wykwintna latryna na cztery oczka. Co prawda, jest do niej dosyć daleko i przy pewnym samozaparciu można sobie wyobrazić, że to altana albo jakiś tam pawilon naukowy, ale jednak lepiej, żeby jej nie było.

Być może właśnie z powodu tej nowiutkiej, wzniesionej ostatniej, niespokojnej nocy latryny las przykrył się obłokami. Raczej nie, zresztą. Las nie będzie się opatulał, aż po sam horyzont, z powodu takiej drobnostki, nie takie rzeczy już mu ludzie robili.

W najgorszym razie, pomyślał Pierec, mogę tu przychodzić każdego rana. Będę robić, co mi każą, będę liczyć na zepsutym „Mercedesie”, przewycięzać tor przeszkód, będę grać w szachy z menadżerem i nawet spróbuję polubić kefir - to nie musi być takie trudne, jeśli większości ludzi to się udało. A wieczorami (i na noc) - będę chodzić do Alewliny, jeść konfitury z malin i leżeć w dyrektorskiej wannie. W tym jednak coś jest - pomyślał - wycierać się dyrektorskim ręcznikiem, otulać się dyrektorskim szlafrokiem, grzać stopy w dyrektorskich wełnianych skarpetkach. Dwa razy w miesiącu będę jeździć na stację biologiczną po pensję i premię, nie do lasu, a właśnie na stację, i nawet nie na stację, a do kasy, nie na spotkanie z lasem, nie na wojnę z lasem, tylko po pensję i po premię. A rankiem, wczesnym rankiem będę tu przychodzić i patrzeć z daleka na las, i rzucać w niego kamykami.

Krzaki za plecami rozchyliły się z trzaskiem. Pierec obejrzał się ostrożnie, ale to nie był dyrektor, tylko znowu Domaroszcyner. Z grubą teczką w ręku zatrzymał się nie opodal, patrząc na Piereca z góry na dół wilgotnymi oczami. Wyraźnie coś wiedział, coś bardzo ważnego i przyniósł tu, nad urwisko, swoją dziwną, trwożną nowinę, której oprócz niego nie

znał nikt na świecie, i jasne było, że wszystko, co działo się do tej pory, nie ma już żadnego znaczenia i każdy będzie musiał dać z siebie wszystko, na co go stać.

- Dzień dobry - powiedział Domaroszcyner i ukłonił się, przyciskając teczkę do biodra. - Dzień dobry Jak się panu spało?

- Dzień dobry - odpowiedział Pierec. - Dziękuję.

- Wilgotność wynosi dzisiaj siedemdziesiąt sześć procent - oznajmił Domaroszcyner.

- Temperatura - siedemnaście stopni. Bezwietrznie. Zachmurzenie - zero pięć stopnia. - Zbliżył się bezszelestnie, w postawie zasadniczej pochylił tułów nad Pierecem i mówił dalej: - Dablju dzisiaj jest równe szesnastu...

- Jakie „dablju”? - zapytał, wstając, Pierec.

- Liczba plam - szybko odpowiedział Domaroszcyner. Oczy zaczęły mu biegać. - Na Słońcu - powiedział. - Na S-S-Sło... - zamilkł nagle, uważnie patrząc Pierecowi w twarz.

- A po co mi pan to mówi? - zapytał Pierec nieprzyjaźnie.

- Proszę wybaczyć - szybko powiedział Domaroszcyner. - Więcej się nie powtórzy.

A więc na przyszłość tylko wilgotność, zachmurzenie, siła wiatru... hm... i... o „pozycjach planet też każe pan przestać meldować?

- Niech pan posłucha - powiedział Pierec ponuro. - Czego pan chce ode mnie?

„Domaroszcyner odstąpił dwa kroki i skłonił głowę.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Możliwe, że przeszkadzam, ale jest kilka pism, które wymagają... że tak „powiem - natychmiast... pana osobistej... - wyciągnął do Piereca teczkę jak pustą tacę. - Rozkaże pan referować?

- Wie pan co... - powiedział Pierec groźnie.

- Tak, tak? - zapytał Domaroszcyner. Nie wypuszczając teczki zaczął spieszenie grzebać po kieszeniach, jakby szukał notesu. Twarz mu posiniała jakby z wysiłku.

Głupiec, co za głupiec, pomyślał Pierec, starając się wziąć w garść. Ale czego mam po nim oczekiwać?

- Głupio - powiedział, opanowując się, na ile go stać. - Jasne? Głupio i wcale nie dowcipnie.

- Tak - tak - powiedział Domaroszcyner. Pochylony, przytrzymując łokciem teczkę przy biodrze, wściekle szybko pisał coś w notesie. - Chwileczkę... Tak-tak?

- Co pan tam wypisuje? - zapytał Pierec.

Domaroszcyner spojrzał na niego z przerażeniem i przeczytał:

„Piętnastego lipca... czas - siódma czterdzieści pięć... miejsce - urwisko...

- Niech pan posłucha, Domaroszczyner - powiedział Pierec z rozdrażnieniem. - Czego, u diabła, chce pan ode mnie? Czego się pan bez przerwy za mną włóczy? Mam tego dosyć! (Domaroszczyner pisał). Pańskie żarty są idiotyczne i szpiegować mnie nie ma po co. Doprawdy wstyd, żeby dorosły człowiek... Niech pan przestanie pisać, idioto! To głupie! Lepiej by się pan pogimnastykował albo umył, niech pan popatrzy na siebie w lustrze! Tfu!

Palcami drżącymi z furii zaczął zapinać rzemyki sandałów.

- To prawda, co mówią - sapał - że wszędzie się pan kręci i zapisuje wszystkie rozmowy. Myślałem, że to takie głupie żarty się pana trzymają... Nie chciałem wierzyć, w ogóle nie znoszę takich rzeczy, ale widocznie pańska bezczelność przekroczyła już wszelkie granice...

Wyprostował się i zobaczył, że Domaroszczyner stoi w pozycji „bacność”, a po twarzy spływają mu łzy.

- Co się dzisiaj z panem dzieje? - zapytał przestraszony Pierec.

- Ja nie mogę... - wymamrotał Domaroszczyner pochlipując.

- Czego pan nie może?

- Gimnastykować się... Mam wątrobę... zaświadczenie... i myć się...

- O mój ty Boże - powiedział Pierec. - Jak pan nie może, to nie trzeba, tak tylko powiedziałem... No i czego, doprawdy, łązi pan za mną? Niechże pan, na miłość boską, zrozumie, że to bardzo nieprzyjemne... Nie mam nic przeciwko - panu, ale proszę zrozumieć.

- Więcej się nie powtórz - z entuzjazmem zawołał Domaroszczyner. Łzy na jego policzkach błyskawicznie wyschły. - Nigdy!

- A idź pan! - powiedział ze znużeniem Pierec i poszedł przez krzaki. Domaroszczyner przedzierał się w ślad za nim. Stary pajac, pomyślał Pierec, nawiedzony...

- Nadzwyczaj pilne - mamrotał Domaroszczyner, ciężko dysząc. - Wyłącznie skrajna konieczność... Pańska osobista opinia.

Pierec obejrzał się.

- Co, u diabła? - krzyknął. - To jest moja walizka, proszę oddać, skąd ją pan wziął?

Domaroszczyner postawił walizkę na ziemi, otworzył nawet wykrzywione brakiem tchu usta. Pierec nie zamierzał go słuchać, tylko złapał rączkę walizki. Wtedy Domaroszczyner, który nie zdążył nic powiedzieć, padł brzuchem na walizkę.

- Oddać walizkę! - powiedział Pierec, lodowaciejąc z furii.

- Za nic! - wychrypiał Domaroszczyner, buksując kolanami w żwirze. Teczka przeszkadzała mu, więc wziął ją w zęby i oburącz objął walizkę. Pierec szarpnął z całej siły i oderwał rączkę.

- Niech pan przestanie się wygłupiać! - powiedział. - Natychmiast!

Domaroszczyner pokręcił głową i coś zabecztał. Pierec rozpiął kołnierzyk i rozejrzał się niepewnie. Opodał, w cieniu dębu, stali nie wiadomo dlaczego dwaj inżynierowie w kartonowych maskach. Kiedy zauważyli jego spojrzenie, wyprężyli się i trzasnęli obcasami. Wtedy Pierec, rozglądając się dokoła jak zaszczute zwierzę, spieszenie poszedł ścieżką do wyjścia z parku. Rozmaicie bywało, myślał gorączkowo, ale to już zupełnie... Już się zmówili... trzeba uciekać... uciekać! Tylko jak? Wyszedł z parku i skręcił do stołówki, ale na jego drodze znowu pojawił się Domaroszczyner, brudny, straszny. Stał z walizką na ramieniu, jego sina twarz była zalana ni to łzami, ni to wodą, ni to potem, oczy, zasłane białą błoną, błądziły, a papierową teczkę ze śladami kłów tulił do piersi.

- Pan będzie łaskaw nie tędy... - wychrypiał. - Błagam... do gabinetu... nadzwyczaj pilne... a przy tym, w interesie subordynacji...

Pierec uskoczył przed nim i pobiegł główną ulicą. Ludzie na chodnikach stali jak słupy, odrzucając głowy i przewracając oczami. Ciężarówka, pędząca z przeciwka, zahamowała z dzikim piskiem, rąbnęła w kiosk z gazetami, z platformy wysypali się ludzie z łopatami i zaczęli ustawiać się w dwuszeregu. Jakiś strażnik przeszedł obok marszowym krokiem, prezentując broń.

Pierec dwukrotnie usiłował skręcić w boczną uliczkę i za każdym razem pojawiał się przed nim Domaroszczyner. Domaroszczyner nie był już w stanie mówić, tylko becztał i warczał błagalnie, wznosząc oczy ku niebu. Wtedy Pierec pobiegł w stronę gmachu Zarządu. Kim, myślał gorączkowo. Kim nie pozwoli... Czyżby i Kim? Zamknę się w wychodku... niech spróbują... Będę kopać... teraz już wszystko jedno...

Wpadł do westybulu i natychmiast zbiorcza orkiestra z miedzianym szczękiem zagrzmiała powitalnym marszem. Mignęły twarze pełne napięcia, wybałuszone oczy, wypięte piersi Domaroszczyner dopadł go i popędził frontowymi schodami, wyścielonymi malinowym chodnikiem, po którym nigdy nikomu nie pozwalano chodzić, przez jakieś nieznanne sale o podwójnych rzędach okien, obok strażników w odświętnych mundurach i przy orderach, po wywoskowanym, śliskim parkiecie, na górę, na trzecie piętro i dalej przez galerię z portretami, i znowu na górę, na czwarte piętro, obok wymalowanych panienek, zastygłych jak manekiny, do jakiegoś urządzonego z przepychem hallu, oświetlonego jarzeniówkami, do gigantycznych, obitych skórą drzwi z tabliczką „Dyrektor”. Dalej nie było już dokąd uciekać.

Domaroszczyner odpędził go, prześliznął mu się pod łokciem, zachrypiał okropnie, jak epileptyk, i otworzył przed nim skórzane drzwi. Pierec wszedł, stopy ugrzęzły mu w

potwornej tygrysiej skórze, sam zatonął doszczętnie - w surowym dyrektorskim półmroku na wpół zasuniętych portier, w szlachetnym aromacie drogiego tytoniu, w ciszy, jak w puszystej wacie, w równomiernym spokoju obcego istnienia.

- Dzień dobry - powiedział w przestrzeń. Ale nikt nie siedział za gigantycznym biurkiem. I nikt nie siedział w olbrzymich fotelach. I nikt nie przywitał go spojrzeniem oprócz męczennika Seliwana na potwornych rozmiarów obrazie, zajmującym całą boczną ścianę.

Z tyłu Domaroszczyner z hukiem upuścił walizkę. Pierec wzdrygnął się i obejrzał. Domaroszczyner stał, chwiejąc się, i podawał mu teczkę jak pustą tacę. Oczy miał szklane, martwe. Zaraz weźmie i umrze, pomyślał Pierec. Ale Domaroszczyner nie umarł.

- Nadzwyczajnie pilne... - wychrypiął, łapiąc oddech.

- Bez parafy dyrektora nie można... osobistej... nigdy bym się nie ośmielił...

- Jakiego dyrektora? - wyszeptał Pierec. Straszny domysł zaczął niejasno formułować się w jego mózgu.

- Pana... - chrypiął Domaroszczyner. - Bez pańskiej parafy... w żadnym razie...

Pierec oparł się o biurko i trzymając się jego polerowanego blatu dowlókl się okrężną drogą do fotela, który wydał mu się najbliższy. Upadł w jego chłodne, skórzane objęcia i zauważył, że po lewej stronie stoi nieskończenie wiele kolorowych telefonów, po prawej tomy książek ze złożonymi tytułami - a na wprost monumentalny kałamarz, wyobrażający Tannhausera i Wenus, zaś nad nimi wiszą białe, błagalne oczy Domaroszczynera i wyciągnięta teczka. Zacisnął ręce na oparciu fotela i pomyślał: Ach tak? Dranie, ściierwa, lokajskie dusze... tak? No, łajdaki, kanalie, włazidupy, kartonowe mordy... No dobra, niech tak będzie...

- Niech pan nie trzęsie teczką nad biurkiem - powiedział surowo - proszę ją podać.

W gabinecie zrobił się jakiś ruch, mignęły cienie, zakołował lekki wicher i Domaroszczyner ukazał się tuż obok, za prawym ramieniem, i teczka legła na biurku, otwarła się jakby sama z siebie, wyrzały z niej arkusze znakomitego papieru i Pierec przeczytał słowo wydrukowane wersalikami: „PROJEKT”.

- Dziękuję - powiedział surowo. - Może pan iść.

Znowu zerwał się wicher, nadleciał i znikł lekki zapach potu, i Domaroszczyner był już przy drzwiach, cofając się z rękami przyciśniętymi do boków, zgięty w ukłonie, straszny, żaloszny i gotowy na wszystko.

- Chwileczkę - powiedział Pierec. Domaroszczyner zamarł. - Czy pan może zabić człowieka?

Domaroszczyner nie wahał się. Wyciągnął błyskawicznie mały notesik i powiedział:

- Słucham pana?

- A popełnić samobójstwo? - zapytał Pierec.

- Co? - zapytał Domaroszczyner.

- Niech pan idzie - powiedział Pierec. - Później pana zawezwę.

Domaroszczyner przepadł. Pierec odkaslnął i potarł dłońmi policzki.

- Założmy - powiedział na głos. - I co dalej?

Zobaczył leżący na biurku kalendarz, przewrócił stroniczkę i przeczytał to, co było zapisane na dzisiaj. Charakter pisma poprzedniego dyrektora rozczarował go. Dyrektor pisał dużymi literami, wyraźnie jak nauczyciel kaligrafii: „Kiergrup. 9.30. Przegląd nogi 10.30. Puder dla Ali. Kefir-zefir prób. Mechanizacja. Szpula - kto ukraść? Cztery spychacze!!!”

Do diabła ze spychaczami, pomyślał Pierec. Koniec - żadnych więcej spychaczy, żadnych koparek, żadnych piłokombajnów wykorzenia... Dobrze byłoby za jednym zamachem wykastrować Tuzika - szkoda, że nie można... I jeszcze ten skład maszyn. Wysadzę w powietrze, postanowił. Wyobraził sobie Zarząd - widok z lotu ptaka - i zrozumiał, że bardzo wiele trzeba będzie wysadzać w powietrze. Zbyt wiele... Wysadzać i kretyn potrafi, pomyślał.

Wyciągnął środkową szufladę biurka i zobaczył tam stosy papierów, nie zatemperowane ołówki, dwa filatelistyczne ząbkomierze - a na samym wierzchu wężykowaty generalski naramiennik. Jeden naramiennik. Poszukał - drugiego, macając pod papierami, ukłuł się pinezką i znalazł pęk kluczy od sejfu. Sam sejf stał w odległym kącie, bardzo dziwny sejf udający serwantkę. Pierec wstał, przemierzył gabinet i podszedł do sejfu i, rozglądając się, dostrzegł wiele bardzo dziwnych rzeczy, których poprzednio nie zauważył.

Pod oknem stał kij hokejowy, obok niego kula i proteza nogi w bucie z zardzewiałą łyżwą. W głębi gabinetu były jeszcze jedne drzwi, w poprzek których wisiał naciągnięty sznurek, na sznurku schły czarne slipy i kilka - skarpetek, niektóre dziurawe. Na drzwiach wisiała pociemniała metalowa tabliczka z wygrawerowanym napisem: „BYDŁO”. Na parapecie stało na wpół zasłonięte portierą niewielkie akwarium - w czystej, przezroczystej wodzie wśród różnokolorowych wodorostów rytmicznie poruszał krzaczastymi skrzelami, tłusty, czarny aksolotl. A spoza obrazu przedstawiającego Seliwana wystawał kapelmistrzowski buńczuk z końskimi ogonami.

Pierec długo majstrował przy zamku sejfu, dobierając klucze. Ale w końcu otworzył ciężkie, pancerne drzwiczki. Od wewnątrz drzwiczki oklejono nieprzyzwoitymi fotosami z pism tylko dla mężczyzn, a w sejfie właściwie niczego nie było. Pierec znalazł binokle z rozbitym lewym szkiełkiem, wygniecioną cyklistówkę z niepojętym godłem i fotografię nie

znanej mu rodziny (ojciec szczyrzy zęby, matka - buzia w ciup i dwóch chłopców w mundurach szkoły kadetów). Było tam jeszcze parabellum, wyczyszczone i zadbane, z jedynym nabojem w lufie, jeszcze jeden generalski naramiennik i żelazny krzyż z dębowymi liśćmi. Ponadto w sejfie leżała kupa kartonowych teczek, ale wszystkie okazały się puste i tylko w ostatniej, na samym dole, spoczywał projekt upomnienia dla szofera Tuzika za systematyczne uchylanie się od zwiedzania Muzeum Historii Zarządu, „Dobrze mu tak, łajdakowi - wymamrotał Pierec. - Pomyśleć tylko, nie chodzi do muzeum... Ta sprawa musi mieć dalszy ciąg.”

Wciąż ten Tuzik, co to jest, u diabła? Świat się na nim kończy, czy co? To znaczy, w jakimś sensie może się i kończy... Kefiroman, wstrętny dziwkarz, robi lewe kursy. Zresztą wszyscy szoferzy robią lewe kursy... Nie, z tym trzeba skończyć - kefir, szachy w godzinach pracy. Nawiasem, to wszystko oblicza Kim na zepsutym „Mercedesie”? Albo może tak trzeba - jakieś tam procesy stochastyczne... Słuchaj, Pierec, mam wrażenie, że wiesz bardzo mało. Przecież wszyscy pracują. Prawie nikt się nie miga. Tyrają po nocach. Wszyscy są zajęci, nikt nie ma czasu. Polecenia są wykonywane, to akurat wiem, sam widziałem. Niby wszystko w porządku - strażnicy pełnią straż, inżynierowie budują, naukowcy piszą artykuły, kasjerzy wypłacają pieniądze... Słuchaj, Pierec, pomyślał, a może ta cała karuzela właśnie po to istnieje, żeby ludzie pracowali? Bo rzeczywiście - dobry mechanik naprawi maszynę w dwie godziny. No a co potem? A pozostałe dwadzieścia dwie godziny? A jeśli do tego przy maszynach pracują doświadczeni robotnicy, którzy tych maszyn nie psują? Narzuca się samo - dobrego mechanika zrobić kucharzem, a kucharza - mechanikiem. Tym Sposobem nie tylko dwadzieścia dwie godziny - dwadzieścia dwa lata można zapełnić. Nie, jednak jest w tym jakaś logika. Wszyscy pracują, wypełniają swój ogólnoludzki obowiązek, nie to, co jakieś tam małpy... i dodatkowo zdobywają nowe zawody... Chociaż, prawdę mówiąc, logiki nie ma w tym żadnej, kompletny burdel, a nie logika. Boże mój, ja tu stoję jak słup, a las zapaskudzają, las karczują, las przerabiają na park. Trzeba prędko coś zrobić, teraz przecież ja odpowiadam za każdy hektar, za każdego szczeniaka, za każdą rusalkę, teraz ja „odpowiadam za wszystko...”

Byle jak zatrzasnął sejf, pospiesznie rzucił się do biurka, odsunął teczkę, wziął czysty arkusz papieru z szuflady... Ale tu przecież siedzą tysiące ludzi, pomyślał. Zakorzenione tradycje, ustalone układy, przecież oni mnie wyśmiejają... - przypomniał sobie spoconego i żalosego Domaroszczynera i samego siebie w poczekalni dyrektora. - Nie, o śmiechu nie ma mowy. Będą płakać, będą się żalić... temu... mesje Achti... będą się zarzynać nawzajem. Ale nie śmiać. I to jest właśnie najstraszniejsze, pomyślał. Nie umieją się śmiać, nie wiedzą, co to

takiego i po co. Ludzie... Ludzie i ludziska, i człowieczki. Potrzebna jest demokracja, wolność przekonań, wolność przeklinania, zwołam wszystkich i powiem: śmieJCie się i przeklinajCie, przeklinajCie i śmieJCie się... Tak, będą przeklinać. Będą przeklinać z pasją, do upojenia, ponieważ tak im kazano, będą przeklinać złe zaopatrzenie w kefir, złe jedzenie w stołówce, ze szczególną namiętnością będą przeklinać dozorcę - który to już rok nie zamiata ulicy? - Szofera Tuzika będą przeklinać za systematyczne uchylanie się od łaźni, a w przerwach będą biegać do latryny nad urwiskiem... Nie, tak nie dojdę do niczego - pomyślał. - Potrzebny jest jakiś plan działania. Czym właściwie dysponuję?

Szybko i nieczytelnie zaczął pisać na kartce: „Grupa Wykorzeniań Lasu, Grupa Studiowania Lasu, Grupa Zbrojnej Straży Lasu, Grupa Pomocy Tubylczej Ludności Lasu...” Co tam jest jeszcze? Aha! „Grupa Inżynieryjnej Infiltracji Lasu”. I jeszcze... „Grupa Straży Naukowej I”. To, zdaje się, wszystko. Tak. A czym się zajmują? Dziwne, nigdy nie przychodziło mi do głowy, czym om się konkretnie zajmują. Więcej, jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby dowiedzieć się, czym w ogóle zajmuje się Zarząd. Jak można jednocześnie wykorzeniać las i ochraniać las i przy tym jeszcze pomagać miejscowej ludności... No więc tak, pomyślał. Po pierwsze - nie ma mowy o wykorzeniań. Wykorzeniań wykorzeniań. Inżynieryjną infiltrację zapewne też. Albo - niech pracują na górze. Na dole nie mają nic do roboty. Niech się zajmują swoimi maszynami, niech zbudują przyzwoitą drogę, niech zasypią to cuchnące błoto... Co nam zostaje? Zostaje Zbrojna Straż. Z wodołazami. Tak w ogóle... w ogóle, to lasu trzeba pilnować. Tylko że... - przypomniał sobie twarze znajomych strażników i z powątpiewaniem kilkakrotnie poruszył wargami. N-no tak... No dobra, powiedzmy... A Zarząd tu po co? I ja tu po co? Zlikwidować Zarząd, czy jak? - zrobiło mu się straszno i wesoło. To jest coś, pomyślał. Mogę! Zlikwiduję i koniec. Kto mnie osądzi? Jestem dyrektorem, stoję na czele. Rozporządzenie - i cześć!...

I wtedy zniemacka usłyszał ciężkie kroki. Gdzieś bardzo blisko. Dźwięknęły szkiełka na żyrandolu, zakołysały się skarpetki schnące na sznurku. Pierec wstał i na palcach podszedł do maleńkich drzwi. Tam, za drzwiami, chodził ktoś, nierówno, jakby się potykał, ale nic więcej nie było słychać, a drzwi nie miały nawet dziurki od klucza, żeby przez nią zajrzeć. Pierec ostrożnie nacisnął klamkę, drzwi nawet nie drgnęły. „Kto tam?” - zapytał głośno, przybliżając wargi do szpary. Nikt się nie odezwał, ale kroki nie ucichły, jakby tam chodził pijany - niepewnie, potykając się o własne nogi. Pierec znowu nacisnął klamkę, wzruszył ramionami i wrócił na swoje miejsce. Tak w ogóle to władza ma swoje zalety, pomyślał. Zarządu, oczywiście, nie zlikwiduję, to byłoby głupie, po „co likwidować dobrze funkcjonującą organizację? Trzeba po prostu zmienić kurs, zająć się autentyczną robotą.

Zaprzestać inwazji na las, zintensyfikować ostrożne badanie lasu, spróbować nawiązać kontakty, zacząć się uczyć od niego. Przecież oni nawet nie rozumieją, czym jest las. Las, też mi coś! Drewno na opał... Nauczyć ludzi kochać las, szanować go, żyć jego życiem... Nie, tu jest wiele roboty. Prawdziwej, ważnej. I ludzie się znajdą - Kim, Stojan... Rita... Boże, a menadżerowi czego brakuje?... Alewtina... Koniec końców, ten Ahti to też, na pewno, jakaś ważna szyszka, mądry facet, tylko zajmuje się głupstwami... My im pokażemy, pomyślał wesoło. My im jeszcze, do diabła, pokażemy! Dobra. A w jakim stanie są nasze bieżące sprawy?

Przysunął do siebie teczkę. Na pierwszej stronie było napisane, co następuje:

PROJEKT DYREKTYWY O ZAPROWADZENIU PORZĄDKU

§ 1. W ciągu ostatniego roku Zarząd lasu w sposób istotny ulepszył swoją pracę i osiągnął wysokie wskaźniki we wszystkich dziedzinach swej działalności. Opanowano, zbadano, wykorzeniono, a także wzięto pod naukową i zbrojną straż wieleset hektarów leśnego terytorium. Nieprzerwanie rosną kwalifikacje specjalistów i szeregowych pracowników. Doskonali się organizacja, zmniejszając się nieprodukcyjne koszty, usuwa się biurokratyczne i inne pozaprodukcyjne trudności.

§ 2. Jednakże obok osiągniętych osiągnięć szkodliwe działanie Drugiego Prawa Termodynamiki, a także prawa wielkich liczb jeszcze nie przestają mieć miejsca, obniżając nieco wszechstronnie wysokie wskaźniki. Naszym najpilniejszym zadaniem staje się teraz likwidacja przypadków wprowadzających chaos, naruszających jednolity rytm i powodujących obniżenie tempa.

§ 3. W związku z powyższym proponuje się w przyszłości traktowanie przejawów wszelkiego rodzaju przypadkowości jako niesłusznych i stanowiących zaprzeczenie ideału organizacji, astyczność z przypadkowością (probabilność) - jako działanie przestępcze lub też, jeśli styczność z przypadkowością nie pociąga za sobą daleko idących skutków - jako poważne naruszenie dyscypliny służbowej i produkcyjnej.

§ 4. Winę osoby, która miała styczność z przypadkowością (probabilistyka) określa, kwalifikuje się i mierzy artykułami Statutu Karnego Nr 62, 64, 65 (z wyłączeniem pkt. „S” i „O”), 113 i 192 pkt. K. albo §§ Kodeksu Administracyjnego 12, 15 i 97.

- UWAGA. Zejścia śmiertelnego styczność z przypadkowością (probabilność) nie jest jako taka okolicznością łagodzącą lub obciążającą. W takim wypadku egzekucja wyroku dokonywana jest pośmiertnie.

§ 5. Obecna Dyrektywa wydana została... miesiąc... dzień... rok... Nie działa wstecz.

Podpis DYREKTOR ZARZĄDU (.....)

Pierec oblizwał spierzchnięte wargi i obrócił kartkę. Następny arkusz zawierał zarządzenie o oddaniu pod sąd pracownika Grupy Straży Naukowej H. Toity na podstawie Dyrektywy „O zaprowadzeniu porządku” za złośliwe podporządkowanie się prawu wielkich liczb, które wyraziło się pośliznięciem na lodzie i towarzyszącym uszkodzeniem stawu skokowego, która to przestępcza styczność z przypadkowością (probabilność) miała miejsce 11 marca bieżącego roku. Proponowano, aby pracownika H. Toity we wszystkich dokumentach nazywać odtąd „H Toity-probability”.

Pierec zazgrzytał zębami i spojrzał na następną kartkę. Było to również rozporządzenie o zastosowaniu kary administracyjnej pośmiertnej - grzywny w wysokości czteromiesięcznych poborów - wobec hodowcy psów zbrojnej straży G. de Montmerancy, który „beztrosko pozwolił sobie być trafionym wyładowaniem atmosferycznym (piorunem)”. Następnie szły podania o urlopy, prośby o jednorazowe zapomogi, uzasadnione utratą jedyne go żywiciela, i wyjaśnienie na piśmie niejakiego Ż. Lumbago w związku z zagubieniem jakiejś szpuli.

- Co u diabła! - powiedział głośno Pierec i ponownie, przeczytał projekt Dyrektywy. Spocił się. Projekt był wydrukowany na kredowym papierze ze złotym brzeżkiem. Muszę się kogoś poradzić, z rozpaczą pomyślał Pierec, inaczej przepadnę ze szczętem...

W tym momencie drzwi się otwały i do gabinetu, pchając przed sobą stolik na kółkach, weszła Alewtina, bardzo modnie i elegancko ubrana, z surową i poważną miną na umiejętnie umalowanej i przypudrowanej twarzy.

- Pańskie śniadanie - powiedziała delikatnym głosem.

- Niech pani zamknie drzwi i podejdzie - powiedział Pierec.

Zamknęła drzwi popychając nogą stolik i poprawiając włosy zbliżyła się do Piereca.

- No i co, misiaczku? - zapytała z uśmiechem. - Teraz jesteś zadowolony?

- Słuchaj! - powiedział Pierec. - To jakaś paranoja. Przeczytaj.

Usiadła na oparciu fotela, lewą, obnażoną ręką objęła Piereca za szyję, a prawą, obnażoną ręką wzięła Dyrektywę.

- Ja to znam - powiedziała. - Wszystko w porządku. O co ci chodzi? Może ci przynieść Statut Karny? Poprzedni dyrektor też nie pamiętał żadnego artykułu.

- Poczekaj, nie o to chodzi! - powiedział niecierpliwie Pierec. - Jaki tam Statut... jaki tam Statut! Czytałaś, to?

- Nie tylko czytałam, ale nawet przepisywałam na maszynie. I styl też poprawiałam. Przecież Domaroszczyner pisać nie umie, dopiero tutaj nauczył się czytać... Ale, ale misiaczku - powiedziała z troską - Domaroszczyner tam czeka w sekretariacie, przyjmij go w czasie śniadania, on to lubi. Będzie ci przyrządzać kanapki...

- Pluję na Domaroszczynera z trzeciego piętra! - powiedział Pierec. - Ty mi wytłumacz, co ja mam...

- Na Domaroszczynera pluć nie wolno - przerwała mu Alewtina. - Ty, mój misiaczku, jesteś jeszcze głupiutki, jeszcze niczego nie rozumiesz... - nacisnęła nos Piereca, jakby to był guzik dzwonka. - Domaroszczyner ma dwa notesy. W jednym notesie zapisuje, co kto powiedział - dla dyrektora, a w drugim zapisuje, co powiedział dyrektor. Pamiętaj o tym, misiaczku, i nigdy nie zapominaj.

- Poczekaj - powiedział Pierec. - Muszę się cię poradzić. No więc tej Dyrektywy... tego bełkotu nie podpiszę.

- Jak to - nie podpiszesz?

- Zwyczajnie. Ręka mi się nie podniesie, żeby podpisać coś takiego.

Twarz Alewtyny stała się surowa.

- Misiu - powiedziała. - Nie bądź uparty. Podpisz. Przecież to bardzo pilne. Potem ci wszystko wytłumaczę, a teraz...

- Co tu można wytłumaczyć? - zapytał Pierec.

- No, jeśli nie rozumiesz, to znaczy, że ci trzeba wytłumaczyć. Więc potem ci wytłumaczę.

- Nie - powiedział Pierec. - Wytłumacz mi teraz. Jeśli potrafisz - dodał. - W co wątpię.

- Ach, ty mój maleńki! - powiedziała Alewtina i pocałowała go w skroń. Z troską spojrzała na zegarek. - No dobrze, niech ci będzie.

Przesiadła się na biurko, podłożyła dłonie pod siebie i zaczęła, wpatrując się zmrużonymi oczami w jakiś punkt ponad głowę Piereca:

- Istnieje działalność administracyjna, na której opiera się wszystko. Ta działalność nie zaczęła się dzisiaj i nie wczoraj, początek wektora kryje się daleko w głębinach czasu. Do dnia dzisiejszego materializował się w istniejących zarządzeniach „i dyrektywach. Ale skierowany jest również głęboko w przyszłość i tam dopiero oczekuje na materializację.

Przypomina to budowanie szosy na wytyczonym odcinku. Tam, gdzie kończy się asfalt, plecami do gotowego odcinka stoi geometra i patrzy w teodolit. Ten geometra - to ty. Teoretyczna linia, która biegnie wzdłuż osi optycznej teodolitu, to jest właśnie ten nie zmaterializowany wektor administracyjny, który widzisz tylko ty jeden na świecie i który ty jeden powinieneś zmaterializować. Zrozumiałeś?

- Nie - kategorycznie odpowiedział Pierec.

- To nieważne, słuchaj dalej... Podobnie jak - szosa nie może dowolnie skręcić w lewo czy w prawo, tylko musi zostać wytyczona zgodnie z osią optyczną twojego teodolitu, tak i każda kolejna dyrektywa musi być kontynuacją wszystkich poprzednich. Misiu, kochanie, nie wgłębiaj się, ja sama tego w ogóle nie rozumiem, ale to nawet lepiej, ponieważ wgłębianie się rodzi zwątpienie, zwątpienie rodzi dreptanie w miejscu, a dreptanie w miejscu - to zagłada wszelkiej działalności administracyjnej, a co za tym idzie - także twojej, i mojej, i w ogóle... To przecież abecadło. Ani jednego dnia bez Dyrektywy i wszystko będzie w porządku. Na przykład ta Dyrektywa o Zaprowadzeniu Porządku - nie wzięła się znikąd, jest już powiązana z poprzednią Dyrektywą o Niewyjeżdżaniu, a ta z kolei powiązana jest z Rozporządzeniem o Niezachodzeniu w Ciężę, które to rozporządzenie z kolei wynika logicznie z Okólnika o Nadmiernej Pobudliwości, a ten zaś...

- Co, do diabła! - powiedział Pierec. - Pokaż mi te rozporządzenia i okólniki... Nie, najlepiej pokaż mi to najpierwsze rozporządzenie, to z głębin czasu.

- A po co ci to?

- Jak to - po co? Mówisz, że wynikają logicznie. A ja nie wierzę!

- Misiaczku - powiedziała Alewtina. - Wszystko to jeszcze zobaczysz. Wszystko ci kiedyś pokażę. Wszystko przeczytasz swymi krótkowzrocznymi oczętami. Ale zrozum - przedwczoraj nie było dyrektywy, wczoraj nie było dyrektywy - jeśli nie liczyć tego głupstwa w sprawie łowienia maszyny, i to wydanego ustnie... Jak myślisz, tle czasu może stać Zarząd bez dyrektyw? Już dziś od rana mamy bałagan - jacyś ludzie chodzą i wszędzie wymieniają przepalone żarówki, wyobrażasz sobie? Nie, misiu, jak tam sobie chcesz, ale dyrektywę trzeba podpisać. Ja przecież dla twojego dobra. Podpisz, ją szybko, przeprowadź naradę z kierownikami grup, powiedz coś podnoszącego na duchu, a potem przyniosę ci wszystko, co chcesz. Będziesz czytać, studiować, wgłębiać się... chociaż lepiej, oczywiście, nie wgłębiaj się.

Pierec złapał się za policzki i potrząsnął głową. Alewtina rażno zeskoczyła z biurka, zanurzyła pióro w czaszce Wenus i wyciągnęła rękę z obsadką do Piereca.

- No, misiaczku, podpisuj szybko...

Pierec wziął pióro.

- Ale będę to mógł później odwołać? - zapytał żałośnie.

- Będziesz, misiu, będziesz - powiedziała Alewtina i Pierec zrozumiał, że kłamie.

Rzucił pióro.

- Nie - powiedział. - Nie i nie. Nie podpiszę tego. Po jakiego diabła mam podpisywać te brednie, kiedy na pewno istnieją dziesiątki rozumnych i sensownych zarządzeń, dyrektyw i okólników absolutnie koniecznych, naprawdę niezbędnych w tym burdelu.

- Na przykład? - żywo zapytała Alewtina.

- O Boże, weźmy pierwsze z brzegu... No, chociażby...

Alewtina wzięła notes.

- No, chociażby... No, chociażby zarządzenie - z niezwykle sarkazmem powiedział Pierec - dla pracowników Grupy Wykorzeniania - samowykorzenić się w jak najkrótszym czasie. Proszę bardzo! Niech wszyscy rzucą się z urwiska albo mech się powystrzelają. Odpowiedzialny - Domaroszczyner... Jak Boga kocham, z tego byłby większy pożytek...

- Chwileczkę - powiedziała Alewtina. - A więc - mają popełnić samobójstwo za pomocą broni palnej, dzisiaj do dwudziestej czwartej zero zero. Odpowiedzialny - Domaroszczyner... - zamknęła notes i zamyśliła się. Pierec patrzył na nią ze zdumieniem. - A co! - powiedziała. - Słusznie! To nawet bardziej postępowe... Misiaczkule, zrozum - nie podoba ci się dyrektywa - nie musi, ale daj inną. Dałeś i nie mam już do ciebie żadnych pretensji...

Zeskoczyła na podłogę i zakrzętała się, rozstawiając talerzyki przed Pierecem.

- Tu masz naleśniki, tu konfitury... Kawa w termosie, gorąca, nie poparz się... Jedz, a ja szybko naszkicuję projekt i przyniosę ci za pół godziny.

- Poczekaj - powiedział oszołomiony Pierec. - Poczekaj!...

- Mój ty spryciarzu - powiedziała Alewtina czule. - Mój zuchu. Tylko bądź miły dla Domaroszczynera.

- Poczekaj - powiedział Pierec. - Co ty, śmiejesz się?

Alewtina podbiegła do drzwi, Pierec za nią z krzykiem „me wariuj!”, ale nie zdążył jej złapać, Alewtina znikła, a na jej miejscu jak upiór pojawił się z pustki Domaroszczyner. Już przylizany, już wyczyszczony, już normalnego koloru i po dawnemu gotów na wszystko.

- To genialne - powiedział cicho, zapędzając Piereca za biurko. - To wspaniałe. To z całą pewnością wejdzie do historii.

Pierec cofnął się przed nim jak przed gigantycznym skorpionem, uderzył plecami o biurko i przewrócił Tannhausera na Wenus.

Rozdział XI

Obudził się, otworzył oczy i wpatrzył się w niski, pokryty wapiennymi zaciekami sufit. Po suficie znowu szły mrówki. Od prawej ku lewej - obładowane, z lewej ku prawej - bez ładunku. Miesiąc temu było odwrotnie, miesiąc temu była Nava. A poza tym nic się nie zmieniło. Pojutrze idziemy, pomyślał.

Za stołem siedział starzec i patrzył na Kandyda dłubiąc w uchu. Starzec do reszty wynędzniał, oczy miał zapadłe i ani jednego zęba. Pewnie już niedługo umrze, ten starzec.

- Co ty wyprawiasz, Mruk - płaczliwie powiedział starzec - nic nie masz do jedzenia. Jak tylko zabrali ci Navę, to żadnego jedzenia w domu nie ma. Ani rano nie ma, ani w obiad, mówiłem ci przecież - nie idź, nie wolno. Po co poszedłeś? Nasłuchałeś się Kaczonoga i poszedłeś, a czy Kaczonóg rozumie, co można, a czego nie wolno? Kaczonóg tego nie rozumie, i ojciec Kaczonoga też był taki sam, i cały ich kaczonogi ród jest taki, i dlatego wszyscy wymarli; Kaczonóg też z całą pewnością umrze i nikt nic na to nie poradzi... A może ty masz jakieś jedzenie, Mruk, może je schowałeś, co? Bo niektórzy chowają... Więc jeżeli schowałeś, to przynieś szybko, bo jeść mi się chce, bez jedzenia nie mogę, przez całe życie jem, przyzwyczałem się... A Navy już teraz nie masz, Kusego też drzewo zabiło... Oto u kogo zawsze było dużo jedzenia - u Kusego! Na jeden raz po trzy garnki u niego zjadałem, chociaż zawsze było źle zakiszone, paskudne, i pewnie dlatego drzewo go zabiło... Mówiłem mu: nie wolno jeść czegoś takiego...

Kandyd wstał i przeszukał skrytki, które przygotowała Nava. Jedzenia rzeczywiście nie było. Wobec tego wyszedł na ulicę, skręcił w lewo i ruszył przez plac do domu Kułaka. Starzec włókł się jego śladem, jęczał i utyskiwał. Na polu niezgrane smętne głosy pokrzykiwały: „Ej, weselej siej, w lewo siej, w prawo siej”. Z lasu odpowiadało echo. Teraz każdego ranka zdawało się Kandydowi, że las jest coraz bliżej. W rzeczywistości wcale tak nie było, a jeżeli nawet było, ludzkie oko nie mogło tego zauważyć. I martwiaków z pewnością nie było w lesie więcej niż dawniej, a zdawało się, że jest ich więcej. Zapewne dlatego, że teraz Kandyd dokładnie wiedział, czym one są, a także dlatego, że ich nienawdził. Kiedy z lasu wychodził martwiak, natychmiast rozlegały się okrzyki: „Mruk! Mruk!” Wtedy Kandyd szedł i rozpruwał martwiaka skalpelem - szybko, sprawnie, z okrutnym zadowoleniem. Cała wieś biegła oglądać to widowisko, nieodmiennie wydawała chóralne okrzyki i zasłaniała oczy dłońmi, kiedy wzdłuż parującego tułowia otwierała się straszna biała rana. Dzieci więcej nie dokuczały Mrukowi, teraz bały się go śmiertelnie, uciekały, chowały

się, kiedy nadchodził. O skalpeli szeptano wieczorami w domach, a ze skór martwiaków na rozkaz sprytnego starosty zaczęto robić koryta. Dobre to były koryta, wielkie i mocne...

Na środku placu stał po pas w trawie Uchacz osnuty liliowym obłoczkiem, z uniesionymi dłońmi. Oczy miał szkliste i pianę na wargach. Wokół niego tłoczyły się zaciekawione dzieciaki, patrzyły i słuchały z otwartymi ustami - to widowisko nigdy im się nie nudziło. Kandyd również przystanął, żeby posłuchać, i dzieci jakby wiatr wymiótł.

- Do bitwy wkraczają nowe... - metalicznym głosem bredził Uchacz. - Zwycięskie natarcie... wielkie obszary spokoju...nowe oddziały druchen... Uspokojenie i Zespolenie...

Kandyd poszedł dalej. Dziś od rana umysł miał dosyć jasny, czuł, że może myśleć, więc zaczął rozmyślać, kim właściwie jest Uchacz i po co on komu. Teraz był sens myśleć o tym, ponieważ teraz Kandyd już coś niecoś wiedział, i czasem nawet mu się wydawało, że wie bardzo dużo, jeżeli nie wszystko. W każdej wsi jest taki Uchacz; i u nas jest Uchacz, i w Osadzie, a starzec nawet gadał, że jakiś zupełnie niezwykły Uchacz był w tej wsi, która teraz jest zagrzybiona. Na pewno kiedyś były czasy, kiedy wielu ludzi wiedziało, co to takiego Przewyciężenie i rozumiało, o jakich zwycięstwach mowa, a wtedy z pewnością oni byli zainteresowani tym, żeby wielu to wiedziało, albo wyobrażali sobie, że są tym zainteresowani; potem okazało się, że świetnie można się obejść bez wielu, wielu ludzi, że wszystkie te wsie - to pomyłka, a chłopie nie więcej niż kozły... To stało się wtedy, kiedy nauczyli się posługiwać liliową mgłą i z liliowych obłoków wyszły pierwsze martwiaki... i pierwsze wsie znalazły się na dnie pierwszych trójkątnych jezior... powstały pierwsze oddziały druchen... Uchacze zostali i została tradycja, której nie unicestwiono po prostu dlatego, że oni o tej tradycji zapomnieli. Bezmyślna tradycja, równie bezmyślna jak cały ten las, jak te wszystkie sztuczne potwory i miasta, z których poczyną się destrukcja, te przerażające baby, amazonki, kapłanki partenogenezy, okrutne i wyniosłe władczynie wirusów, władczynie lasu, rozpuchłe w ciepłej wodzie... i ta gigantyczna krzątanina w dżungli, te wszystkie Wielkie Przeorania i Zabagnienia - pomysł potworny w swojej absurdalności i rozmachu... Myśli płynęły swobodnie, nawet jakby automatycznie, w ciągu tego miesiąca zdążyły już wyłobić sobie stałe i niezmiennie koryta; Kandyd wiedział z góry, jakie emocje zrodzą się w jego głowie w następnej sekundzie. W naszej wsi to właśnie nazywa się myśleniem. Teraz, w tym momencie, powstaną wątpliwości... Przecież nic nie widziałem. Spotkałem trzy leśne czarodziejki. A czy to mało kogo można spotkać w lesie? Widziałem zagładę podstępnej wsi, wzgórze podobne do fabryki żywych istot, piekielną rozprawę z rękojadem... zagłada, fabryka, rozprawa... Przecież to są słowa, moje pojęcia. Nawet dla Navy zagłada - to nie zagłada, tylko Przewyciężenie... Ale ja przecież nie wiem,

co to takiego Przewyciężenie. Dla mnie to jest straszne, dla mnie to jest odrażające, a wszystko dlatego, że jest mi to obce, więc być może nie należy mówić „okrutne bezmyślne szczucie lasu na ludzi”, tylko „planowe, świetnie zorganizowane, precyzyjnie przemyślane natarcie nowego na stare”, dojrzałego, krzepkiego, nowego na gnijące, pozbawione perspektyw stare”... Nie zwyrodnienie, lecz rewolucja. Prawidłowości rozwoju, tendencyjnie obserwowane przeze mnie z boku, oczami obcego, który nic nie rozumie i dlatego, właśnie dlatego wyobraża sobie, że rozumie wszystko i ma prawo osądzać. Jak mały chłopiec, który oburza się na wstrętnego koguta bezlitośnie depreczującego nieszczęsną kurę.

Kandyd spojrział na Uchacza. Uchacz z właściwym sobie otępiąłym wyrazem twarzy siedział w trawie i kręcąc Głową przypominał sobie, gdzie jest i co się z nim dzieje. Żywy radioodbiornik. To znaczy, że istnieją żywe radioodbiorniki... żywe mechanizmy i żywe maszyny - tak jest, na przykład martwiaki... Ale dlaczego, dlaczego to wszystko tak wspaniale wymyślane, tak wspaniale zorganizowane nie budzi we mnie cienia życzliwości, tylko nienawiść i odrazę...

Z tyłu bezszelestnie podszedł Kułak i uderzył Kandyda dłonią w plecy.

- Stoi i gapi się, maćtrwa - powiedział. - Jeden taki też stał i się gapił, oderwali mu ręce i już więcej się nie gapi. Kiedy idziemy, Mruk? Długo masz zamiar zawracać mi głowę? Przecież moja stara odeszła do innych, maćtrwa, sam trzecią noc śpię u starosty, a dzisiaj mam zamiar zanocować u wdowy Kusego. Całe jedzenie tak zatęchło, że nawet ten stary grzyb nie chce żreć, mordą kręci i mówi: wszystko u ciebie zatęchło, nie tylko jeść, ale nawet powąchać się nie da, maćtrwa. Tylko że ja do Czarcich Skał nie pójdę, Mruk, pójdę z tobą do Miasta i tam znajdziemy sobie baby. Jeśli spotkamy złodziei, to połowę bab oddamy, nie ma czego żałować, maćtrwa, a drugą połowę przyprowadzimy na wieś, niech sobie żyją tutaj, co się mają moczyć niepotrzebnie, jedna też tak kiedyś pływała, a jak jej dobrze dali w zęby, to już więcej nie pływa, na wodę nie chce nawet patrzeć, maćtrwa... Słuchaj, Mruk, a może ty nakłamałeś o Mieście i o tych babach? Albo może ci się przywidziało? Nawę odebrali ci złodzieje i z rozpaczy coś ci się przywidziało? Kaczonóg na przykład nic ci nie wierzy; uważa, że wszystko ci się przywidziało. Jakie tam znowu Miasto w jeziorze. Czy w ogóle można żyć w jeziorze, maćtrwa? Przecież my wszyscy tam utoniemy, tam jest woda, maćtrwa, co z tego, że tam są baby, ja do wody nawet za babami nie wleżę, nie umiem pływać, a zresztą po co? Ale ostatecznie mogę postać na brzegu, póki będziesz je wyciągał... A więc tak, ty wejdiesz do wody, maćtrwa, a ja zostanę na brzegu i razem wszystko załatwimy...

- Wyłamałeś sobie kij? - zapytał Kandyd.

- A gdzie ja w lesie znajdę kij, maćtrwa? - zapytał Kułak. - Po kij trzeba iść na bagna. A ja nie mam czasu, pilnowałem jedzenia, żeby ten stary nie zeżał, po co mi kij, kiedy nie mam zamiaru z nikim się bić... Jeden taki też się z każdym bił, maćtrwa...

- Dobra - powiedział Kandyd - sam ci wyłamię kij. Idziemy pojutrze, nie zapomnij.

Odwrócił się i poszedł z powrotem. Kułak nic się nie zmienił. Chociaż bardzo się starał wytłumaczyć im - niczego nie zrozumieli i, jak się wydaje, w nic nie uwierzyli.

Martwiaki nie mogą służyć babom, to ty, Mruk, zasuwasz nam tu głodne kawałki. Baby boją się martwiaków jak śmierci, popatrz na moją a potem dopiero gadaj. A że cała wieś zatonęła, to znaczy, że po prostu dokonano się Przewycięzenie, to wie każdy i bez ciebie, i co mają do tego twoje baby? A w ogóle Mruk, to ty nie byłeś w żadnym Mieście, nie zwracaj nam głowy, lepiej się przyznaj, nikt do ciebie nie będzie miał pretensji, bo bardzo ciekawie opowiadasz. Tyle że w Mieście nie byłeś, to wiemy wszyscy, dlatego że jak kto był w Mieście, to już więcej nie wraca... A twoją Navę to nie żadne baby, ale zwyczajni złodzieje zabrali, nasi złodzieje, miejscowi. Nigdy w życiu, Mruk, nie wygrałbyś ze złodziejami. Chociaż mężczyzną jesteś jak się patrzy i, trzeba przyznać, odważnym, a jak martwiaki załatwiasz, to po prostu aż strach patrzeć...

Myśl o nadciągającej zagładzie po prostu nie mieściła się im w głowach. Zagłada nadciągała zbyt powoli i od zbyt dawna. Problem zapewne polegał na tym, że zagłada jest według ludzkich pojęć czymś, co następuje błyskawicznie, kojarzy się z nagłą katastrofą. A oni tutaj nie umieli i nie chcieli uogólniać, nie umieli i nie chcieli myśleć o świecie istniejącym poza ich wsią. Była wieś i był las. Las był silniejszy, ale przecież las zawsze był i zawsze będzie silniejszy. Jaka znowu zagłada? Gdzie zagłada? To po prostu życie. Co innego, kiedy kogoś przywali drzewo, to oczywiście zagłada, ale tu zwyczajnie trzeba mieć głowę na karku i umieć kombinować... Kiedy oni wreszcie zrozumieją? Kiedy wreszcie się połapią? Kiedy nie zostanie już ani jednej kobiety, kiedy mokradła przybliżą się do progów ich domów, kiedy na ulicach wytrysną podziemne źródła, a nad dachami zawisnie liliowy obłok... A może i wtedy nic do nich nie dotrze - powiedzą po prostu: nie można tu żyć dłużej - Przewycięzenie. I odejdą, żeby gdzie indziej zbudować nową wieś...

Kaczonóg siedział w progu, polewał zacierem grzyby, które wyrosły przez noc, i zabierał się do śniadania.

- Siadaj - powiedział życzliwie do Kandyda. - Zjesz coś? Bardzo udane grzyby.

- Zjem - powiedział Kandyd i usiadł obok.

- Jedz, jedz - powiedział Kaczonóg. - Nie masz teraz Navy, a zanim się przyzwyczaisz bez Navy... Słyszałem, że znowu idziesz. Kto mi to powiedział? A no tak, to ty sam mi

powiedziałaś: idę, powiedziałaś. Czego ty w domu nie możesz usiedzieć? Siedziałbyś w domu i dobrze by ci było... Do Szuwarów idziesz czy do Mrowisk? Do Szuwarów i ja bym się z tobą przeszedł. Skręcilibyśmy teraz tą ulicą na prawo, potem przez zagajnik, w zagajniku przy okazji nazbieralibyśmy grzybów, zabrali zacier, podjedli od razu na miejscu - w zagajniku są dobre grzyby, we wsi takie nie rosną, zresztą w innych miejscach też nie rosną, a w zagajniku jesz, jesz i nie możesz się najeść... A jakbyśmy się już najedli, wyszlibyśmy z zagajnika obok Chlebowego Stawu, tam znowu byśmy coś zjedli - tam dobre ziarniaki się rodzą, słodkie, aż dziw, że na mokradłach i w bagnie są takie ziarniaki... No, a potem oczywiście szlibyśmy trzy dni, prosto za słońcem, no i patrzeć, a tu już Szuwarzy...

- My idziemy do Czarcich Skał - cierpliwie przypomniał Kandyd. - Pojutrze. Kułak też idzie.

Kaczonóg niepewnie pokręcił głową.

- Do Czarcich Skał... - powtórzył. - Nie Mruk, do Czarcich Skał dojść się nie da. Czy ty wiesz, gdzie to jest - Czarcie Skały? Ich może w ogóle nie ma, tylko ludzie, ot, tak sobie gadają. Skały, niby że Czarcie... Tak, do Czarcich Skał ja nie pójdę, nie wierzę w nie. Co innego na przykład do Miasta albo, jeszcze lepiej, do Mrowisk, to niedaleko, dwa kroki... Słuchaj Mruk, chodźmy do Mrowisk. Kułak z nami pójdzie... Ja w Mrowiskach, od kiedy sobie nogę zepsułem, to jeszcze nie byłem. Nava, pamiętam, ciągle mnie prosiła, chodźmy, mówi, Kaczonogu, do Mrowisk... Bardzo chciała, rozumiesz, zobaczyć dziuplę, w której sobie zepsułem nogę... Ja jej na to, że nie pamiętam, gdzie jest ta dziupla, a w ogóle może już Mrowisk nie ma, dawno tam nie byłem...

Kandyd gryzł grzyby i patrzył na Kaczonoga. A Kaczonóg mówił, mówił o Szuwarach, o Mrowiskach, oczy miał spuszczone i tylko z rzadka spoglądał na Kandyda. Dobry z ciebie chłop, Kaczonogu, i zyczliwy jesteś, i znany mówca i nawet sam starosta liczy się z tobą, i Kułak, a starzec to się po prostu ciebie boi, nie na darmo byłeś najlepszym przyjacielem sławnego Krzywdy-Męczennika, niespokojnego człowieka, który ciągle czegoś szukał, nie znalazł nic i wreszcie przepadł gdzieś w lesie... Tylko oto w czym bieda - nie chcesz ty mnie, Kaczonogu, puścić do lasu, żałujesz mnie, biedaka. Las - to miejsce straszne, niebezpieczne, zgubne, wielu tam chodziło, ale niewielu powróciło, a jeśli nawet wracali, to bardzo nastraszeni, a czasem i okaleczeni... jeden ze złamaną nogą, inny z czymś tam jeszcze... No i teraz kręcisz, Kaczonogu, udajesz przygłupka albo udajesz, że Mruka za takiego uważasz, a naprawdę pewny jesteś jednego: jeżeli już raz Mrukowi udało się wrócić, chociaż stracił dziewczynę, to drugi raz taki cud się nie zdarzy...

- Słuchaj, Kaczonogu - powiedział Kandyd. - Posłuchaj mnie uważnie. Mów, co chcesz, myśl, co chcesz, ale ja cię proszę o jedno: nie zostawiaj mnie, chodź ze mną do lasu. Jesteś mi bardzo potrzebny w lesie, Kaczonogu. Idziemy pojutrze i bardzo chciałbym, żebyś był z nami. Rozumiesz?

Kaczonóg patrzył na Kandyda i jego wypłowiałe oczy były nieprzeniknione.

- Jakże inaczej - powiedział. - bardzo dobrze ciebie rozumiem. Pójdziemy razem. Jak tylko stąd wyjdziemy, skręcimy na lewo, dojdziemy do pola, minimy dwa kamienie - i na ścieżkę. Tę ścieżkę każdy pozna od razu, tyle tam kamieni, że nogi można połamać... Dlaczego nie jesz grzybów, Mruk, jedz, to dobre grzyby... Tą ścieżką dojdziemy do zagrybionej wsi, ja ci o niej już chyba opowiadałem, ona jest pusta, cała zarosła grzybami, ale nie takimi, jak na przykład te, tylko jakimiś obrzydliwymi, nie będziemy ich jedli, po nich się choruje i nawet można umrzeć. Tak że w tej wsi nawet się nie będziemy zatrzymywać, tylko od razu pójdziemy dalej, i po jakimś czasie dojdziemy do wsi cudaków, tam robią garnki z ziemi, też wymyślili! To się stało po tym, jak niebieska trawa przez nich przeszła. I nic, nawet się nie pochorowali, tylko zaczęli robić garnki z ziemi... U nich też się nie będziemy zatrzymywać, nie ma po co tam się zatrzymywać, tylko od razu skręcimy w prawo - i tam zaraz będzie Gliniana Polana.

A może nie zabierać cię? - myślał Kandyd. - Ty już tam byłeś, las cię już miał w pazurach i skąd mogę wiedzieć, może już wleś się na ziemi krzycząc ze strachu i bólu, a nad tobą, przygryzając piękne wargi i rozkładając dziecinne dłonie, pochylała się młodziutka dziewczyna. Nie wiem, nie wiem. Ale iść trzeba. Żeby złowić choćby ze dwie, choćby jedną, dowiedzieć się, zrozumieć do końca... A co dalej? Skazańcy, nieszczęśni skazańcy. A raczej - szczęśliwi skazańcy, bo nie wiedzą, że są skazani, że władcy ich świata widzą w nich tylko brudne plemię gwałcicieli, że poszczuli już na nich chmury zaprogramowanych wirusów, kolumny robotów, ściany lasu, że wszystko, co ich dotyczy, jest już ustalone i - co najstraszniejsze - że historyczna prawda, tu, w lesie, nie jest po ich stronie, że są oni relikdami, skazanymi na zagładę przez obiektywne prawa i pomagać im to znaczy iść przeciwko postępowi, powstrzymać postęp na jakimś maleńkim odcinku frontu. Ale to mnie nie interesuje, pomyślał Kandyd. Co mnie obchodzi ich postęp, to nie jest mój postęp, zresztą postępem nazywam to tylko dlatego, że nie ma innego odpowiedniego słowa... Tu nie rozum wybiera. Tu wybiera serce... Prawa rozwoju nie mogą być złe albo dobre, istnieją poza moralnością. Ale ja nie! Gdyby mnie znalazły te druhny, wyleczyły, pielęgnowały, uznały za swojego - no cóż, wtedy zapewne zwyczajnie i naturalnie stanąłbym po stronie postępu, a Kaczonóg i te wszystkie wsie byłyby dla mnie antypatycznym przeżytkiem, z którym cackają

się zbyt długo... A może i nie, być może to nie byłoby ani - łatwe, ani proste, po prostu nie mogę patrzeć, kiedy ludzi traktuje się jak zwierzęta. Ale może problem polega na terminologii i gdyby kobiety nauczyły mnie swego języka, wszystko brzmiałoby dla mnie inaczej - wrogowie postępu, żarłoczne tępe darmozjady... ideały... wielkie cele... naturalne prawa natury... I w imię tego likwiduje się połowę ludności! Nie, to nie dla mnie. Nie dla mnie, w żadnym języku świata. Mam gdzieś fakt, że Kaczonóg to kamyczek w żelaznych żarnach ich postępu. Zrobię wszystko, by na tym kamyczku żarna się zaklinowały. I jeżeli nie uda mi się powrócić na stację biologiczną - a zapewne mi się nie uda - zrobię wszystko, na co mnie stać, żeby żarna przestały mleć. Zresztą jeżeli mi się uda wrócić na stację biologiczną... Taak. Dziwne, nigdy dotąd nie przychodziło mi do głowy, żeby spojrzeć na Instytut z zewnątrz. I Kaczonogowi nie przychodzi do głowy, żeby spojrzeć z zewnątrz na las. I tym druhnóm zapewne również. A przecież to bardzo ciekawy widok - Instytut z lotu ptaka. Dobra, o tym pomyślę kiedy indziej.

- A więc jesteśmy umówieni - powiedział. - Pojutrze idziemy.

- No a jakże inaczej - niezwłocznie odparł Kaczonóg. - Skręcimy na lewo...

Na polu nagle ludzie zaczęli krzyżeć. Kobiety piszczały. Chór głosów zawołał:

- Mruk! Ej, Mruk!

Kaczonóg oprzytomniał.

- Znowu martwiaki! - powiedział spieszenie, wstając.

- Na co czekasz, Mruk, wstawaj, ja chcę to zobaczyć.

Kandyd wstał, wydobył z zanadrza skalpel i ruszył na skraj wsi.